

Sharon Sala

Pamiętaj

Tytuł oryginału: *Remember Me*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Denver, Kolorado

– Pozwól tutaj, Francesco...

Głos męża wyrwał Frankie LeGrand z zamyślenia. Odwróciła się od okna.

– Zbiera się na deszcz – powiedziała.

– Nie wzrusza mnie to specjalnie.

Frankie uśmiechnęła się. Od jej ślubu z Clayem LeGrandem minął dokładnie rok i jeden dzień. Clay był człowiekiem nieprzewidywalnym, sam sobie sterem, żeglarzem... we wszystkim kierował się własnym widzimisię, niewiele robiąc sobie z tego, co inni pomyślą – między innymi właśnie dlatego go kochała.

Popatrzyła na niego troskliwym okiem żony: czy odpowiednio się ubrał na niepogodę. Stał w drzwiach – gotów do wyjścia – w niebieskich roboczych dżinsach, flanelowej koszuli, dżinsowej kurtce i wysokich butach; brakowało mu tylko kasku, który powinien być w ciężarówce. Clay pracował jako kierownik robót w firmie budowlanej swojego ojca.

Od gwałtownego uderzenia wiatru zadrżały szyby w oknach i Frankie mimo woli drgnęła. Październikowa plucha. Niedługo zima. Nienawidziła chłódów.

– Ejże, widzę, że trzeba cię ogrzać. Niech cię przytulę.

– Przytul. – Frankie otworzyła ramiona i przymknęła powieki. Jak dobrze czuć bezpieczną bliskość Claya, być w jego objęciach.

– Ładnie pachniesz – szepnęła.

– Francesco... – mruknął niskim, gardłowym głosem.

– Mam się bać?

Clay uśmiechnął się szeroko.

– Dlaczego?

– Bo kiedy zaczynasz tak mruzczyć, to znaczy, o jesteś na mnie zły.

– Wiesz doskonale, że nigdy nie jestem na ciebie zły.

Uniosła lekko brwi na te słowa.

– Może zirytowany byłoby lepszym określeniem. Tylko nie próbuj zaprzeczać. W zeszłym tygodniu okropnie się zirytowałeś, kiedy zobaczyłeś, że chłopak w sklepie spożywczym robi do mnie oko.

– A jakże – mruknął i pociągnął Frankie w stronę sypialni.

– Spóźnisz się do pracy – zbeształa go żartobliwie.

Puścił mimo uszu uwagę żony.

– Clay, co powie ojciec?

– Zapewne: „Gdzie, do cholery, jest moje śniadanie?!” albo coś w tym stylu.

Przy Frankie on, silny mężczyzna, stawał się miękki jak wosk. Kochał ją tak bardzo, że niekiedy siła tej miłości napawała go lękiem.

Ona czuła podobnie: Clay był treścią i sensem jej życia. Wychowana w domu dziecka, była sama jedna na tym świecie. Dopóki nie spotkała Claya. Był dla niej nie tylko mężem: był wszystkim, absolutnie wszystkim.

Przerywając pieszczoty, ujęła jego twarz w dłoń.

– Clay?

Uniósł się na łokciu.

– Tak, kochanie?

– Kiedy stałam w oknie...

Patrzył z zachwytem, jak człowiek w transie, na jej piękną twarz okoloną ciemnymi włosami i chyba nie bardzo słuchał tego, co mówiła.

– Co z tym oknem? – zapytał po dłuższej chwili.

– Kiedy stałam w oknie, zacząłeś coś mówić. O co chodziło?

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że cudownie wyglądasz w mojej koszuli. – Uśmiechnął się, patrząc czule w lekko przymknięte, zasnutę mgiełką oczy żony. – Ale jeszcze lepiej wyglądasz bez niczego.

Dłoń Claya wznowiła swoją wędrówkę po ciele żony, ale Frankie chwyciła

go za nadgarstek.

– Co?

– Rozbierz się i kochaj się ze mną, zanim umrę z pożądania.

Clay nie dał sobie dwa razy powtarzać, tę prośbę zawsze gotów był spełnić natychmiast i bez ociągania.

Za oknem na dobre rozszalała się jesienna ulewa, deszcz bębnił o szyby, zawodził wiatr, ale kochankowie nie zwracali na to uwagi: zajęci sobą, zapomnieli o bożym świecie.

Dzień dłużył się niemiłosiernie, godzina za godziną. Co prawda roboty prowadzone były akurat pod dachem, ale deszcz utrudniał dowóz materiałów. Ojciec Claya w południe pojechał do domu, na placu budowy została tylko niewielka ekipa pracująca pod okiem Claya. O czwartej Clay postanowił puścić ludzi do domu. Firma mogła sobie pozwolić na niewielkie spóźnienie, zresztą przy takiej ulewie niewiele dało się zdziałać: z kładzeniem dachu nad północnym skrzydłem budynku musieli się wstrzymać, aż deszcz ustanie.

Z przyjemnością myślał o tym, że sam też za kilkanaście minut znajdzie się we własnym domu. Jeśli nadal będzie tak zimno i wilgotno, może rozpali ogień na kominku, a potem zamówią sobie z Frankie pizzę.

W drodze powrotnej zatrzymał się przy supermarkecie. Omijając wielkie kałuże, szybko przebiegł do sklepu i zaczął się rozglądać za automatem telefonicznym: zapyta Frankie, co ma kupić.

Otarł krople deszczu z czoła, wrzucił monetę i cierpliwie czekał, kiedy żona wreszcie podniesie słuchawkę. Na darmo. Rozłączył się, machinalnie schował do kieszeni zwrócone przez automat monety, po czym ruszył w głąb sklepu. Frankie najwidoczniej musiała brać prysznic i przez szum wody nie słyszała natrętnego dzwonięcia telefonu.

Kilka minut później wrócił do samochodu z dużym pojemnikiem lodów Rocky Road.

Kiedy parkował na podjeździe pod domem, była za kwadrans piąta. Prawie nic nie widział przez ścianę deszczu, tak gęstą, że zdawała się oddzielać go od domu. Ogarnęło go dziwne, nieprzyjemne uczucie. Otrząsnął się i zaczął zbierać swoje rzeczy. Zwykle nie ulegał chwilowym nastrojom. Clay włożył pojemnik z lodami za pazuchę, wysiadł z ciężarówki i biegiem, z pochyloną głową, ruszył w kierunku drzwi, rozśmieszony tym dziecinnym wyścigiem z ulewą.

– Jestem, Frankie! – zawołał, ciągle jeszcze się śmiejąc. Zdjął przemoczoną kurtkę i buty. – To ja, kochanie! Mam dla ciebie niespodziankę.

Niosąc lody do kuchni, oczekiwał, że lada moment z któregoś pokoju wyjdzie żona. W bawialni zatrzymał się, odwrócił. Poczł ciarki przebiegające po plecach.

Drzwi wejściowe...

Nie były zamknięte na klucz!

I ta grobowa cisza. Żadnych znajomych odgłosów, dochodzących z radia czy telewizora. Tylko głucho bębnienie kropli deszczu o dach. Zaciśnął mocniej palce na pojemniku z lodami.

– Frankie... Francesco... Jesteś tam?

Brak odpowiedzi.

Spojrzał na lody, jakby dziwił się, że nadal ściska je w dłoni, i ruszył w kierunku kuchni.

Kiedy stanął w progu, zagrzmiało, aż zadzwoniły naczynia w szafkach. Clay podskoczył niczym na odgłos wystrzału.

– Cholera – mruknął pod nosem, podchodząc do lodówki. Znowu się zatrzymał, ale tym razem nie z powodu szalejącej za oknami burzy: na podłodze w kałuży kawy leżał rozbity kubek. Rozlana kawa, zdawałoby się nic wielkiego, drobiazg, ale dlaczego Frankie nie posprzątała? Claya ogarnęła panika, z trudem chwycił powietrze w płuca.

Rzucił się jak oszalały szukać żony, nawołując ją głośno po imieniu.

Bawialnią.

Hol.

Sypialnia.

Nie pościelone łóżko wyglądało tak jak rano, kiedy wychodził do pracy. Patrzył na nie, jakby nie mógł uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu kochał się tutaj z Frankie.

Na podłodze koło szafy leżała koszula: być może Frankie ją zrzuciła, może zamierzała się przebrać... Nie, to do niej niepodobne. Była pedantką aż do przesady, czasami zżyma! się na nią o to zamiłowanie do porządku. Potrząsnął

głową i wszedł do łazienki. Serce mu stanęło, gdy zobaczył ślady krwi na umywalce.

– Chryste – szepnął, chwytając się futryny, żeby nie upaść. – Chryste, błagam, nie.

Na miękkich nogach wrócił do holu. Palce miał tak zlodowaciałe, że stracił w nich czucie. Dopiero teraz zorientował się, że wciąż ściska pojemnik z lodami.

Chciał schować go do lodówki, ale instynkt, a może przeczucie podpowiedziało mu, że nie powinien niczego ruszać. Poza telefonem.

Postawił pojemnik na stole i sięgnął po leżącą na szafce słuchawkę telefonu bezprzewodowego. Cały czas powtarzał sobie, że przesadza, że niepotrzebnie się denerwuje, robi wiele hałasu o nic. Coś podobnego nie mogło się przecież przydarzyć właśnie jemu i Frankie. Tego dnia miała co prawda wolne, ale być może któraś z bibliotekarek zachorowała i Frankie musiała ją zastąpić. Wyszła w pośpiechu, zapomniała zostawić mu wiadomość...

Wystukał numer, po czym zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

– Biblioteka miejska, Mary Albright przy telefonie.

Wyobraził sobie kobietę w średnim wieku, o miedzianorudych włosach.

– Mary, mówi Clay. Czy Frankie jest może w pracy?

– Nie, skądże. Ma dyżur dopiero pojutrze.

Niepotrzebnie się łudził.

– Tak, wiem – przytaknął. – Myślałem, że... może... wzięła zastępstwo.

– Nie. Przykro mi. Czy coś się stało?

Clay wzdrygnął się.

– Nie wiem.

Przerwał połączenie, nie wdając się w tłumaczenia, i wystukał z kolei numer telefonu rodziców.

– Mieszkanie LeGrandów – w słuchawce rozległ się głos matki.

– Cześć, mamó, to ja, Clay. Nie ma u was przypadkiem Frankie?

Betty LeGrand zmarszczyła czoło. Zbyt dobrze znała syna, by nie zorientować się natychmiast, że jest zdenerwowany.

– Nie, nie ma jej tutaj. Nie rozmawiałam z nią od wczorajszego ranka.

– A tata?

– On też na pewno nic nie wie. Gdyby coś wiedział, toby...

– Zapytaj go.

– Ale, Clay, ja...

– Do diabła, mamó, zapytaj go, dobrze?

Betty udzielił się niepokój syna.

– Oczywiście. Poczekaj chwilę.

Czekał, modląc się w duchu, by cała ta historia okazała się tylko złym snem.

– Clay?

– Tak, mamó?

– Ojciec też z nią nie rozmawiał.

Pod Clayem ugięły się nogi. Z trudem stał.

– Dziękuję.

– Drobiazg. Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie... chyba nie. Aha, jeszcze jedno... Mamó...

– Tak?

– Przepraszam, że się zirytowałem.

– Nie przejmuj się. Może powinniśmy jej poszukać? Myślisz, że mogła mieć wypadek samochodowy?

Clay zamknął oczy. Mieli tylko jeden wóz, furgonetkę, której on dzisiaj używał.

– Nie, nie zostawiłem jej auta. Muszę już kończyć. Zadzwoń do ciebie później.

Rozłączył się i wystukał następny numer.

– 911, słucham zgłoszenia.

– Chodzi o moją żonę.

– Jest tam z panem? – W głosie kobiety zabrzmiała ledwie słyszalna nuta ironii, jakby oczekiwała, że za chwilę usłyszysz o kłótni małżeńskiej.

– Nie. Nie o to chodzi. Wróciłem po południu z pracy i zastałem otwarte drzwi od domu. W kuchni rozbite naczynia, krew w łazience.

– Pan Clay LeGrand, 1943 Denver Avenue?

– Tak.

– Czy pan też odniósł obrażenia?

– Nie. Mówiłem pani, przed chwilą wróciłem do domu.

– Zaraz wysyłam do pana patrol.

– Dziękuję pani – powiedział Clay drętwą głową. Nie mógł uwierzyć, że właśnie zawiadomił policję.

– Proszę nigdzie nie wychodzić, dopóki nie przyjedzie nasz wóz.

Gdzie miałby, do diabła, iść bez Frankie?

Kiedy pojawił się patrol, Clay szybko zrozumiał, że policja niewiele mu pomoże. Był zły. I coraz bardziej przerażony. Jeśli uznają, że jej zniknięcie było spowodowane rodzinną sprzeczką, gotowi zlekceważyć zgłoszenie; nawet nie będą próbowali jej szukać. Oni muszą przecież podjąć jakieś działania, nie mogą go tak zostawić. Nie wyobrażał sobie życia bez niej.

– Zatem twierdzi pan, panie LeGrand, że po raz ostatni widział żonę około ósmej rano?

Clay głęboko wciągnął powietrze, na próżno usiłując zachować spokój. Myśl, że Frankie jest gdzieś sama w tę ulewę, przyprawiała go o obłęd. Nie miał pojęcia, co się z nią stało, wiedział jednak na pewno, że nie wyszła z domu z własnej woli.

– Nie, nie mówiłem nic takiego i doskonale pan o tym wie. Powtarzam, wyszedłem z domu dopiero po dziewiątej.

Detektyw Avery Dawson zerknął do notesu.

– Tak, rzeczywiście. – Podniósł wzrok na Claya. – Ale powiedział pan też, że zwykle zaczyna pracę o ósmej rano.

– Owszem – sarknął Clay i poderwał się z fotela. – Posłuchaj, sukinsynu. Po raz ostatni powiem to, co już mówiłem, i więcej nie będę powtarzał. Kocham moją żonę. Wczoraj obchodziliśmy pierwszą rocznicę ślubu. W łóżku. Spóźniłem się do pracy, bo dzisiaj rano znowu się kochaliśmy. – Głos zaczął mu niebezpiecznie drżeć. – Kiedy wychodziłem, pożegnała mnie z uśmiechem. Miała na sobie moją koszulę. Rozumiesz, człowieku, co do ciebie mówię?

Jeden z policjantów parsknął cichym śmiechem. Avery Dawson posłał mu wściekłe spojrzenie, po czym wrócił do rozmowy z Clayem:

– Tak, panie LeGrand. Rozumiem, co pan mówi, ale niech pan także spróbuje zrozumieć mnie. Muszę zadawać pytania, żeby uzyskać potrzebne informacje.

Clay cały dygotał z ledwie powstrzymanej złości.

– Zachowuje się pan tak, jakbym to ja był odpowiedzialny za zniknięcie Frankie, bo tak panu wygodnie. Będzie pan mógł zamknąć sprawę, tylko że w ten sposób nigdy nie odnajdziemy mojej żony. – Zaciśnął dłonie i nachylił się nad stołem. – Boję się o nią, boję się jak jasna cholera, rozumie pan? Jeśli założycie, że to ja jestem winien, nie kiwniecie palcem, żeby ją znaleźć.

Dawson myślał szybko: LeGrand zachowywał się agresywnie; zwykle w takich sytuacjach współmałżonek nie usiłuje tak gorączkowo dowodzić swojej niewinności. Był pewien, że ten facet coś ukrywa.

– Porywczy z pana człowiek, LeGrand.

– Mam powody. – Clay czuł, że jeszcze chwila, a rozplacze się jak małe dziecko. – Niech pan znajdzie moją żonę.

Dawson zaczął się wahać. Może jednak ten cały LeGrand mówi prawdę? Z drugiej strony jego opowieść wydawała się co najmniej mało prawdopodobna. Nikt przecież nie znika ot tak, nagle, bez śladu. Albo gość jest znakomitym aktorem i odgrywa komedię, albo... jego żona rzeczywiście przepadła jak kamień w wodę.

Detektyw zmrużył oczy, potarł czoło. Może nie nadaje się już do tej pracy i powinien przejść na emeryturę? Czuł się zmęczony, coraz mniej angażował się w dochodzenia, które prowadził. Od pierwszej chwili, kiedy pojawił się na miejscu zdarzenia, podejrzewał LeGranda. Przesłuchiwał go od ponad godziny i dopiero teraz w jego umyśle zaczęły się rodzić wątpliwości. Wcześniej cały czas szukał jakiegoś haczyka na tego człowieka, zamiast podejść do sprawy obiektywnie. Zły na samego siebie, klnąc w duchu pracę, która potrafiła otepić go do tego stopnia, zamknął notes, włożył długopis do kieszeni.

– To chyba na razie wszystko – mruknął. – Skontaktuję się z panem wkrótce.

Clay bez słowa chwycił książkę telefoniczną.

– Co pan robi? – zdziwił się Dawson.

– Zamierzam wynająć prywatnego detektywa. Chcę odnaleźć żonę.

– Jeśli została porwana, jak zdaje się pan uważać, należałoby poczekać, aż porywacz zażąda okupu. Angażując prywatnego detektywa, może pan tylko pogorszyć sytuację żony.

– Nie będzie żadnego żądania okupu – sarknął Clay.

Dawson zrobił wielkie oczy. Skąd ten facet wie, że nie będzie żądania okupu? Czyżby?...

– A to niby dlaczego?

– Nadal nic pan nie rozumie? Zarabiam na rękę niecałe dwa tysiące dolarów miesięcznie. Żona pracuje na pół etatu w bibliotece. Moi rodzice nie należą do ludzi bogatych, a Frankie w ogóle nie ma rodziców, wychowała się w domu dziecka. Nawet ten dom nie jest naszą własnością. Czego mieliby żądać porywacze? Kluczyków do mojej starej furgonetki?

Dawson poczuł, że oblewa go fala gorąca. Facet wyraźnie robi z niego durnia. Niezbyt przyjemne uczucie.

– Domyślam się, że pańska żona nie ma ubezpieczenia na życie.

Clay zacisnął zęby. Miał szczerą ochotę przyłożyć temu gliniarzowi.

– Tak się składa, że jedyne ubezpieczenie w naszej rodzinie jest na mnie. W razie mojej śmierci Frankie dostanie pół miliona dolarów. Ja w razie jej śmierci nie dostanę złamanego grosza, będę miał tylko złamane serce. A teraz wybaczenie, panowie. Jeśli skończyliście, żegnam, mam jeszcze kilka telefonów do załatwienia.

Nie czekając na odpowiedź, chwycił telefon i wyszedł z pokoju. Stojący koło drzwi mundurowi spojrzeli pytająco na Dawsona.

– Mój partner już wrócił? – rzucił ten poirytowanym tonem.

– Nie – odpowiedział jeden z policjantów. – Ramsey ciągle jeszcze przepytuje sąsiadów.

Dawson ruszył do wyjścia. Sprawa napawała go niesmakiem. Miał dość, był zniechęcony i zmęczony.

W dodatku ta okropna pogoda.

Kryjąc się na ganku przed zacinającym deszczem, rozejrzał się za samochodem swojego partnera: dojrzał go na końcu ulicy. Po chwili zobaczył też Ramseya, który wychodził właśnie z domu na rogu. Pokiwał do niego, dając mu znak, że skończył przepytować LeGranda i że mogą już jechać.

– Cholera, ale leje – mruknął, wsiadając do wozu, i z impetem zatrzasnął drzwiczki.

Paul Ramsey uśmiechnął się.

– Nie roztopisz się, stary. Takich jak ty nic nie ruszy.

– Chyba masz rację – powiedział Dawson z westchnieniem.

– Już masz dość? – zagadnął Ramsey, ruszając. – O tej porze? Przpracowaliśmy zaledwie dziesięć godzin, partnerze. Jeszcze młoda godzina.

– Godzina może i młoda, tylko że ja się starzeję.

– A to co znowu?

– Źle zacząłem sprawę, byłem uprzedzony. Nie ma się czym chwalić. – Dawson z rezygnacją pokiwał głową.

– Myślisz, że ten facet mówi prawdę?

Dawson wzruszył ramionami.

– Może tak... może nie. Znalazłeś coś?

– Kobieta, która mieszka na końcu ulicy, mówi, że kiedy wracała z zakupami ze sklepu, jakiś czarny samochód z przyciemnionymi szybami omal nie rozjechał jej na przejściu dla pieszych. Miała wrażenie, jakby parkował pod domem

LeGrandów i ruszył pełną szybkością, ale nie jest tego pewna.

– Oczywiście nie zapamiętała numerów rejestracyjnych?

Ramsey pokręcił głową.

– Dlaczego ja się dziwię? Powinienem się tego spodziewać – mruknął Dawson.

– Jakie plany? – zapytał Ramsey.

– Pozostaje sprawdzić zeznania LeGranda i modlić się o jakąś wskazówkę. I żeby wreszcie przestało lać. Mam wszystkiego dosyć, a już najmniejszej ochoty wracać do domu przemoczony do suchej nitki.

Clay siedział przy oknie w bawialni zapatrzony w noc. W domu panowała cisza. Policja dawno odjechała, rodzice, którzy pojawili się wkrótce potem, też już wrócili do domu. Ich wizyta, zamiast przynieść uspokojenie, wprawiła go w jeszcze większą panikę. Frankie była jego ostoją, z jej zniknięciem poczuł się zupełnie zagubiony w obcym, wrogim świecie.

O szyby uderzył kolejny poryw wiatru siekący deszczem. Pogoda pogarszała się z godziny na godzinę, zapowiadano nawet opady śniegu.

Wtem w wieczorną ciszę wdarł się daleki, przenikliwy ryk syreny. Clay zerwał się z fotela i pobiegł ku drzwiom, szarpnął je gwałtownie. Kuląc się przed deszczem i wiatrem, usiłował coś dojrzeć w mroku. Ciągle jeszcze miał nadzieję, że nagle przy wejściu do domu w jakiś cudowny sposób pojawi się jego Frankie, cała i zdrowa. Nikogo.

Wokół pustka, cisza.

Clay zadrzał. To nieprawda. Niemożliwe. Musi być jakieś wyjaśnienie tej strasznej zagadki, wyjaśnienie, którego nie potrafi sobie przypomnieć.

Może się zgubiła? Może próbuje teraz znaleźć drogę do domu?

Nie zważając na ulewny deszcz, podszedł do furtki. Musi odnaleźć Frankie. Czyż nie ślubował, że będzie się nią opiekował, że będzie przy niej w zdrowiu i chorobie, na dobre i na złe? W gardle narastało łkanie. Dobry Boże, jak ma się nią

opiekować, kiedy nawet nie wie, gdzie ona teraz i jest?

Stanął na środku ulicy. Serce waliło mu w piersi, nie mógł oddychać, nie mógł myśleć, w głowie kołatało się tylko imię żony. Przemoczony, smagany wiatrem rozejrzał się w lewo, w prawo. Pusta, martwa ulica. Tylko ten straszny deszcz i wiatr.

Odrzucił głowę i zawołał na cały głos, próbując I przekrzyczeć szum wiatru:

– Francesca!

Zamilkł i wbrew wszelkiemu rozsądkowi nasłuchiwał odpowiedzi, łudził się, że gdzieś z mrocznej ciszy przyjdzie odpowiedź.

Odpowiedziało mu milczenie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Denver, Kolorado. Dwa lata później

Clay wrzucił pas z narzędziami na przednie siedzenie furgonetki, odwrócił się do swoich ludzi i przekrzykując szum jesiennego deszczu, zawołał głośno:

– Na dzisiaj koniec, chłopcy. Pakujcie się. Dopóki deszcz nie ustanie, nie możemy zrobić nic więcej.

Robotnicy zaczęli się powoli rozchodzić, pomrukując pod nosem. Mniej dzisiaj zarobią, ale trudno. Szef miał rację, praca w tych warunkach groziła wypadkiem, a żadnemu z nich nie uśmiechało się trafić do szpitala.

Clay raz jeszcze omiół spojrzeniem plac budowy i wsiadł do samochodu. Być szefem to jednak nie to samo, co być tylko kierownikiem robót. O co innego boli człowieka głowa. Inne obowiązują zasady. Ale odkupienie firmy od ojca okazało się jedynym wyjściem, jeśli nie chciał zwariować.

Uruchomił silnik, wrzucił wsteczny bieg i po raz ostatni spojrzał na rozpoczętą niedawno budowę. Wszystko w porządku. Chyba...

Z westchnieniem zmienił wsteczny na jedynekę i ruszył w kierunku szosy.

Ostatnie dwa lata walczył o odzyskanie równowagi psychicznej. Całą uwagę starał się poświęcać firmie, opędzając się od natrętnych policjantów, od wścibskich i bezwzględnych dziennikarzy. Jakkolwiek by się starał, cokolwiek by robił, zdawał sobie sprawę, że w oczach ludzi uchodził za mordercę, mimo że nikt niczego mu nie dowiódł.

Zniknęła kobieta i ktoś musiał być temu winny. W takiej sytuacji najprościej zrzucić całą odpowiedzialność na męża. Nikogo, poza nim samym i jego rodzicami, nie obchodziło, co czuje, jak teraz wygląda jego życie. Opinia publiczna wydała na niego wyrok: dokonał zbrodni i uszedł bezkarnie. Clay zgorzkniał, ale też zobojętniał na sądy otoczenia. Czasami tylko na nowo budził się w nim znajomy ból, który usiłował zagłuszyć, pogrążając się w pracy.

Niechętnie wracał do domu, bał się, że tam, w samotności znowu dopadną go złe myśli. Prawdę mówiąc, to już nie był dom. Ot, miejsce, gdzie sypiał, nic więcej.

Rodzice od wielu miesięcy namawiali go na przeprowadzkę, ale nie chciał podjąć ostatecznej decyzji. Przecież tutaj kiedyś był szczęśliwy. Tutaj po raz ostatni widział Francescę. Nie potrafił uwolnić się od wspomnień. Jeszcze nie był gotów na zerwanie ostatnich więzów łączących go z żoną.

Przez te dwa lata jeździł po całym kraju, usiłując identyfikować ciała nieznanymi kobiet. Nie pamiętał już nawet, ile było takich wypraw. Za trzecim razem, kiedy wezwano go, by obejrzał kolejne zwłoki, coś w nim umarło. Jeździł nadal, ilekroć otrzymywał wiadomość z policji, ale robił to niejako z obowiązku, nic nie czując – ani lęku, ani nadziei. Tak jakby Francesca LeGrand nigdy nie istniała. Gdyby nie album ze zdjęciami ślubnymi i pustka, jaką wraz ze swoim zniknięciem zostawiła w sercu Claya, prawie gotów byłby w to uwierzyć.

Przez skrzyżowanie przemknął wóz strażacki na sygnale, pozostawiając za sobą smugę koloru w szarym świetle popołudnia. Dziwne: pożar w taki deszcz. Cóż, na świecie zdarzają się najdziwniejsze rzeczy. Choćby to, że ktoś może zniknąć bez śladu.

W chwilę później skręcił w swoją uliczkę. Na widok małego drewnianego domku, ich domku, poczuł niemiły ucisk w żołądku. Zawsze to samo. W dodatku kilka dni wcześniej, w trzecią rocznicę ślubu i drugą rocznicę zaginięcia Franceski lokalna stacja telewizyjna wyemitowała poświęcony jej program. Jakiś tępy dziennikarz, bardziej nadający się do pisania w brukowcach niż przygotowywania odpowiedzialnych reportaży, uznał za stosowne wyciągnąć historię sprzed lat oraz przyjrzeć się obecnemu życiu Claya. Nawet najbardziej nieuważny widz nie mógł nie dostrzec oczywistych wniosków wynikających z tendencyjnego programu: Francesca LeGrand zaginęła, tymczasem jej mąż żyje sobie szczęśliwie, prowadzi dochodową firmę i kpi sobie z prawa. Minęło tyle czasu, a nic się nie zmieniło: w oczach ludzi Clay LeGrand ciągle pozostawał winny zniknięcia żony.

Zaparkował przed domem. Przez chwilę siedział bez ruchu za kierownicą, wsłuchując się w bębnienie deszczu o dach samochodu. Może ci, którzy go obwiniali, mieli rację? Była przecież jego żoną, a on jej nie potrafił ochronić. Jeśli ktoś ponosił tutaj winę, to chyba właśnie on.

Klnąc pod nosem, wysiadł z wozu.

Zanim zdążył dobiec do drzwi, był kompletnie przemoczony. Przekręcił klucz w zamku i nie bez wzdragania wszedł do środka.

Dom.

Jak zawsze martwy, pogrążony w ciszy.

Clay zapalił światło, włączył telewizor – codziennie wykonywał te same gesty, mające pozorować normalność. Rzucił klucze na stolik w holu i spojrzał na podłogę, czy nie ma nowej poczty. Nie było.

Znalazł korespondencję dopiero w pokoju, ułożoną porządnie w kącie kanapy. Zmarszczył brwi. Wprawdzie co kilka dni przychodziła sprzątaczką, ale Betty LeGrand i tak musiała sama wszystkiego doglądać, dotknąć, poprawić każdą rzecz.

Przerzucił koperty i poszedł do kuchni, żeby przygotować sobie kawę. Kubek gorącego, aromatycznego napoju powinien go rozgrzać.

Nalewając wodę do ekspresu, uśmiechnął się do siebie na widok talerzyka i widelczyka w zlewie. Matka zjadła ostatni kawałek placka z wiśniami. Cholera. A taką miał ochotę na coś słodkiego. Trudno, obejdzie się smakiem. Wzruszył ramionami i zajął się kawą. Miał większe zmartwienia. Nastawił ekspres i ruszył w kierunku sypialni. Może gorący prysznic i suche ubranie poprawią mu nastrój. Przechodząc przez bawialnię, zatrzymał się na moment, sięgnął po pilota. Właśnie zaczynały się lokalne wiadomości.

„Po wczorajszym trzęsieniu ziemi w południowej Kalifornii sytuacja nadal nie wróciła do normalności. Wciąż kuleje transport, komunikacja wewnątrz stanu i ze stanem jest utrudniona. Kilka linii lotniczych wznowiło już regularne loty, ale pasażerom nadal odradza się podróż w obszar objęty katastrofą. Nie jest jeszcze dokładnie znana liczba ofiar”.

Clay zmienił kanał. Kiedy na ekranie pojawiła się czołówka starego serialu „Kocham Lucy”, rzucił pilota na najbliższy fotel i ruszył w stronę sypialni.

Rozpinając koszulę, zauważył, że ma zabłocone buty. Pokręcił głową: chyba nie naniósł błota na dywany. Nie, podłoga była czysta, ale na wszelki wypadek szybko zzuł buty, wziął je do ręki i wszedł do sypialni.

Machinalnie zerknął na łóżko i ze zdziwieniem zauważył, że pościel jest skotłowana. Mógłby przysiąc, że rano je pościelił. Dopiero po chwili zauważył ciemne włosy i szczupłe ramię wyglądające spod kołdry. Cofnął się, zamknął oczy.

– Chryste... jeszcze tego mi trzeba. – Wziął głęboki oddech.

Spojrzał ponownie w stronę łóżka, pewien, że zjawą zniknęła. Mylił się. Nadal tam była.

Wstrząśnięty obrazem Franceski śpiącej w jego, teraz już tylko jego, łóżku, wypuścił buty z ręki, z głuchym łoskotem upadły na podłogę.

Na ten dźwięk zjawa obróciła się powoli, otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego tak dobrze mu znanym uśmiechem.

– Cześć, kochanie – powiedziała, zerkając w okno. – Mój Boże, ciągle pada.

Clay oparł się o ścianę, żeby nie upaść. Od dawna czuł, że jest na granicy załamania, ale nie przypuszczał, że do tego stopnia... Nie aż tak.

– Francesca? – szepnął ledwie słyszalnie. Bał się powtórzyć jej imię, bał się, że zjawa lada moment zniknie, rozwieje się. A może to nie omam?

Może to wszystko dzieje się naprawdę? Nie, niemożliwe.

Patrzył z niedowierzaniem, jak jego żona powoli obraca się, siada na łóżku. Zbladła, chwyciła się za skronie.

– Ojej, ale boli – jęknęła, krzywiąc się.

– Frankie?

Potrząsnęła głową, jakby chciała się ocknąć.

– Clay, jesteś zupełnie przemoczony. Weź gorący prysznic, kochanie, a ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia.

Clay przeszedł przez pokój jak w transie. Kiedy Frankie się podniosła, miał ochotę odwrócić się i uciec. Może by tak zrobił, gdyby nie to, że jego żona zachwiała się i usiadła ciężko z powrotem na skraju łóżka.

– Źle się czuję – poskarżyła się. – Okropnie boli mnie głowa.

Clay był tak wstrząśnięty, że nie docierało do niego, co Frankie mówi.

Niepewnie wyciągnął rękę, oczekując, że natrafi na powietrze. Nie, pod palcami poczuł ciepłą skórę, puls. Chwycił żonę za ramiona.

– Chryste – szepnął zdławionym głosem. – Frankie... Frankie... To jednak ty. Naprawdę tu jesteś.

Frankie spojrzała na niego zdziwiona.

– Piłeś coś?

Nie był w stanie wydobyć słowa. Osunął się na skraj łóżka, przygarnął żonę do siebie i zaczął kołysać. Dopiero po chwili dotarło do niego, co się właściwie dzieje. Odepchnął Frankie, spojrzał jej w oczy, dygocąc ze złości, z oszołomienia.

– Gdzieś ty, do diabła, była?

Wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

– Jednak piłeś.

Clay zerwał się z łóżka.

– Odpowiedz, Francesco.

– Co znaczy: odpowiedz?

– Powiedz mi, z łaski swojej, gdzie byłaś przez ostatnie dwa lata?

Coś przemknęło jej przez głowę, coś mrocznego i napawającego lękiem. Przemknęło i rozwiało się, zanim zdążyło przybrać kształt uchwytną, czytelnej myśli. Clay chwycił ją za rękę, pociągnął gwałtownie i znieruchomiał na widok licznych śladów po igle.

– Narkotyki... Brałaś narkotyki...

Popatrzyła na niego jak na wariata.

– O czym ty mówisz?

– O tym! – krzyknął i odwrócił jej rękę wnętrzem dłoni do góry.

Przez chwilę wpatrywała się w widoczne ślady nakłuć. Coś znowu obudziło się w jej pamięci i umknęło jak przed chwilą, zanim zdążyła sobie uświadomić, o co chodzi. Zdziwiona, przeciągnęła palcem po skórze. Łzy nabiegły jej do oczu.

– Nie biorę narkotyków, przecież wiesz, że nie biorę – szepnęła i zamknęła oczy: zakręciło się jej w głowie, pokój zawirował.

– To skąd te ślady?! – krzyknął Clay i pociągnął ją bliżej nocnej lampki.

Frankie jęknęła. Głowa bolała ją coraz bardziej, ból narastał z minuty na minutę, tak dotkliwy, że przyprawiał o mdłości. Wyrwała się Clayowi, chwyciła za skronie.

– Źle się czuję.

Clay trząsł się jak galareta, nie był w stanie trzeźwo myśleć.

– Ja też, Francesco. Znikasz na dwa lata, po czym pojawiaasz się jak gdyby nigdy nic, zaczynasz pleść coś o prysznicu i o obiedzie. Czyś ty na głowę upadła?

Patrzyła na męża bez słowa. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Dwa lata? Jakie dwa lata? Przecież widzieli się zaledwie przed kilkoma godzinami. Znowu zakręciło się jej w głowie, pokój przed oczami zawirował.

Clay zdążył ją chwycić, zanim upadła, położył na łóżku i wykręcił 911.

– Słucham zgłoszenia – odezwała się dziewczyna po drugiej stronie.

Przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć. Żona wróciła do domu. Znalazła się zaginiona kobieta... Nie, było przecież coś ważniejszego.

– Moja żona zemdlła. Nie wiem, co się stało, podejrzewam, że przedawkowała narkotyki. Potrzebuję pomocy... Proszę.

– Oddycha? – zapytała dziewczyna.

Clay nachylił się nad Frankie, poczuł delikatny powiew na policzku. Ze łzami w oczach, drżącymi palcami posłusznie wykonywał polecenia dziewczyny.

Boże, nie pozwól jej umrzeć. Nie tutaj. Nie teraz. Nie mogę jej stracić, ledwie ją odzyskałem. Nie dopuść do tego.

Po kilku minutach usłyszał przenikliwy sygnał syreny.

– To karetka – rzucił do słuchawki. – Muszę im otworzyć.

Ledwie dziewczyna się wyłączyła, Claya ogarnęła panika. Zerwał się, pobiegł do drzwi i otworzył je na oścież, wymachując gorączkowo do pielęgniarzy, by się pospieszyli.

Z narastającym przerażeniem patrzył, jak sprawdzają Frankie tętno. Prawie nic nie rozumiejąc, przysłuchiwał się żargonowym określeniom. Kiedy pielęgniarze przenieśli bezwładne ciało na nosze i ruszyli do wyjścia, w głowie pojawiła mu się jedna jedyna myśl: nie może dopuścić, by Frankie znowu zniknęła z jego życia.

– Pozwólcie mi jechać z nią – powiedział błagalnym głosem.

– W karetce nie ma miejsca, proszę pana.

– Dokąd ją zabieracie?

– Do Szpitala Miłosierdzia. Może pan jechać za nami swoim wozem.

Clay wbiegł do domu, chwycił kurtkę i klucze. W ostatniej chwili zorientował się, że jest bez butów.

Jęknął i zawrócił do sypialni. Ręce mu drżały, kiedy wzuwał mokasyny. Uporawszy się z nimi, chwycił za słuchawkę telefonu. Będzie przecież potrzebował pomocy. Pospiesznie wystukał numer.

– Mieszkanie LeGrandów – usłyszał głos ojca.

Nie wiedział, co powiedzieć, w głowie miał kompletną pustkę.

– Tato, to ja, Clay.

– Cześć, synu. Wcześniej dzisiaj skończyłeś, prawda? Posłuchaj... Może przyjechałbyś do nas na kolację? Mama zrobiła twoją ulubioną pieczeń wołową.

– Nie, tato. Chciałbym, żebyście oboje jak najszybciej przyjechali do Szpitala Miłosierdzia.

Winston poczuł ukłucie w sercu.

– Co się stało?

– Francesca... wróciła. Zastałem ją w swoim łóżku, kiedy wróciłem do domu. Coś się z nią dzieje niedobrego. Przed chwilą zabrała ją karetka. Zaraz jadę do szpitala.

Po drugiej stronie na moment zapadła głucha cisza.

– Matko przenajświętsza... Dobrze, zaraz tam będziemy – powiedział Winston.

Clay miał już odłożyć słuchawkę, ale zawahał się. Poczekał na sygnał i wystukał kolejny numer. Znał go na pamięć. Nerwowo zerknął na zegarek, czekając, aż ktoś podejmie rozmowę. Od chwili odjazdu karetki minęły cztery minuty. Wreszcie po drugiej stronie odezwał się męski głos.

– Trzeci posterunek, detektyw Dawson przy telefonie.

Clay mocniej ścisnął słuchawkę.

– Dzień dobry, detektywie Dawson. Tu Clay LeGrand. Jeśli zależy panu na tym, by zamknąć sprawę zaginięcia mojej żony, niech pan zaraz przyjedzie do Szpitala Miłosierdzia.

Avery Dawson poderwał się z krzesła.

– Co chce pan powiedzieć?

Clay nie był w stanie pohamować narastającego przez lata gniewu.

– I niech pan nie zapomni przy okazji zawiadomić telewizji i prasy. Niech pan obdzwoni wszystkich tych dupków z mediów, którzy tak beztrząsco wydali na mnie wyrok.

– To ma być oświadczenie?

– Wszystko jedno, nazywaj pan to sobie, jak chcesz.

– Będę tam za dziesięć minut – obiecał Dawson i odłożył słuchawkę.

Clay szybko ruszył ku drzwiom.

– Naprawdę chce złożyć oświadczenie? – dopytywał się Ramsey.

Dawson zerknął na swojego partnera i ponownie utkwiał wzrok w drodze. Szybka jazda przy takiej pogodzie nie była bezpieczna, ale detektyw bał się, że Clay w każdej chwili gotów był się rozmyślić.

– Powiedział, że mogę to nazwać oświadczeniem – mruknął Dawson i ostro przyhamował: samochód jadący tuż przed nim gwałtownie zatańczył na śliskiej jezdni i nieoczekiwanie zmienił pas.

– Cholera, mało brakowało. – Ramsey odruchowo poprawił pas bezpieczeństwa.

Dawson zerknął w lusterko wsteczne.

– Połącz się z operatorem. Wygląda na to, że ten wóz będzie trzeba odholować.

Ramsey skinął głową i sięgnął po mikrofon, obserwując jednocześnie napiętą twarz przyjaciela. Sprawa zaginięcia Franceski LeGrand męczyła Dawsona jak mało które z prowadzonych dochodzeń. Od samego początku obracali się wśród samych niewiadomych, nie mieli żadnych, absolutnie żadnych wskazówek, poszlak, śladów. Mimo wielomiesięcznego, bardzo żmudnego śledztwa, nie udało się zebrać wystarczająco przekonującego materiału, by prokurator wydał nakaz aresztowania LeGranda. Ramsey nie ufał Clayowi, nie wierzył, że mąż zaginionej rzeczywiście gotów jest złożyć oświadczenie. Uszedł bezkarnie, dlaczego teraz miałby się przyznawać do winy?

– Jesteśmy na miejscu. – Ramsey wskazał dłonią budynek szpitalny, stojący zaraz za skrzyżowaniem.

– Widzę – mruknął Dawson i skrzył na żółtym świetle. W tej samej chwili na ulicy pojawiła się furgonetka Claya LeGranda.

– Jest nasz facet! – powiedział Ramsey.

– Owszem, jego też widzę – burknął Dawson, zirytowany zupełnie niepotrzebnymi komentarzami kolegi.

Obydwa samochody prawie równocześnie wjechały na parking. Zanim Dawson zdążył odpiąć pas, Clay pędził już w stronę wejścia.

– Strasznie mu się spieszy – zauważył Ramsey z przekąsem.

Policjanci rzucili się biegiem do drzwi szpitala, rozpryskując kałuże i chroniąc głowy przed zacinającym deszczem.

Ku ich zdumieniu, w holu czekał już ojciec Claya LeGranda.

– Proszę za mną, panowie.

Detektywi wymienili zdziwione spojrzenia. O co chodzi? Czyżby LeGrand prowadził z nimi jakąś grę?

– Proszę posłuchać, panie LeGrand, przyjechaliśmy na wezwanie pana syna i z nim chcielibyśmy rozmawiać, nie z panem.

Winston wzruszył ramionami.

– Jak chcecie. Jeśli jednak zależy wam na poznaniu prawdy, chodźcie ze mną.

Odwrócił się i ruszył w stronę krzeseł, gdzie siedziała jego żona.

– Jest i LeGrand – powiedział Ramsey, wskazując Claya opartego o ścianę.

Po chwili dwaj adwersarze znów stali naprzeciwko siebie, mierząc się nieprzychylnym wzrokiem.

– Co takiego ważnego ma pan nam do powiedzenia, LeGrand?

Clay wskazał na pobliskie drzwi.

– Chciałem przedstawić wam, panowie, moją żonę, Francescę LeGrand. Dzisiaj niespodziewanie pojawiła się w domu, w nie najlepszym stanie. Zemdląła, kiedy zacząłem z nią rozmawiać. Lekarz jeszcze ją bada, ale ślady wkluc na rękach nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

Ramsey stanął obok Dawsona, który bez słowa wpatrywał się w kobietę leżącą na stole w izbie przyjęć.

– To jakiś żart? – prychnął Dawson.

Clay popatrzył na detektywa, nie bardzo wiedząc, kto tu zwariował.

– A wyglądam na takiego, któremu jest do śmiechu?

Dawson i Ramsey podeszli bliżej do kobiety, nad którą nachylał się lekarz.

Frankie miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej głowa. Wydawało się jej, że gdzieś w oddali, jak przez mgłę, słyszy głos Claya, ale nie była w stanie skupić się na tyle, by usłyszeć, o czym mówi jej mąż. Odwróciła wzrok w jego stronę. Teraz detektywi mogli wyraźnie zobaczyć jej twarz.

– Matko Boska – mruknął Ramsey i przeżegnał się odruchowo.

Betty LeGrand podniosła się z krzesła, podeszła do grupki zebranej wokół stołu zabiegowego.

– To cud, prawda?

– Na to wygląda – powiedział Dawson, odsuwając się o krok.

Betty przytuliła kompletnie oszołomionego, wstrząśniętego Claya.

– Chodź, synku, usiądź koło mnie – przemówiła cichym, łagodnym głosem.

Clay gwałtownie zamrugał powiekami, jak człowiek obudzony ze snu.

– Dziękuję, mamó, ale nie mógłbym usiedzieć w miejscu.

Betty pogłaskała go po ramieniu i wróciła do Winstona. Przy nim zawsze czuła się pewniej, bezpieczniej. Coś się jej nie zgadzało w całej tej historii z cudownym objawieniem się Frankie. Nie widziała nigdy dotąd nikogo, kto by przedawkował narkotyki, ale czytała sporo na ten temat i wiedziała, że objawy powinny być inne.

Dawson tymczasem zwrócił się do Claya, nadal pełen wątpliwości, po swojemu podejrzliwy.

– Gdzie ona, u diabła, się podziewała? – zapytał napastliwym tonem.

– Wiem akurat tyle samo co pan – odparował Clay. – Kiedy widziałem ją po raz ostatni, nie miała tych śladów na rękach.

Dawson spojrział na posiniaczone, skłute ręce Frankie.

– Niech mnie cholera, jeśli cokolwiek z tego rozumiem – mruknął.

Ramsey zerknął na partnera, wsunął dłonie do kieszeni.

– Przepraszam, panie LeGrand, jeśli byliśmy dla pana niezbyt przyjemni, ale wie pan, jak się rzeczy miały.

– Owszem, wiem, jak się rzeczy miały, również z mojego punktu widzenia.

Dawson oblał się rumieńcem, po czym wyciągnął rękę.

– W każdym razie bardzo przepraszam.

Frankie raptem jęknęła, a potem krzyknęła z bólu.

Clay jednym skokiem znalazł się przy stole zabiegowym.

– Co się dzieje?

– Bardzo proszę, niech pan zaczeka na zewnątrz. – Pielęgniarka popchnęła go do wyjścia.

– Uważaj na autobus! – zawołała Frankie.

W którymś z otaczających ją aparatów odezwał się sygnał alarmowy. Zanim Clay zdążył cokolwiek dojrzeć, wypchnięto go z sali.

ROZDZIAŁ TRZECI

Clay stał przy oknie i patrzył na żonę. Jeszcze nie odzyskała przytomności. Nie czuł już żalu, że opuściła go na tak długo. Ani żalu, ani gniewu, tylko niepokój. Cokolwiek uczyniła, dawno już jej wybaczył, nie chował w sercu urazy. Kochał ją. Nigdy nie przestanie kochać. Nawet jeśli swoją miłością nie był w stanie zatrzymać Frankie przy sobie.

Westchnął i omiół spojrzeniem twarz o idealnym owalu: mały, prosty nos, szerokie, zmysłowe usta. Jego żona. Dopiero teraz uderzyło go, jak mało wie o jej przeszłości. Tyle tylko, ile sama mu opowiedziała.

Kiedy miała cztery lata, została sierotą. Następnich czternaście lat spędziła w Gladys Kitteridge House, domu dziecka w Albuquerque w Nowym Meksyku. Potem skończyła college w Denver i podjęła pracę, zaczęła studiować bibliotekoznawstwo. Clay doskonale pamiętał ich pierwsze spotkanie w restauracji, gdzie była kelnerką. Szczupła, prawie chuda, roześmiana pojawiła się na sali, balansując wśród stolików z ogromną tacą pełną steków. Zapragnął jej od pierwszego wejrzenia, nim jeszcze zdążył się dowiedzieć, jak ma na imię.

Znowu westchnął. Miał wrażenie, że od tamtej chwili minęły całe wieki. To wszystko działo się, zanim od niego odeszła, zanim jego świat rozpadł się w gruzy.

Frankie zamrugała oczami. Ciekawe, czy wie, gdzie jest, co się z nią dzieje? Oddychała powoli, płytko. Rozsypane na poduszce ciemne włosy podkreślały chorobliwą błądź twarży.

Zmarszczył czoło. Niepokoiło go, że leży tak spokojnie. Z tego, co czytał, objawy nie przypominały zapaści ponarkotykowej. Z drugiej strony, jak wytłumaczyć ślady wkluc na rękach? I ten dziwny atak na moment przed omdleniem... Krzyczała coś o autobusie. Co to miało oznaczać?

Przeczesał włosy palcami i zaczął rozcierać sztywne mięśnie karku. Nie potrafił już powiedzieć, czy bardziej boli go głowa, czy serce. Ciągle nie wierzył, że przeżywa to wszystko na jawie, że to się dzieje naprawdę. A jednak Frankie była tutaj, leżała w szpitalnym łóżku. Dlaczego go zostawiła? Jeśli zażywała narkotyki, nie musiała uciekać z domu. Ludzie tak przecież nie postępują. Kryją się z nałogiem, to prawda, ale nie znikają nagle, by powrócić po latach.

Nachylił się nad nią odruchowo, jakby w ten sposób mógł przeniknąć myśli

żony. Potrzebował wyjaśnień, dość miał już tajemnic i zagadek. Tymczasem nie znajdował żadnej sensownej odpowiedzi na swoje pytania.

Wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął ramienia Frankie. Przez ostatnie dwa lata z uporem hołubił najdroższe wspomnienia, wbrew zdrowemu rozsądkowi nie chciał ich pogrzebać. A teraz... Bał się uwierzyć, że Frankie wróciła, bał się nadziei. Bał się, że żona zniknie równie niespodziewanie, jak się pojawiła.

Frankie poruszyła się, głęboko wciągnęła powietrze, otworzyła oczy. Mógłby przysiąc, że przez moment widział w nich przerażenie, po czym spojrzenie znowu stało się szkliste, nieprzytomne, powieki zamknęły się i Frankie na powrót zapadła w otchłań nieświadomości.

Nachylił się tak, że wargami niemal dotykał ucha żony.

– Co się stało, Frankie? – szepnął ledwie słyszalnie. – Dlaczego uciekłaś?

Westchnęła.

Po jej policzku spłynęła jedna jedyna łza. Clay nachylił się jeszcze bardziej i po raz pierwszy od dwóch lat pocałował kobietę, która była jego żoną.

Mijały godziny, w czasie których Clay rozważał różne możliwe scenariusze, usiłując cokolwiek zrozumieć. Na darmo. Z którejkolwiek strony patrzyłby na sprawę, nie był w stanie wytłumaczyć sobie zniknięcia Franceski.

Nagle drzwi od izolatki otworzyły się z impetem i w progu stanął Carl Willis, lekarz prowadzący.

– A jest pan, panie LeGrand. Szukałem właśnie pana.

– Ma pan już wyniki badań, doktorze?

– Większość.

Clay zrobił krok w stronę lekarza, nie zdając sobie nawet sprawy, że zaciska dłoń w pięści.

– Narkotyki?

Doktor Willis wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co brała, ale na pewno nie były to typowe narkotyki. Poza tym pana żona nie ma zwykłych w takich razach objawów głodu narkotykowego. W jej krwi nie znaleźliśmy żadnych śladów używek. Wszystko wskazuje na to, że przyjęła dużą ilość środków nasennych. Czy żona cierpi na bezsenność?

Clay był wręcz oszołomiony tymi rewelacjami. A więc Frankie nie brała narkotyków? Jeśli nie narkotyki, to o co tutaj chodziło?

– Panie LeGrand?

Clay drgnął.

– Przepraszam. Co pan mówił, doktorze?

– Pytałem, czy żona cierpi na bezsenność.

– Nie... chyba nie, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. – Dotknął policzka Frankie. Chciał, żeby się obudziła. Chciał jej powiedzieć, że bardzo mu przykro. Chciał się dowiedzieć, gdzie była przez ostatnie dwa lata. – Co jej jest?

– Miała silne wstrząśnienie mózgu. Obrażenia na plecach i na ramieniu wskazują, że mogła ulec wypadkowi.

„Uważaj na autobus!” – Clay przypomniał sobie krzyk Frankie, zanim straciła przytomność.

– Potrafi pan określić, kiedy to się mogło stać?

Dwaj policjanci zdążyli pokrótce wprowadzić doktora Willisa w zagadkową historię Frankie. Przypominał sobie też artykuły w prasie na temat LeGrandów i ze wstydem musiał przyznać, że podobnie jak wiele osób w mieście, on też skłonny był widzieć w Clayu mordercę własnej żony. Teraz jednak gotów był zrobić wszystko, by pomóc rozwikłać zagadkę zniknięcia i powrotu Frankie.

– Rozcięcie na głowie ciągle krwawi. Myślę, że do wypadku doszło jakieś trzy, cztery godziny temu.

Clay zbladł, przypomniawszy sobie swój napad wściekłości na widok żony.

– Wyjdzie z tego? – zapytał drżącym głosem.

Doktor Willis wahał się przez moment.

– Panie doktorze?

Willis westchnął.

– Jeśli nie pojawią się jakieś nieprzewidziane komplikacje, powinna wkrótce wrócić do zdrowia. Fizycznie – dodał.

Niepokój Claya rósł z każdą chwilą.

– Tylko fizycznie?

– Mówił pan, że żona nie zdaje sobie sprawy, ile czasu upłynęło od jej zniknięcia. Takie odniósł pan w każdym razie wrażenie.

– Myślałem, że kłamie – szepnął Clay.

Willis wzruszył ramionami.

– Możliwe. Musimy jednak brać pod uwagę także i to, że pańska żona nie pamięta, co się z nią działo. Miała naprawdę silny uraz głowy. Jeśli dodamy do tego stres i traumę, trudno wykluczyć amnezję wybiórczą.

– Czy ona dojdzie do siebie? To znaczy, czy odzyska pamięć?

– W takich przypadkach trudno cokolwiek wyrokować.

– Chce pan powiedzieć, że mogę nigdy się nie dowiedzieć, co się z nią działo przez te lata?

Doktor Willis próbował mówić z pewnością w głosie, ale nigdy nie potrafił kłamać.

– Istnieją wszelkie przesłanki, by wierzyć, że z czasem pańska żona odzyska pamięć. Musi się pan uzbroić w cierpliwość i czekać.

Clay westchnął z rezygnacją. Nie to chciał usłyszeć.

– Ach, byłbym zapomniiał. Na korytarzu czeka dwóch detektywów, którzy chcą z panem rozmawiać.

Clay raz jeszcze spojrzął na Frankie, po czym ruszył ku drzwiom.

Kiedy wyszedł na korytarz, z krzesła podniósł się Avery Dawson. W tej samej chwili zza załomu korytarza wyszedł Ramsey, niosąc dwa kubki kawy,

– Doktor Willis powiedział mi, że chcecie ze mną rozmawiać – zaczął Clay.

Dawson odebrał kawę od Ramseya i wskazał Clayowi cichy kąt w głębi korytarza.

– Pomyślałem, że zainteresuje pana ta wiadomość: otóż dzisiaj w śródmieściu był poważny karambol, autobus zderzył się z ciężarówką, rozbiło się w sumie kilka samochodów, między innymi taksówka.

Clay zacisnął zęby. Krzyk Frankie!...

Dawson ostrożnie dobierał słowa:

– Nie wiemy na pewno, czy w taksówce była pana żona, ale kiedy kierowca oprzytomniał, zobaczył, że w wozie nie ma pasażerki. Mówi, że wiozł ładną młodą kobietę o długich, ciemnych włosach do ramion.

– Myśli pan, że to mogła być?...

Dawson wzruszył ramionami.

– Być może. Jeśli to rzeczywiście była ona, miała cholerne szczęście. Wszystkie ofiary wypadku trafiły do szpitala albo prosto do kostnicy.

– Chryste – szepnął Clay, opadł na najbliższe krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, tak oczywista, że policjanci też powinni byli na nią wpaść.

– Czy ktoś pytał kierowcę taksówki, skąd wiozł tę młodą kobietę?

Ramsey skinął głową.

– Wsiadła na dworcu autobusowym. Facet mówi, że omal jej nie przejechał, tak pędziła. Kiedy wskoczyła do taksówki, podobno cała się trzęsła, ale w pierwszej chwili pomyślał, że to przez deszcz. Oglądała się bez przerwy, jakby się bała, że ktoś ją śledzi.

– Co zrobimy? – zapytał Clay, podnosząc się z krzesła.

Dawson swoim zwyczajem wzruszył ramionami.

– Nic nie możemy zrobić. Musimy czekać. Jeśli pana żona coś sobie zacznie przypominać, proszę nas natychmiast zawiadomić. Obiecuję, że postaramy się sprawdzić każdą informację.

– I to wszystko?

– Powtarzam, panie LeGrand, w tej chwili nie możemy zrobić nic więcej. Ucieczka z domu to jeszcze nie przestępstwo. Jeśli będziemy mieli jakieś wskazówki, że żona została porwana, wtedy wznowimy dochodzenie.

– Dwa lata temu trochę inaczej patrzył pan na sprawę – rzucił Clay poirytowanym głosem i odwrócił się na pięcie.

Wrócił do pokoju Franceski tak zły, że nie potrafił zebrać myśli.

Lekarz już poszedł. W pokoju panowała cisza, przerywana tylko cichymi odgłosami aparatury, do której podłączono chorą. Clay z niepokojem spojrzał na twarz żony. Co będzie, jeśli Frankie nie odzyska świadomości? Usiadł na krześle obok łóżka, po chwili wstał, podszedł do okna. Nie mógł sobie znaleźć miejsca.

– Clay?

Odwrócił się gwałtownie. W progu stała jego matka.

– Nie musiałaś tu wracać, mammo.

Betty LeGrand wzruszyła ramionami i wyciągnęła przed siebie niewielką torbę z kilkoma najpotrzebniejszymi drobiazgami osobistymi.

– Pomyślałam, że ci się przyda. Jak Frankie?

– Bez zmian.

– Rozmawiałeś z lekarzem?

Clay skinął głową.

Betty odstawiła torbę, zdjęła płaszcz, powiesiła go na oparciu krzesła i podeszła do syna.

– No to jak?... Powiesz mi, co usłyszałeś, czy mam wyciągać z ciebie słowo po słowie?

Clay westchnął.

– Mówią, że mogła utracić pamięć wskutek odniesionych obrażeń i że trzeba czekać, mieć nadzieję, że pamięć wróci. Nie przedawkowała narkotyków i jej zapaść nie ma nic wspólnego z używkami. Badanie krwi nie wykazało nic poza śladami środków nasennych.

Betty w zamyśleniu spojrzała na łóżko, na którym leżała Frankie.

– Wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła krótko.

Clay poczuł wyrzuty sumienia.

– Powiedz mi coś, mammo. Jestem jej mężem, dlaczego nie mam do niej takiego zaufania jak ty?

Betty podniosła wzrok na syna. Współczuła mu serdecznie, tak samo jak współczuła Francesce.

– Moja matka zwykła mówić, że im bardziej człowiek kocha, tym bardziej cierpi, kiedy rzeczy nie układają się po jego myśli. Przeszedłeś przez piekło, Clay. Trudno zachować obiektywizm, wiedząc, że jest się przez wszystkich wokół oskarżanym o morderstwo.

Clay podszedł do łóżka.

– Wiesz, co jest jeszcze gorsze?

Betty zbliżyła się do syna i poklepała go po ramieniu pocieszającym gestem.

– Nie wiem. Co takiego?

Clay milczał chwilę, nie mogąc zdobyć się na wyznanie.

– To, że nie wiem, co do niej czuję – wykrztusił wreszcie przez zaciśnięte gardło.

– To zrozumiałe, synku. Jeśli lekarz się nie myli i Frankie rzeczywiście straciła pamięć, pomyśl, jak ona musi się czuć. Dla niej te ostatnie dwa lata nie istnieją. Ciągłe żyje w tamtym świecie i w jej pojęciu ciągle jesteście świeżo upieczonym małżeństwem. A to oznacza, że jej serce nadal należy do ciebie, chcesz tego czy nie.

Clay pobladł.

– Nie chciałem powiedzieć, że jej nie kocham. Po prostu nie wiem tylko, czy nadal mogę jej ufać.

Betty uniosła ramiona.

– Nie będziesz wiedział, dopóki się o tym nie przekonasz.

– Rozumiem, mamó, co chcesz powiedzieć – mruknął zrezygnowanym głosem.

Betty zacisnęła usta i chwilę ważyła słowa, które miała wypowiedzieć, a które, o czym wiedziała, mogły tylko przysporzyć dodatkowego cierpienia jej synowi. A jednak musiała powiedzieć to, z czym się nosiła.

– Wpadłam do was do domu po drodze do szpitala – zaczęła.

To normalne, pomyślał Clay. Od kiedy mieszkał sam, matka często zaglądała do domku przy Denver Avenue, nie czekając na zaproszenie.

– Tak?

– Pomyślałam, że Frankie może potrzebować kilku drobiazgów. Zapomniałam, że spakowaliśmy wszystkie jej rzeczy do kartonów. Trochę trwało, zanim je znalazłam.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę, ale nie o tym chciałam mówić.

Coś zaniepokoiło go w głosie matki. Podniósł wzrok i spojrzał jej w twarz.

– Co chcesz mi powiedzieć?

Betty wsunęła dłoń do kieszeni spodni i wyciągnęła zwitek banknotów.

– Znalazłam to w suszarce, razem z markowymi spodniami i drogą bluzką. Obawiam się, że tych rzeczy nie da się już nosić, nie nadawały się do prania w domu, ale banknotom nic się nie stało,

Clay szeroko otworzył usta.

– O Boże – szepnął, biorąc od matki pieniądze.

– Tysiąc pięćset pięćdziesiąt dolarów. – Patrzył na banknoty z niedowierzaniem. – W suszarce?

– Dwa banknoty znalazłam w kieszeni spodni. Reszta wypadła, kiedy bęben zaczął wirować.

– A więc przynajmniej jeden z koszmarów, które mnie prześladowały, okazał się nieprawdziwy – powiedział Clay z sarkazmem w głosie.

– Mianowicie?

– Że Frankie umiera gdzieś z głodu.

– Przykro mi, Clay, wiem, że tylko przysparzam ci kłopotów podobnymi wiadomościami, ale myślę, że nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać, aż Frankie odzyska przytomność, a wtedy zobaczymy, co ma nam do powiedzenia.

Clay podniósł głowę.

– Ważniejsze jest to, czy będę potrafił jej uwierzyć.

Południowa Kalifornia

W dzień po trzęsieniu ziemi odnotowywano jeszcze drobne wstrząsy, które poważnie utrudniały pracę ekip ratunkowych. Pod gruzami znajdowano, niestety, więcej martwych niż żywych ofiar katastrofy.

Skoncentrowano się głównie na obszarach najbardziej zaludnionych, odkładając na później akcję w bogatszych dzielnicach, które – lepiej zabezpieczone i nie tak gęsto zabudowane – mniej ucierpiały. Ekipy pracowały tam, dokąd je wysyłano, opierając się na raportach ze śmigłowców, stale patrolujących rejon objęty tragedią. Kiedy pilot jednego z helikopterów dostrzegł zniszczony dom w kanionie, natychmiast drogą radiową wezwał posiłki.

Pete Daley od ponad dziesięciu lat pracował jako ratownik. Miał ogromne doświadczenie i wydawało mu się, że nic już nie jest w stanie go zaskoczyć. A jednak kiedy samochód skręcił w leśny trakt, jego twarz stężała.

– Myślisz, że dobrze jedziemy? – zapytał kierowcę ratunkowego vana.

Charlie Swan, jego kolega po fachu i partner, wzruszył ramionami.

– Nie wiem, innej drogi tu nie ma.

Pete wzniosł oczy do nieba.

– To dlaczego...

Charlie wskazał widoczny w oddali helikopter.

– Nie kiwa do nas co prawda rączką, ale od ponad pięciu minut krąży w jednym miejscu. Musi wskazywać nam dom, do którego jedziemy.

Pete zmieszał się nieco.

– Głupek ze mnie. Nie zauważyłem go.

– Zdarza się, staruszkule. Za to w robocie jesteś niezawodny. Zbieraj sprzęt, dojeżdżamy.

Po chwili znaleźli się przed czymś, co jeszcze niedawno musiało być imponującą rezydencją. Wysiedli z samochodu i zaczęli wypakowywać sprzęt. Ich koledzy z psami tropiącymi już ruszyli do akcji. Część ekipy weszła do głównej części domu, reszta skierowała się do zniszczonego skrzydła.

Prawie natychmiast jeden z psów zaczął popiskiwać niespokojnie i ciągnąć w stronę rumowiska u podnóża schodów.

– Chyba coś mamy – zawołał opiekun wilczura.

Chłopcy z ekipy odrzucili część gruzu, spod którego ukazała się stopa.

– Cholera – mruknął Pete i przyklęknął, pewien, że znaleźli kolejne zwłoki. Nie. Kiedy dotknął kostki ofiary, przez chirurgiczną rękawiczkę wyczuł puls i ciepło ciała.

– Żyje! – krzyknął. – Wyciągnijcie go, szybko.

Powoli, uważając, by naruszona konstrukcja nie zawaliła się ludziom na głowy, odrzucono deski i resztę gruzu.

– Popatrz – Charlie wskazał na niszę utworzoną przez belki stropowe i kawałki ściany – to go uratowało.

Pete sprawdził puls i oddech, Charlie tymczasem obmacał mężczyznę, szukając obrażeń i połamanych kości.

– Sprawdźcie, czy helikopter telewizyjny kręci się gdzieś w pobliżu. Facet nie może czekać, aż ci z kolumny sanitarnej przyślą swój śmigłowiec.

Rannego mężczyznę opatrzone i umieszczono na noszach. Dwóch ratowników wyniosło je na trawnik, gdzie czekał już helikopter.

– Polecę z nimi i wrócę tak szybko, jak się da – powiedział Pete. – Wy przeszukajcie cały dom. Może znajdziecie jeszcze kogoś, kto przeżył.

Charlie skinął głową i pospiesznie wrócił do rezydencji.

W tej samej chwili mężczyzna na noszach cicho jęknął.

– Wszystko w porządku, przyjacielu – uspokoił go Pete. – Zajmiemy się tobą.

– Kobieta... szukajcie mojej kobiety.

Pete natychmiast sięgnął po radiotelefon.

– Tu Daley. Ofiara pyta o kobietę. Szukajcie jej.

– Zrozumiałem – padło krótkie potwierdzenie i połączenie zostało przerwane.

Mężczyzna na noszach zamrugał powiekami, westchnął i stracił przytomność.

Już w helikopterze Pete miał okazję lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Facet miał trochę egzotyczną urodę, ale to samo można powiedzieć o co drugim mieszkańcu Los Angeles. Ciemne, gęste brwi, głęboko osadzone oczy. Kształt nosa i kości policzkowe mogły wskazywać, że mężczyzna pochodzi z Europy Środkowej.

Pete spojrział w dół na niemal doszczętnie zniszczoną rezydencję i pokręcił głową z niedowierzaniem, że ktokolwiek mógł przeżyć pod tymi ruinami.

– Twardziel z ciebie, przyjacielu – mruknął, ale mężczyzna, co zrozumiałe, nie podjął konwersacji.

Po kilku minutach wylądowali na dachu szpitala, gdzie czekał już wózek.

– O Boże, to Pharaoh Carn! – zawołała jedna z pielęgniarek, przyglądając się uważnie twarzy pacjenta.

Nieważne, kim był Pharaoh Carn, chodziło przecież o ratowanie ludzkiego życia, a jednak wszyscy w Los Angeles wiedzieli o powiązaniach Carna z mafią.

Całą drogę powrotną do rezydencji położonej w kanionie Pete rozmyślał o kobiecie, o której wspomniał Carn. Musiała być dla niego kimś bardzo ważnym. Ciekawe, czy ekipa ratunkowa już ją znalazła? A jeśli tak, to czy przeżyła katastrofę?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez minione półtora dnia Clay tylko raz pojechał do domu, a i to jedynie po to, żeby wziąć prysznic i przebrać się. Rodzice proponowali, że będą go zmieniać przy Frankie, prosili, żeby odpoczął, ale odmówił. Bał się. Bał się, że znowu zniknie, jeśli choćby na moment zostawi ją samą.

Tkwił w szpitalu, podrzemując na krześle albo wpatrując się w twarz żony.

Wyglądała tak samo jak kiedyś, a jednak inaczej. Miała teraz krótsze włosy. U kogo się strzygła? Jak wyglądało jej życie przez ostatnie dwa lata? Gdzie robiła zakupy, co kupowała? Po jakich ulicach chodziła? Jakie filmy oglądała, kiedy on umierał z rozpacz?

Jej twarz zdawała się teraz szczuplejsza, cera bledsza. I coś jeszcze: usta nabrały twardego wyrazu, na czole między brwiami pojawiła się zmarszczka, tak jakby dobrze znane rysy Frankie naznaczyło cierpienie.

Oprócz pieniędzy pojawiła się kolejna zagadka: tatuaż.

Odkryli go poprzedniego dnia rano, kiedy salowa prześcielała łóżko. Trzeba było odwrócić chórą, żeby zmienić prześcieradło, i wtedy na karku u nasady włosów ukazał się mały złoty znak.

– Proszę, niech pan podejdzie i spojrz – powiedziała pielęgniarka asystująca przy porannej toalecie Frankie.

Clay machinalnie przesunął palcem po skórze żony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego zdecydowała się na tę niezwykłą ozdobę. Frankie zawsze panicznie bała się igły.

– Trochę przypomina krzyż, ale to nie krzyż – mówiła pielęgniarka. – Widziałam już kiedyś taki znak, zapomniałam, jak się nazywa.

– To ankh – mruknął Clay. – Egipski symbol wieczności... Tak mi się wydaje.

Pielęgniarka zerknęła na niego pytająco, ale nic nie powiedziała. Cały oddział znał historię Frankie i Claya. W końcu jego twarz pojawiała się na ekranie telewizyjnym prawie równie często, jak twarze uwielbianych piłkarzy miejscowej drużyny futbolowej, Denver Broncos.

Uśmiechnęła się do Claya, poprawiła jeszcze poduszkę i rzuciła przyjacielskim tonem:

– Gotowe. Frankie może odpoczywać. Zajrzę później, żeby zmienić kroplówkę.

Współczucie, które go teraz zewsząd otaczało, było Clayowi równie obmierzłe, jak wcześniejsze oskarżenia. Odetchnął z ulgą, kiedy pielęgniarka wreszcie wyszła.

Tatuaż, dziwny sam w sobie, podobnie jak znalezione w suszarce pieniądze, nie zbliżał go ani na krok do odpowiedzi na pytanie, co się działo z Frankie przez ostatnie dwa lata. Mógł tylko czekać, aż żona odzyska przytomność, i mieć nadzieję, że cała rzecz z czasem się wyjaśni.

Po trzydziestu trzech godzinach nieprzerwanej ulewy niebo nad Denver wreszcie się przejaśniło. Ulice lśniły jeszcze deszczem i potoki wody spływały do studzienek kanalizacyjnych, ale padać przestało. Rześkie poranne powietrze przesycone było zapachami jesieni. Liście dawno już opadły, a śnieg na szczytach Gór Skalistych przypominał o zbliżającej się zimie.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Claya śpiącego na krześle koło łóżka. Zasepiła się na wspomnienie jakiegoś dziwnego snu o palmach. Bez sensu.

Spojrzała w okno i cicho jęknęła, mrużąc powieki przed promieniami słońca. Clay obudził się w ułamku sekundy.

– Francesca?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Co się stało?

– Jesteś w szpitalu. Leż spokojnie, zaraz zawołam pielęgniarkę.

– Zaczekaj.

Ale Clay już wybiegł z pokoju. Francesca z westchnieniem rozejrzała się po szpitalnym wnętrzu, usiłując przypomnieć sobie cokolwiek. Padało. Czekwała na powrót Claya. Zasnęła i...

Tu wspomnienia się urywały. Zaczęła od początku, cofając się pamięcią raz jeszcze o moment dalej.

Jest gdzieś na zewnątrz, w deszczu. Ale gdzie, dlaczego? Zamknęła oczy.

Zobaczyła siebie: wybiega z jakiegoś domu, rozpryskuje wodę w kałużach, ma mokre stopy, mokre łydki. Zatrzymuje taksówkę i podaje kierowcy swój adres. I znowu pustka w głowie. Pamięta tylko tyle, że taksówka lawiruje po zatłoczonych ulicach, ale w Denver zawsze i wszędzie są korki na ulicach.

Co potem? Autobus? Tak, nagle na jakimś skrzyżowaniu pojawił się autobus. Miała wypadek? Dlatego znalazła się w szpitalu? Pamiętała ból i to, że jest zupełnie przemoczona. I że koniecznie musi wrócić do domu, do Claya.

Przez szpitalny interkom ktoś wzywał lekarza. Monotonny głos rozpraszał ją, nie pozwalał myśleć. Zdołała jeszcze sobie przypomnieć, że wyjmuje zapasowy klucz ukryty na ganku pod doniczką z uschniętym geranium, otwiera nim drzwi i wchodzi do domu.

Co zrobiła, kiedy znalazła się już wewnątrz? Tak, poszła do pralni. Była przecież zupełnie przemoczona. Zdjęła ubranie i wrzuciła je do pralki. Potem przeszła do kuchni, wzięła jakiś proszek przeciwbólowy, włożyła podkoszulek Claya i położyła się do łóżka.

Zacisnęła dłonie na kołdrze, usiłując sobie przypomnieć, co było dalej, gdy nagle drzwi od izolatki otworzyły się i w progu zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Co prawda gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to Clay, ale instynkt podpowiadał jej, że powinna uciekać. Odrzuciła pościel i próbowała uwolnić się od aparatury, do której była podłączona.

Clay przyskoczył do niej w jednej sekundzie, chwycił ją za nadgarstki.

– Spokojnie, Frankie.

– Puść mnie! – zawołała przez łzy. – Puść mnie, proszę. Nie chcę umierać.

Przerażony tym, co się dzieje z jego żoną, Clay zaczął na cały głos wzywać pielęgniarkę. Po chwili w pokoju zaroilo się od personelu medycznego, a Claya wyproszono na korytarz. Opadł ciężko na najbliższe krzesło, zasłonił uszy, ale cały czas słyszał krzyki dochodzące z izolatki.

Po paru minutach na korytarzu pojawił się lekarz.

– Czy z nią wszystko w porządku? – zapytał Clay wstając.

– Trudno mi powiedzieć, co się stało, ale moim zdaniem przeżyła wstrząs, musiało powrócić jakieś szczególnie traumatyczne wspomnienie, stąd ta gwałtowna reakcja. Dostała środek uspokajający. Kiedy jej stan fizyczny się poprawi, powinien pan pomyśleć o terapii.

Leczenie psychiatryczne? Cholera, co jeszcze?

– Czy to załamanie psychiczne?

Lekarz uśmiechnął się.

– Nie, panie LeGrand, nic podobnego. Kiedy tylko odzyska siły i będziemy mogli się przekonać, ile pamięta, wtedy zdecydujemy, jak dalej postępować.

Clay przyjął to wyjaśnienie, ale coś nie dawało mu spokoju. Frankie przepadła na dwa lata. Jej powrót był równie nieoczekiwany i niewytłumaczalny, jak zniknięcie. Musiał zadać to pytanie, chociaż wzdragał się przed nim, jakby jego postawienie miało być zdradą, sprzeniewierzeniem się uczuciu.

– Doktorze.

– Tak?

– Czy żona może symulować utratę pamięci?

Lekarz zastanawiał się przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

– To możliwe, chociaż osobiście bardzo wątpię.

Clay skinął głową. Nie to dokładnie chciał usłyszeć, niemniej odpowiedź przynajmniej częściowo rozproszyła jego wątpliwości.

– Wiem, panie LeGrand, co musi pan czuć, ale proszę spojrzeć na całą sprawę z punktu widzenia żony. Jeśli w jej zniknięciu było naprawdę coś groźnego, niebezpiecznego, to ona ma w tej chwili najwięcej do stracenia, prawda?

Lekarz poklepał Claya po ramieniu i odszedł. Clay z powrotem usiadł na krześle, wzrok utkwiał w podłodze. Miał wrażenie, że powoli zaczyna tracić zmysły. Nie wiedział już, w co wierzyć, komu ufać. Tymczasem dręczące go pytania musiały pozostać bez odpowiedzi, przynajmniej do chwili, kiedy Frankie odzyska siły. I pamięć.

– Panie LeGrand.

Clay podniósł głowę. Stała przed nim jedna z pielęgniarek.

– Tak?

– Żona pana prosi.

Clay z niejakim wahaniem wstał z krzesła.

– Wszystko będzie dobrze – próbowała go pocieszyć. – Widzi pan, tak to bywa z urazami głowy. Proszę nie brać zachowania żony do siebie. Zdawało się jej, że mamy trzęsienie ziemi.

Trzęsienie ziemi? Słyszał coś na temat jakiegoś trzęsienia ziemi w wiadomościach telewizyjnych.

– Dostała środek uspokajający i teraz będzie trochę oszołomiona – dodała siostra. – Jeśli będzie nas pan potrzebował, wystarczy nacisnąć dzwonek i zaraz ktoś się pojawi.

Kiedy pielęgniarka odeszła, Clay ruszył w stronę pokoju Frankie, cały czas myśląc o trzęsieniu ziemi. Trzeci ślad, trzecia wskazówka: najpierw pieniądze, potem tatuaż, a teraz to. Pchnął drzwi, wszedł do środka i zatrzymał się w pół kroku, zdjęty obawą, by jakimś nierozważnym gestem nie wywołać kolejnego ataku paniki.

Czując jego obecność, Frankie otworzyła oczy.

– Clay?

– Tak, to ja.

– Tak mi przykro. Nie wiem, dlaczego tak się zachowałam. Wiem, że to głupio brzmi, ale myślałam, że zaczęło się trzęsienie ziemi... i że ty to ktoś inny.

Clay poczuł nagły ucisk w sercu.

– Kto taki, Frankie? Myślałaś, że kim jestem?

Na czole Frankie pojawiła się głęboka zmarszczka. Zastanawiała się przez chwilę, wreszcie pokręciła głową z westchnieniem pełnym rezygnacji.

– Nie pamiętam.

Czy może jej wierzyć? Co ma począć? Złościć się? Boczyć na żonę? Co to da?

– Wszystko w porządku – powiedział cicho.

– Nie, nie w porządku. – Frankie wyciągnęła dłoń. – Chodź, usiądź tu, koło mnie. Muszę ci coś wytłumaczyć.

– Nie powinnaś za dużo mówić, rozmowa może cię zmęczyć – mruknął Clay, ale przysunął krzesło bliżej łóżka.

– Nie, usiądź tutaj, przy mnie – poprosiła i łzy napłynęły jej do oczu. Wytłumaczyć?... Jak ma wytłumaczyć, że nie pamięta dwóch lat ze swojego życia, że porusza się po omacku pośród samych zagadek? – Clay?

– Tak?

– Naprawdę nie było mnie tak długo?

– Owszem – burknął.

Frankie przygryzła wargę, powstrzymując się od płaczu. Bała się. Strasznie się bała. A Clay zdawał się taki daleki. Chłodny. Jakby miał do niej żal. Dwa lata. Mój Boże. Co się ze mną działo przez ten czas? Dlaczego nic nie pamiętam?

Wzięła głęboki oddech.

– Nienawidzisz mnie, prawda?

– Nie, Francesco, nie nienawidzę cię.

Spojrzała mu w twarz. Kochaną, tak dobrze znaną twarz. I taką teraz obcą. Clay odwrócił wzrok, a Frankie łzy napłynęły do oczu.

Boże, nie odbieraj mi go.

Musiała mu zadać pytanie, którego się bała, ale nie mogła nie postawić. Odchrząknęła, zebrała odwagę.

– Clay?

Spojrzał na nią niepewnie.

– Tak?

– Czy nadal mnie kochasz?

Clay zadrzał, podniósł się z łóżka.

– Pokochałem cię w chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

Frankie mocniej zacisnęła dłonie na kołdrze.

– To wymijająca odpowiedź.

Wahał się przez moment, wreszcie powiedział:

– Istnieje różnica między miłością i zaufaniem, Francesco. Nadal cię

kocham, ale nie potrafię ci zaufać.

Frankie przygryzła wargę, zamknęła oczy. Niech się skończy ten koszmar. Koszmar, którego nie była w stanie ogarnąć rozumem.

– Przykro mi – szepnęła głosem nabrzmiałym od łez. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Może spróbuj powiedzieć mi, gdzie byłaś przez cały ten czas... co robiłaś.

Clay mówił ostrym, pełnym urazy tonem, ale w niej też budziła się złość. Czuli się odrzucona z zupełnie niezrozumiałych dla niej powodów. Znała siebie dobrze i doskonale wiedziała, że nigdy nie porzuciłaby Claya z własnej nieprzymuszonej woli. Jeśli ktoś ją uprowadził, miała wszelkie prawo przypuszczać, że uczyni to ponownie.

– Powiem, kiedy sama będę wiedziała – rzuciła gniewnie i odwróciła twarz do ściany.

Reakcja Frankie zaskoczyła Claya. A jeśli Frankie mówi prawdę? Powinien porozmawiać z detektywami, przestrzec ich, by sprawa nie dostała się do mediów.

Po trzęsieniu ziemi: dzień czwarty

Nieprzytomny, ledwie żywy Pharaoh Carn nadal stanowił obiekt zainteresowania prasy, a jego nazwisko wciąż pojawiał się na czołówkach gazet. Z siedmiu ofiar wydobytych spod gruzów jego rezydencji tylko on jeden przeżył. Z pytaniami i wyjaśnieniami należało poczekać, aż ulubieniec mediów odzyska świadomość.

Duke Needham, prawa ręka Pharaoha, na wiadomość o trzęsieniu ziemi natychmiast przerwał podróż zagraniczną, pierwszym samolotem wrócił do Los Angeles i zorientowawszy się w sytuacji, rozpoczął gorączkowe poszukiwania zaginionej kobiety swojego bossa.

Poza ścisłym kręgiem współpracowników nikt nie miał pojęcia, że Pharaoh jest z kimś związany. Wtajemniczeni w jego prywatne życie wiedzieli jednak, że

Carn przez ostatnie dwa lata rozpaczliwie zabiegał o względy tajemniczej nieznajomej, która nie chciała mieć z nim do czynienia.

Po kilku dniach wyczerpującej akcji Duke miał już pewność: w ruinach rezydencji Carna nie było żadnej kobiety. Trzeba było jeszcze ustalić, czy przeżyła i nie znalazła się przypadkiem w którymś ze szpitali Los Angeles. Ale jak to sprawdzić, skoro nie wiadomo, kogo szukać? Że jest w szpitalu albo w kostnicy, o tym Duke był przekonany: widział ruiny domu i dałby głowę, że nie wyszła cało z kataklizmu.

Duke czekał: następny ruch należał do Pharaoha, ale najpierw Pharaoh musiał się ocknąć.

Frankie bardzo szybko wracała do sił. Następnego ranka po odzyskaniu przytomności pozwolono jej siadać na łóżku, a już po południu, wsparta na ramieniu Claya, odbyła pierwszy spacer po szpitalnym korytarzu.

– Zabierz mnie stąd – poprosiła męża, kiedy wrócili do pokoju. – To takie straszne leżeć w łóżku i być cały czas zdaną na pomoc innych.

Clay westchnął. Kilka razy już prosiła go, by zgodził się na jej powrót do domu, a uparta mina i determinacja w głosie wskazywały, że rekonwalescentka nie zamierza ustąpić.

– Lekarz mówi, że powinnaś zostać w szpitalu przynajmniej jeszcze dobę. Trochę cierpliwości, Frankie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro wrócisz do domu.

Francesca ostrożnie usiadła przy oknie wychodzącym na ulicę. Nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego i dokąd tak jej pilno, a jednak czuła, że nie wytrzyma na oddziale ani godziny dłużej.

Od chwili kiedy się obudziła, miała wrażenie, że musi uciekać. Przed kim, przed czym – tego nie wiedziała, ale cały czas nękał ją jakiś tajemniczy wewnętrzny niepokój.

Miałaby uciekać od Claya? Z jakiego powodu? Był przecież całym jej życiem. Ich mały domek był jej pierwszym prawdziwym domem. Kochała to

miejsce. Kochała Claya. Skąd więc to uczucie zagrożenia, które ją prześladowało?

– Wiem, ale...

Westchnęła i nie kończąc zdania, spojrzała na swoje dłonie. Zmarszczyła czoło. Skąd ten jaskrawoczerwony lakier na paznokciach? Dawniej nigdy nie wybrałaby takiego koloru. Pod jakim jeszcze względem się zmieniła?

– Clay?

– Tak?

– Czy wyglądam inaczej niż kiedyś?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Poczuła piekące łzy pod powiekami.

– Chodzi mi o to, czy zmieniłam się fizycznie. Jestem szczuplejsza? Tęższa? Moje włosy mają inny kolor? Mam jakieś blizny, których nie miałam wcześniej?

Clay usiadł obok żony, wziął ją za rękę. Jej pytania brzmiały tak szczerze, naturalnie. Gdyby tylko mógł jej uwierzyć...

– Trochę zeszczuplałaś, nieznacznie. Masz trochę krótsze włosy, ale ich kolor się nie zmienił.

Zamyśliła się, nawet nie wiedziała, w którym momencie przestała go słuchać. Odwróciła głowę, odrzuciła włosy i oczom Claya znowu ukazał się złoty znak na karku.

– Tatuaż... skąd się wziął? – zapytał, zanim zdążył ugryźć się w język.

Frankie spojrzała na niego jak na wariata.

– Jaki tatuaż?

Przesunął delikatnie palcami po skórze, w miejscu gdzie widniał egipski krzyż.

– Tutaj, na karku.

Ogarnięta paniką gwałtownie podniosła dłoń, zadrzała, jakby nagle ktoś wrzucił jej za koszulę pajaka.

– Nic nie czuję – szepnęła. Jeszcze chwila, a wybuchnie histerycznym płaczem.

Clay położył jej palec dokładnie w miejscu, gdzie widniał tatuaż.

– Tutaj.

– Jak wygląda?

Clay zmarszczył czoło. Nie spodziewał się takiej, pełnej przerażenia reakcji. Właściwie, czego się spodziewał? Nie potrafiłby powiedzieć, gdyby ktoś go zapytał.

– Mały krzyżyk zakończony czymś w kształcie pętli. Egipski znak. Nazywa się chyba ankh.

„To mój znak. Od dzisiaj dla całego świata już na zawsze będziesz moja” – wróciły do niej echem słyszane kiedyś słowa.

Zamknęła oczy.

– Nie dotykaj mnie – szepnęła. – Nigdy nie będę twoja.

Bezwładnie osunęła się w ramiona Claya.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy pielęgniarka wywoziła Frankie ze szpitala, świeciło słabe jesienne słońce. Przy pierwszym zetknięciu z chłodnym powietrzem Frankie poczuła dreszcz i szczerze otuliła się swetrem. Dopiero teraz pomyślała, co też Clay zrobił z jej rzeczami. Wyrzucił? Oddał komuś? Broda zaczęła się jej trząść niebezpiecznie. Mój Boże, wszystko takie dalekie, takie obce... Jak to się stało? Gdzie jest świat, do którego nawykła, w którym czuła się swojsko? Gdzie jest jej świat?

Nadal nic nie mogła sobie przypomnieć. Czasami miała wrażenie, że tuż pod powierzchnią świadomości kryją się jakieś obrazy i wystarczy tylko odrobina wysiłku, skupienia, żeby do nich dotrzeć. Kiedy indziej miała w głowie kompletną pustkę. Podobną pustkę i odrętwienie czuła, kiedy zginęli jej rodzice. Z dnia na dzień straciła kochającą matkę, wspaniałego ojca, cudowny dom.

Teraz koszmar osamotnienia, zagubienia zdawał się powracać.

Pamiętała tylko, że w ulewnym deszczu, z potwornym bólem głowy wróciła do domu i położyła się do łóżka. Kiedy się obudziła, zaczął się koszmar, który trwał nadal. Trwał na jawie i z dnia na dzień stawał się coraz bardziej upiorny. Clay oddalił się od niej, traktował jak kogoś obcego. Dystans między nimi przerażał Frankie. Dawniej Clay był jej opoką, jej wsparciem. Jeśli się od niej odwróci...

Wzdrygnęła się na samą myśl o takiej możliwości.

– Zimno? – zapytała pielęgniarka z troską w głosie.

Frankie wzruszyła ramionami, Niech myśli, że zimno. Nie będzie przecież zwierzała się obcej kobiecie ze swoich lęków.

– Trochę – przyznała.

Pielęgniarka przesunęła nieco wózek, tak by stał w miejscu osłoniętym od wiatru.

– O, jest już pani mąż – powiedziała, wskazując szarego sedana.

Frankie nie poznała samochodu. W ciągu dwóch lat wiele musiało się zmienić. Czekala ją jeszcze niejedna niespodzianka.

Spod przymrużonych powiek patrzyła na wysiadającego z wozu Claya.

Poznała go, kiedy pracowała w restauracji, zarabiając na chesne. Siedział przy stoliku w kącie i nie spuszczał z niej wzroku. Od pierwszej chwili wiedziała, że zostaną kochankami. Westchnęła. Czy kiedykolwiek mu o tym powiedziała? Otrząsnęła się ze wspomnień. Nie czas na rozważanie przeszłości. Przed nią trudna terażniejszość, której będzie musiała stawić czoło.

Dwa lata to mnóstwo czasu. Czy Clay spędził je samotnie, czy może związał się z kimś? Jęknęła cicho na samą myśl.

– Boli panią coś, pani LeGrand? – zapytała pielęgniarka.

– Nie, nic mi nie jest – zaprzeczyła pospiesznie, przełykając łzy.

Podszedł Clay: obojętny, uprzejmy wyraz twarzy. Jakby patrzył na obcą kobietę, a nie na własną żonę. Miała ochotę krzyknąć.

– Pani LeGrand trochę zmarzła – poinformowała Claya pielęgniarka takim tonem, jakby mówiła o nieobecnej.

– Wybacz, kochanie. Nie pomyślałem – zaczął usprawiedliwiać się Clay. Ściągnął szybko marynarkę, zarzucił ją Frankie na ramiona i powoli poprowadził żonę do samochodu.

Kochanie – pomyślała smutno. Powiedział: kochanie. Czyżby jej wybaczył? A może użył tego słowa odruchowo, z nawyku?

– Szczęśliwej drogi. Jedźcie bezpiecznie – powiedziała pielęgniarka, kiedy pomogła już Clayowi usadowić rekonwalescentkę na przednim siedzeniu.

– Dziękujemy pani za wszystko – pożegnał się Clay i zapalił silnik. Po chwili jechali już w kierunku domu. Domu, za którym Frankie tak tęskniła, a jednocześnie tak się obawiała powrotu do niego.

Clay najwyraźniej nadal nie wierzył, że nie odeszła od niego z własnej woli. Jeśli rzeczywiście ktoś ją uprowadził, a nie widziała innego wyjaśnienia, to przecież sytuacja może się powtórzyć. Porywacz, mimo że udało się jej wrócić do męża, nie zrezygnuje tak łatwo ze swoich planów.

– Clay? – zapytała, kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle.

– Uhmhhh? – mruknął zatopiony we własnych myślach.

– Nie mam już pracy, prawda?

Clay był wyraźnie zaskoczony pytaniem.

– Nie, kochanie. Minęły dwa lata – powiedział niemal przeprasza­jąco.

Pomyślała o bibliotece i odwróciła głowę, mimowolnie zaciskając dłonie.

– Lubiałam tę pracę. – Światło zmieniło się na zielone, Clay nacisnął na gaz, przejechali skrzyżowanie. – Jak tylko poczuję się trochę lepiej, zacznę szukać jakiegoś zajęcia.

Clayowi niezbyt przypadł do smaku ten pomysł. Bał się, że straci kontrolę nad Frankie, nie będzie wiedział, co żona robi w ciągu dnia.

– Nie musisz się spieszyć – to wszystko, co powiedział.

– Będziemy potrzebowali pieniędzy. Z moich zarobków pokrywaliśmy rachunki. Jeśli nie pójdę do pracy, będzie nam ciężko związać koniec z końcem.

Clay wahał się przez chwilę. Nie chciał urazić Frankie.

– Nie... Sytuacja się zmieniła. Jakiś czas temu spłaciłem ojca i przejąłem jego firmę. Interesy idą dobrze. Naprawdę nie musisz się martwić.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jedno z ich marzeń spełniło się bez jej udziału. Co jeszcze wydarzyło się pod jej nieobecność? Boże, spraw, żeby on nie przestał mnie kochać.

W samochodzie zapadła ciężka, krępująca cisza. Pierwsza przerwała ją Frankie.

– Zastanawiałam się, co zrobiłeś z moimi rzeczami – powiedziała, byle przerwać milczenie.

– Są w szafie w pokoju gościnnym. Mama je uprała i tam przeniosła.

– Wszystkie?

Clay przytaknął bez słowa.

– Nic ze sobą nie zabrałam?

Pokręcił głową.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – W głosie Frankie zabrzmiał sarkazm.

– Oszczędź sobie niepotrzebnej ironii, Francesco – rzucił Clay gniewnie. – Nie wiesz, przez jakie piekło przeszedłem. Wyobraź sobie, wracam do domu, pewny, że na mnie czekasz, i co zastaję? Puste mieszkanie, krew w łazience, na

podłódze w kuchni rozbity kubek i rozlaną kawę. Przyjeżdża policja, patrzą na mnie jak na mordercę i tak traktują. Nie pytaj mnie, co jest „dziwne”. Wszystko w tej sprawie jest dziwne.

Frankie nie słyszała już słów Claya. Zaczęła drzeć na całym ciele. Czyjeś ręce na jej ustach. Tak, ktoś zasłania jej usta dłonią.

A potem ukłucie w ramię.

Ktoś szepcze jej imię.

Chwyciła się za skronie, jakby chciała zatrzymać w pamięci oderwane, fragmentaryczne obrazy, ale zniknęły równie nagle, jak się pojawiły. Jęknęła cicho.

– Co się stało? – zaniepokoił się Clay.

– Nie wiem. Coś... przed chwilą... – Pokręciła głową. – Przeniknęło. Nie potrafię powiedzieć, jakieś wspomnienie czy wytwór wyobraźni.

Clay miał już taki zamęt w głowie, że wołał nie słuchać tego, co mówi Francesca.

– Za chwilę będziemy w domu. Odpoczniesz i od razu się lepiej poczujesz.

Francescę to lekceważenie dotknęło do żywego.

– Nie, Clay, nie poczuję się lepiej, dopóki nie zrozumiem, o co w tym wszystkim chodzi – odparowała z irytacją. – Straciłam dwa lata życia i wszystko na to wskazuje, że stracę również męża. Drzemka nic tu nie pomoże, mój drogi.

Clay pobladł.

– Nie stracisz mnie – bąknął.

– Ja czuję inaczej.

Długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu, czekając na bardziej zdecydowaną, jednoznaczną reakcję, chociażby na bardziej serdeczny, czuły odruch. Bezskutecznie. Kiedy skręcił w ulicę, przy której stał ich dom, odwróciła wzrok.

Po chwili zatrzymali się na podjeździe, zaczęli wysiadać i napięcie na moment zelżało.

Clay wprowadził żonę do pachnącego jeszcze wilgocią po ostatnich ulewach domu, włączył ogrzewanie.

Frankie stała obok niego, czekała, że weźmie ją w ramiona, że powie jej, jak bardzo się cieszy, że wróciła, i znowu będzie jak dawniej. Na próżno.

Uniosła hardo głowę.

– Wiesz co, Clay? – zaczęła ze wzgardą. – Nigdy nie myślałam, że tak łatwo rezygnujesz. – Wyjęła mu z dłoni swoją torbę i ruszyła w stronę sypialni. Nigdy jeszcze żadna droga nie wydawała się jej tak długa.

Clay patrzył za nią, ale nie ruszył się z miejsca. Zbyt dobrze pamiętał ten długi czas, kiedy myślał, że Francesca nie żyje, kiedy musiał znosić nie kończące się przesłuchania Dawsona i nagonki dziennikarzy. Zamknął się w skorupie, z której teraz bał się wyjść.

– Tchórz – mruknął do siebie i przeszedł do kuchni, żeby przygotować kawę. Na stole leżało starannie złożone ubranie i koperta. Zapomniał je schować. Wziął do ręki bluzkę i przesunął palcami po delikatnym materiale. Nie znał się na kobiecych strojach, ale nawet on mógł powiedzieć, że takich rzeczy nie kupuje się w domu towarowym. Odłożył je i sięgnął po kopertę, ciągle nie dowierzając, że Frankie miała przy sobie taką sumę pieniędzy.

Odwrócił się, właśnie przechodziła przez przedpokój. Chciał zobaczyć, jaką zrobi minę, kiedy pokaże jej plik banknotów, chciał się przekonać, czy coś przed nim ukrywa.

Weszła do kuchni z pustą buteleczką po lekarstwach, miną i postawą mówiącą od progę: mam tego dość.

– Boli mnie głowa, a proszki się skończyły – oznajmiła.

Clay rzucił kopertę na stół i otworzył szafkę nad zlewozmywakiem.

– Proszę – powiedział, wręczając Frankie nowy zapas środków przeciwbólowych.

– Dziękuję.

Zrobiło mu się przykro; zdawała się taka nieszczęśliwa, zagubiona.

– Francesco...

– Tak?

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale postaraj się zrozumieć moje...

– Dlaczego?

Clay zasepił się.

– Co, dlaczego?

– Dlaczego mam starać się zrozumieć twoje uczucia, skoro ty nie chcesz zrozumieć moich?

Powoli wciągnął powietrze. Nie chciał kłótni, ale wyjaśnień.

– Jak mam cokolwiek zrozumieć, gdy wszystko jest jedną wielką zagadką?

W oczach Franceski pojawiły się łzy.

– Nikt nie żałuje tego bardziej niż ja. Jest jednak coś, czego nie zapomniałam.

– Co takiego? – zapytał Clay z zainteresowaniem.

– Jak bardzo cię kocham. Tego nie zapomniałam.

Clay pobladł.

– I ja ciebie kocham – szepnął drżącym głosem.

– A więc, dlaczego, Clay? Dlaczego zachowujesz się jak ktoś obcy?

W odpowiedzi rzucił w jej stronę kopertę, kilka banknotów wypadło na podłogę.

– To było w kieszeni twoich spodni. Skąd się tam wzięły te pieniądze?

Frankie nie słyszała już pytania. W jej pamięci pojawiło się kolejne, oderwane, mgliste wspomnienie, którego nie potrafiła umiejscowić.

Przewróciła go na plecy i zobaczyła krew wypływającą z ust. Zaciskając zęby, zaczęła przeszukiwać jego kieszenie. Jeśli ma uciec, będzie potrzebowała pieniędzy.

– Frankie?

Spojrzała na Claya niewidzącym wzrokiem.

– Zadałem ci pytanie.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– Pytałem, skąd masz te pieniądze.

– Myślałam, że on nie żyje – ku własnemu zdumieniu odpowiedziała bez chwili namysłu.

Clay drgnął, jakby ktoś wymierzył mu nieoczekiwanie policzek. Chwyił żonę za ramię i potrząsnął nią.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Frankie ukryła twarz w dłoniach.

– Nie wiem, nie wiem – wykrztusiła.

Clay nie zamierzał rezygnować.

– Kto, Frankie? Kto, twoim zdaniem, miał nie żyć?

Ciemne oczy, białe zęby... i uśmiech... nie znikający z twarzy uśmiech.

Obraz zniknął, zanim zdążyła go zanotować w pamięci.

– Nie wiem – jęknęła.

Clay odwrócił się z przekleństwem na ustach. Za dużo tego jak na wytrzymałość normalnego człowieka.

Frankie osunęła się na kolana. Dlaczego, dlaczego Clay nie chce jej uwierzyć?

– Na litość boską, daj mi szansę.

Clayowi zrobiło się potwornie głupio na widok klęczącej przed nim żony.

– Nie rób tego, proszę. Wstań natychmiast.

Podniósł ją i zaniósł łkającą do sypialni. Kiedy położył ją na łóżku, zwinęła się w kłębek, wtuliła twarz w poduszkę i zanosła głośnym szlochem.

– Frankie, ja...

Nie chciała go słuchać, zasłoniła uszy dłońmi. Clay okrył ją pledem i powlókł się ku drzwiom. W tej samej chwili Frankie odwróciła się raptownie.

– Nie zamykaj! – zawołała z przerażeniem w głosie.

Clay zatrzymał się, porażony lękiem żony.

– Boję się zamkniętych pomieszczeń – mruknęła.

Z ciężkim sercem wrócił do kuchni i zaczął zbierać pieniądze, mając jeszcze w uszach krzyk Frankie.

„Myślałam, że on nie żyje”. Tak powiedziała przed chwilą: „Myślałam, że on nie żyje”.

Spojrzał na banknoty i przeszedł go dreszcz.

– Chryste – szepnął, chowając na powrót plik dolarów do koperty, którą wrzucił do szuflady. Będzie jeszcze czas, by wrócić do tej zagadki. Na razie chciał jednego – by pieniądze zniknęły mu z oczu.

Las Vegas, Nevada

Lśniący prywatny odrzutowiec zatrzymał się o kilka metrów od limuzyny stojącej na końcu pasa startowego. W chwilę potem otworzyły się drzwi i u szczytu schodów pojawił się Duke Need-ham, pomachał w kierunku samochodu i na powrót zniknął we wnętrzu maszyny.

Z limuzyny wysiadł kierowca ze składanym wózkiem inwalidzkim w rękę, po czym pospieszył w kierunku samolotu.

W powietrzu unosił się zapach paliwa silnikowego, na szarym niebie zbierały się chmury, wiał silny wiatr. Minęło kilka minut i w drzwiach samolotu znowu pojawił się Duke, za nim kierowca pchający wózek, na którym siedział okryty pledem Pharaoh Carn. Obydwaj mężczyźni znieśli rekonwalescenta po schodach i postawili wózek na płycie lotniska.

Pharaoh przenosił się do swojego domu w Las Vegas, by tu, przez nikogo nie niepokojony, wracać do zdrowia.

Ciągle jeszcze osłabiony, zachował jednak swoją dawną władczość: ton głosu, gesty, wyraz twarzy budziły respekt i zmuszały otoczenie do posłuszeństwa.

Duke nachylił się usłużnie, zamienił z Carneni kilka słów i po chwili limuzyna ruszyła. Płyta lotniska opustoszała.

Pharaoh spał, ale nie mógł odpocząć, cały czas dręczyły go złe sny. Dwa razy obudził się, przekonany, że podłoga drży. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, czuł na piersi odpychające go dłonie Franceski. Miał wrażenie, że znowu spada ze schodów. Zdradziła go, a nie ma gorszego cierpienia niż to, które niesie ze sobą zdrada.

– Boli pana coś, panie Carn? – zapytał troskliwy kobiecy głos.

Skrzywił się. Cholerna pielęgniarka. Skoro lekarze uznali, że może już wyjść ze szpitala, mógł chyba obejść się bez całodobowej opieki. Nigdy w życiu nie dzielił pokoju z żadną kobietą, nawet z Francescą, a teraz musiał znosić obecność pielęgniarki.

– Oczywiście, że boli.

– Zaraz podam panu lekarstwo.

– Nie chcę żadnych lekarstw. Chcę tylko, żeby dała mi pani święty spokój. Proszę stąd wyjść. Jeśli będę potrzebował pigułek, sam je sobie wezmę.

– Ale pan Needham powiedział...

Pharaoh przewrócił się na bok. Nawet w tej pozycji miał w sobie coś, co budziło respekt i zmuszało do posłuchu.

– Wydałem pani polecenie – powiedział cicho. – Proszę wynosić się z mojego pokoju. Natychmiast.

Pielęgniarka wyszła bez dalszych dyskusji, a właściwie czmychnęła w popłochu, bo tak chyba należałoby określić jej zachowanie.

Odetchnął, kiedy usłyszał skrzypnięcie zamykających się za nią drzwi. Wreszcie poczuł się trochę swobodniej. Obrócił się raz jeszcze, ostrożnie, uważając na połamane żebra.

– Cholera, cholera, cholera – jęknął, czując gwałtowny skurcz. Niestety, wyrzucił pielęgniarkę i nikt teraz nie mógł rozmasować mu mięśni. Zacisnąwszy zęby, czekał, aż ból minie. Wreszcie głęboko wciągnął powietrze. Najgorsze miał za sobą.

Nieprawda – poprawił się natychmiast. Najgorsze dopiero się zaczynało. Nie zazna spokoju, dopóki się nie dowie, co stało się z Francescą. To nie mogło się wydarzyć. Należała przecież do niego. Wiedział o tym od chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

Zamknawszy oczy, wracał wspomnieniami do momentu, gdy w jego życiu pojawiła się Francesca Romano.

Mając trzynaście lat, Pharaoh Carn zdążył się już pogodzić z faktem, że nikt go nie lubi. Korzystał z tego i terroryzował inne dzieciaki w Kitteridge House. Był niekwestionowanym przywódcą nie tylko w klasie, ale w całym domu. Nie tylko wygląd czynił go innym: w Nowym Meksyku, gdzie mieszka wielu rdzennych Amerykanów, oliwkowa cera i ciemne włosy nie były niczym wyjątkowym. Nie, to nienawiść, którą nosił w sobie, odróżniała go od otoczenia. Wściekła, zapiekła nienawiść stanowiła o jego sile. Potrafił być nieludzko złośliwy i okrutny i chełpił się tym, że bali się go nawet wychowawcy. Aż pojawiła się ona.

Siedział właśnie w gabinecie dyrektora, oczekując na wyznaczenie kolejnej kary, kiedy pojawiła się pani z opieki społecznej z obcą dziewczynką.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy, to włosy małej, prawie tak czarne jak jego. I oczy: brązowe, ogromne ze strachu, błyszczące od łez. W jednej ręce ścisnęła misia, w drugiej nędzny kocyk. Miała przydeptane buciki i ogromną kokardę.

Spojrzała na Pharaoha i włożyła kciuk do buzi.

Posłał jej mordercze spojrzenie, ale na dziewczynce nie zrobiło ono najmniejszego wrażenia. Obserwowała go z żywym zainteresowaniem, jakby uczyła się na pamięć rysów jego twarzy.

Nasrożył się jeszcze bardziej. Głupia smarkata. Ciągłe ktoś mu się przyglądał. Nie znosił tego i dla tej małej nie zamierzał czynić wyjątku.

Dziewczynka nadal wpatrywała się w niego, zupełnie nie poruszona jego minami. Kiedy pani z opieki społecznej usiadła, pędrak wyjął palec z buzi i podszedł bliżej do Carna, ciągnąc za sobą swój kocyk.

Po raz pierwszy w życiu Pharaoh Carn nie wiedział, jak zareagować.

– Spadaj, mała.

Dziewczynka nie mrugnęła nawet okiem.

A on nie mógł wiedzieć, bo i skąd, że jej ojciec miał tak czarne włosy jak on, a matka podobną, ciemną karnację. Widział przed sobą dziecko, które powinno się zląknąć, ale się nie zląkło.

– Chodź tutaj, Francesco, proszę – powiedziała kobieta z opieki społecznej,

ale mała nadal stała przed Pharaohem jak wrośnięta w ziemię.

Kobieta podniosła się z miną zwiastującą burzę i w tej samej chwili w Carnie coś pękło.

– W porządku – bąknął. – Ona mi nie przeszkadza.

Kobieta zawahała się, w końcu wzruszyła ramionami i usiadła, ale nie spuszczała oczu z obydwójga.

– Ile masz lat?

Mała pokazała cztery palce.

Pharaoh pokiwał głową, myśląc, że jak na cztery lata, dzieciak jest całkiem bystry.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Pharaoh spróbował innej taktyki, żeby wydobyć z milczka choćby słowo odpowiedzi.

– Masz na imię Francesca, prawda?

Dziewczynka zastanowiła się, przycisnęła misia do piersi i skinęła głową.

– Tatuś mówi na mnie Frankie – oznajmiła w końcu, broda zaczęła jej drżeć, z oczu popłynęły powstrzymywane dotąd łzy. – Mamusia i tatuś poszli sobie. Do nieba. A mnie zostawili.

Pharaoh oblał się rumieńcem. Nie miał pojęcia, jak się zachować w takiej sytuacji. Co gorsza, mała rozbeczała się na dobre. Nachylił się ku niej, opierając łokcie na kolanach.

– Słuchaj, nie rycz, dobrze? Ja też nie mam ojca. Dlatego tutaj jestem. Dlatego wszyscy tu jesteśmy.

Widział, że dziewczynka chłonie jego słowa.

– Też jesteś smutny? – zapytała, kiedy skończył mówić.

Pharaoh wyprostował się gwałtownie.

– Kurde, nie – mruknął i znowu się zaczerwienił: nie powinien kłąć przy dziecku. – Nie jestem smutny, bo jestem już duży. Jak będziesz duża, to też nie będziesz płakała.

Bojąc się, że ktoś lada chwila go obwini, że doprowadził małą do łez,

chwycił kraj kocyka i otarł jej oczy.

– Dmuchnij – powiedział, przytykając kocyk do nosa dziewczynki.

Obudził się nagle i spojrzął na budzik. Była czwarta nad ranem. Chciało mu się sikać. Przez moment zastanawiał się nawet, czy nie zawołać pielęgniarki, ale szybko się rozmyślił. Był przecież we własnym domu. Obejdzie się bez niczyjej pomocy.

Usiadł na łóżku i powoli, walcząc z bólem, zaczął się przesuwac na jego kraniec. Wszystko go bolało, ale cierpienie fizyczne było niczym w porównaniu z cierpieniem duszy. Czuł wewnętrzną pustkę, której czas nie mógł uleczyć. Tęsknił za Francescą, nie wiedział, co się z nią dzieje. W ruinach domu nie znaleźli jej ciała, istniała więc nadzieja, że przeżyła kataklizm. Szpitale były pełne nie zidentyfikowanych ofiar. Jak wśród nich odnaleźć Francescę?

Zaciskając zęby, wstał i powoli, krok za krokiem, ruszył w kierunku łazienki. Kiedy po chwili stamtąd wyszedł, omiótł wzrokiem rozrzuconą w nieładzie pościel i zamiast wrócić do łóżka, stanął przy oknie.

W świetle lamp ogrodowych coś poruszyło się w zaroślach. Pewnie pancernik. Musi jutro zwrócić uwagę ogrodnikowi. Jutro? Już jest jutro – poprawił się w myślach.

Położył dłoń na szybie.

– Mam nadzieję, że żyjesz, Francesco. Żyj... i czekaj na mnie. Odnajdę cię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Clay obudził się po drugiej. W domu było ciemno, cicho, ale instynkt mówił mu, że coś jest nie tak, jak być powinno.

Frankie!

Wyskoczył z łóżka i wybiegł z sypialni, w biegu wciągając spodnie. Drzwi do pokoju Frankie były otwarte, łóżko puste. Odwrócił się w stronę bawialni i zobaczył migotliwe refleksy światła na ścianie. Czyżby zostawił włączony telewizor?

Dostrzegł ją dopiero po chwili. Leżała na sofie, przykryta swoim ulubionym pledem, i płakała.

Jest, dzięki Bogu, jest – powtarzał sobie w duchu, choć jeszcze nie ochłonął z przerażenia. Podszedł do niej, stanął za jej plecami, po czym nachylił się i przytulił policzek do jej głowy.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz, Francesco?

Drgnęła gwałtownie na jego dotyk i zaraz się uspokoiła, widząc, że to tylko Clay.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała z wyrzutem w głosie.

– Dobrze się czujesz? – Clay otarł łzy z jej twarzy i delikatnie pocałował w policzek.

Pierwszy serdeczny gest po tylu dniach pełnych wrogości i dystansu zupełnie ją rozbroił. Skinęła głową i zaczęła mówić coś bezładnie przez łzy, wskazując przy tym pilotem na ekran telewizora:

– Taki... smutny film... on ją bardzo... kochał – szlochała.

Clay spojrział na puste pudełko od kasety wideo i uśmiechnął się. Frankie musiała oglądać jeden z ulubionych filmów jego matki. Z tego, co pamiętał, rzeczywiście rozpaczliwie smutny.

– Ale dobrze się kończy – powiedział pocieszająco.

– Naprawdę? – chlipnęła Frankie już trochę raźniej.

Patrzył w te ciemne, mokre od łez oczy i miał ochotę je całować. Od chwili kiedy przywiózł Frankie do domu, zachowywał się jak skończony idiota. Powinna była dać mu w twarz, żeby wreszcie się ocknął.

– Tak, naprawdę.

Pociągnęła nosem i otarła łzy krawędzią koca.

– Nie żartujesz?

– Nie żartuję – powiedział cicho i zerknął na puste miejsce obok żony.

– Dotrzymać ci towarzystwa?

Czyżby miała to być propozycja zawieszenia broni?

– Bardzo proszę.

Clay obszedł kanapę, ale zamiast usiąść obok Frankie, uniósł ją i posadził sobie na kolanach.

– Wygodnie ci? – upewnił się, otulając jej nogi pledem.

– Tak – szepnęła, zdumiona nagłą zmianą w postawie Claya.

– Ciepło?

Skinęła tylko głową, nie była w stanie dobrać głosu z gardła.

– Gdzie pilot?

Kiedy podała mu pilota, Clay nacisnął przycisk fonii, wzmacniając dźwięk.

– Dobrze teraz słyszysz?

Serce mi tak bije, że nic nie słyszę.

– Dobrze.

– W porządku.

Frankie na powrót zaczęła z zapartym tchem śledzić skomplikowane losy bohaterki. Kiedy pojawiły się napisy końcowe, spojrzała na Claya rozpromienionym wzrokiem.

– Uwielbiam szczęśliwe zakończenia, a ty?

Z uśmiechem skinęła głową, ale było mu ciężko na sercu.

Po wszystkim, co przecierpiała za jego sprawą, pozostała tą samą łagodną, gotową wybaczać kobietą, którą kiedyś pokochał i którą poślubił. A teraz, kiedy do niego wróciła gdzieś z otchłani niebytu, on witał ją pretensjami. Powinien na kolanach dziękować Bogu, że odzyskał żonę, zamiast w każdym jej słowie doszukiwać się kłamstw.

– Tak mi przykro, Frankie.

Znieruchomiała. Oto przyszedł wreszcie moment, na który tak długo czekała. Bała się, że jeden niepotrzebny gest, jedno słowo i czar pryśnie, skończy się sen i wróci ponura jawa.

Powoli podniosła rękę i pogłaskała Claya po policzku.

– Nie biorę narkotyków – szepnęła głosem drżącym z emocji.

Clay pochylił się, dotknął czołem jej czoła.

– Wiem, kochanie, wiem.

– Nie wiem, skąd te ślady po igle na rękach, ale ja naprawdę...

– Już cicho... nic nie mów – powiedział Clay, biorąc ją w ramiona.

Frankie zadrżała. Wreszcie, wreszcie, po tak długim czasie czuła się bezpieczna.

– Nie okłamuję cię. Chciałabym pamiętać.

– Wiem – powtórzył Clay. – Przypomnisz sobie... z czasem.

Frankie westchnęła.

– Nie wiem, gdzie byłam, ale przecież wróciłam do ciebie.

W Clayu znowu odezwało się sumienie. Wróciła. Wróciła do niego. Dlaczego to mu nie wystarczało? Dlaczego cały czas w każdym słowie Franceski doszukiwał się jakichś ukrytych motywów?

– Tak, i jestem za to nieskończenie wdzięczny losowi – przyświadczył i obydwójce zamilkli.

Ciszę pierwsza przerwała Francesca.

– To był dla ciebie straszny czas, prawda?

Clay skinął tylko głową i przygarnął żonę bliżej do siebie. Jak opowiedzieć o

tych nie kończących się, bezsennych nocach, kiedy wyobrażenia podsuwała mu najbardziej koszmarnie obrazy, kiedy niemal już gotów był uwierzyć, że Francesca nie żyje?

– Tak mi przykro, że oboje musieliśmy przez to przejść. Byliśmy tacy szczęśliwi – powiedziała ze smutkiem.

Clay spojrział w oczy żony.

– I jeszcze będziemy. Kiedy otrząśniemy się z szoku, znowu będziemy szczęśliwi. – Próbował się uśmiechnąć. – Mniej więcej po roku od twojego zniknięcia straciłem nadzieję. Pogodziłem się z myślą, że nie żyjesz. To było jedyne wytłumaczenie. Inaczej wróciłabyś przecież do mnie.

Frankie znowu zbierało się na płacz, ale tym razem już nie z powodu filmu. Miała ochotę płakać nad sobą, nad Clayem.

– Nadal nie potrafię tego zrozumieć, ale ja nie odeszłam od ciebie. Wróciłam i proszę cię tylko, żebyś nie odsuwał się ode mnie. Pomóż mi odkryć, co się właściwie stało. Musimy wiedzieć, inaczej to znowu może się powtórzyć.

Uśmiech zniknął z twarzy Claya.

– To ostrzeżenie czy przecucie?

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu powinniśmy się liczyć z taką możliwością. Wiem, że nigdy nie odeszłabym od ciebie z własnej woli... pozostaje zatem tylko jedno wytłumaczenie.

– Jakie?

– Ktoś musiał mnie porwać. – Ciałem Franceski wstrząsnął dreszcz. – Boję się, że skoro coś podobnego zdarzyło się raz, może się powtórzyć.

Zważywszy na to, co wiedzieli do tej pory, jakkolwiek wątpliwa to była wiedza, Francesca najpewniej miała rację. Niebezpieczeństwo nie minęło, ale dopóki nie była w stanie nic sobie przypomnieć, nie wiedzieli, czego właściwie powinni się strzec, skąd oczekiwać zagrożenia.

– Pora się kłaść – powiedział Clay. – Potem będziemy się martwić.

– Mamy spać razem? – zapytała Frankie ledwie słyszalnym szeptem, kiedy CJay pomagał jej wstać z sofy.

W odpowiedzi przeczesał palcami jej włosy i przygarnął ją do piersi.

– Tak, kochanie, będziemy spać razem. Pod warunkiem, że zgodzisz się pójść do łóżka z takim durniem jak ja.

Frankie oplotła go ramionami. Po raz pierwszy od chwili, kiedy odzyskała przytomność, była skłonna uwierzyć, że wszystko będzie dobrze.

– Myślę, że na tę jedną noc mogę zapomnieć, że mam głupiego męża.

Clay roześmiał się.

– Chodźmy. Zrobiło się późno, musisz odpocząć. To, że wypisali cię ze szpitala, nie oznacza, że możesz sobie bimbać na polecenia lekarzy.

– Ja tylko siedziałam przed telewizorem i oglądałam film – obruszyła się Frankie.

– A teraz się połóżysz – oznajmił Clay, odrzucając kołdrę.

Dopiero kiedy obydwoje leżeli już w łóżku, Clay uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu obecności Franceski. I zaraz przyszła kolejna myśl: od chwili ślubu dłużej był sam niż z żoną. Ogarnęło go dziwne wrażenie, jakby leżał obok kogoś obcego. Ale Francesca odezwała się i dziwne uczucie natychmiast zniknęło, wszystko było znowu jak dawniej.

– Clay?

– Tak, kochanie?

– Przytulisz mnie?

Znowu zrobiło mu się głupio, że jego własna żona musi prosić o coś, co powinno być przecież zupełnie naturalne.

– Oczywiście – powiedział, otwierając szeroko ramiona.

Frankie umościła się wygodnie i po chwili już spała. Ale Clay nie mógł usnąć. Myślał o tym, co przed chwilą powiedziała: sytuacja może się powtórzyć. Prawdopodobnie miała rację, to zaś oznaczało, że niebezpieczeństwo nie minęło, że powinni uważać. Co policjant mówił o kobiecie, która wsiadła do taksówki na dworcu autobusowym? A, tak. Wybiegła z budynku wprost pod koła samochodu, jakby ktoś ją ścigał. Clay wzdrygnął się. W pierwszej chwili wydawało mu się to tak nieprawdopodobne, że rewelacje Dawsona puścił mimo uszu. Ale jak inaczej wytłumaczyć zniknięcie Franceski jak nie uprowadzeniem? Nieszczęście polegało na tym, że zanim zdążyła cokolwiek opowiedzieć, zdarzył się wypadek... Wstrząśnienie mózgu... szok... amnezja... Błądzili wśród ciemności, mogli się

tylko domyślać, jak było naprawdę. Clay z ciężkim westchnieniem otulił Frankie kołdrą i przytulił mocniej do siebie. Za oknem był zimny wiatr, wstawał nowy dzień.

Pharaoh Carn siedział przy oknie w swojej rezydencji. Popijając kawę, obserwował wschód słońca.

Miał za sobą niespokojną noc, kilka razy budził się ze snu. Za każdym razem, gdy na powrót zamykał oczy, pod powiekami przesuwały się te same obrazy: umykająca spod stóp podłoga, przerażenie na twarzy Franceski, upadek ze schodów.

Tu pamięć odmawiała posłuszeństwa, pozostały tylko jakieś okruchy wspomnień, oderwane, nieskładne fragmenty; twarz nachylającego się nad Pharaohem mężczyzny, pakowanie noszy do helikoptera, szpital, dni zlewające się w jeden, nie kończący się, naznaczony bólem czas. I towarzysząca mu wciąż świadomość, że po raz drugi w życiu utracił to, co najważniejsze.

Odstawił kubek, podszedł do stojącej koło kominka skórzanej sofy, opadł na nią z jękiem, wyciągnął się, zamknął oczy.

Potrzebował odpoczynku. Spokój, spokój. Nareszcie zaznać spokoju. Na niczym nie mógł skupić myśli dłużej niż przez chwilę, tymczasem organizacja, którą powołał do życia, wymagała żelaznej ręki i ciągłego nadzoru. W świecie Cama tylko silni utrzymywali się na powierzchni, tu gra szła o pieniądze i władzę, władzę, która wynikała z siły i która dawała kontrolę nad innymi. Jeśli chciał przetrwać i nadal rządzić swoim imperium, musiał zachować kontrolę.

Nie wiedział nawet kiedy, rozmyślając tak, zapadł w sen. Wracał do przeszłości.

Albuquerque, Nowy Meksyk

Dziesięcioletnia Frankie Romano śmiała się do chłopca stojącego pod oknami szkoły. W ciągu minionych sześciu lat Pharaoh Carn stał się najważniejszą osobą w życiu osieroconej, złaźnionej miłości dziewczynki. Był jej zbawieniem.

Z chwilą osiągnięcia pełnoletności musiał się wyprowadzić z domu dziecka. Wynajął mieszkanie w pobliżu, ale że pracował w Kitteridge, pojawiał się tutaj codziennie.

Z pozoru niczym nie różnił się od swoich rówieśników, pozory jednak, jak wiadomo, mają to do siebie, że mylą. Pharaoh tęsknił za luksusowym życiem i uznał, że najprostszym, jeśli nie jedynym w jego sytuacji, sposobem osiągnięcia wymarzonego standardu będzie wejście na drogę przestępstwa.

Mając szesnaście lat, związał się z gangiem chłopców z okolicy. Nie było to łatwe, zważywszy, że mieszkał w sierocińcu, gdzie panuje znacznie większa dyscyplina niż w normalnym domu, ale szybko nauczył się omijać zakazy i ograniczenia.

Nauczył się znacznie więcej, gang był jego szkołą. Zaczynał od włamywania się do samochodów, by później wyspecjalizować się w napadach z bronią w rękę. Dotąd nikogo jeszcze nie zabił, ale wiedział, jak posługiwać się pistoletem i kilka razy udało mu się uczynić użytek z tej wiedzy.

Od kiedy się usamodzielił, jeździł dobrym samochodem, kupował drogie ciuchy i nosił w uchu kolczyk z dwukaratowym brylantem. Ciemnowłosy, ciemnooki, szastający pieniędzmi, nie narzekał na brak powodzenia, ale dziewczyny traktował lekko, z żadną na dłużej się nie wiązał.

Awanturnicze, beztrioskie życie, jakie prowadził po opuszczeniu sierocińca, miało jednak jedną wielką wadę: w Kitteridge została Francesca.

Przesądny aż do śmieszności, wierzył święcie, że mała Romano przynosi mu szczęście, że bez niej straci swoją moc, natomiast z nią osiągnie wszystko, co zamierzył.

Zgodnie z tą logiką, znalazł sobie pracę dozorca w Kitteridge. Skoro nie mógł zabrać dziewczynki ze sobą, zadbał, by być blisko niej.

Przez sześć lat spędzonych pod jednym dachem stał się jej powiernikiem i opiekunem, a nawet kimś w rodzaju zastępczego ojca. Jeśli w Pharaohu drzemały

jakieś dobre cechy, to ujawniały się tylko za sprawą małej Romano. Od chwili jej pojawienia się w sierocińcu wszyscy zaczęli patrzeć na niego trochę inaczej, jakby spoglądali oczami Franceski. Powszechnie wiadomo, że dzieci nie sposób oszukać, najwyraźniej więc Frankie Romano dojrzała w Carnie coś, co innym umykało. Jej bezwarunkowe uwielbienie dla Carna czyniło go kimś ważnym, nawet wyjątkowym. Przy małej nie mogło mu się przytrafić nic złego.

Kiedy zobaczył, jak wsparłszy brodę na dłoni, tęsknie wygląda przez okno na szkolny dziedziniec, uznał, że powinien się jej pokazać. I rzeczywiście, ledwie go zobaczyła, na jej buzi natychmiast pojawił się uśmiech, a Pharaohowi ciepłej się zrobiło na sercu.

Nauczycielka zastukała długopisem w stół.

– Frankie, uważaj!

Francesca drgnęła, zawstydzona, że pani przyłapała ją na bujaniu w obłokach.

– Tak, psze pani – bąknęła cicho.

Ledwie nauczycielka odwróciła się do tablicy, znowu zerknęła przez okno, ale Pharaoh na wszelki wypadek już zniknął. Nie szkodzi. Przecież niedługo go zobaczy. Zawsze był w pobliżu.

Przespawszy całą noc w ramionach Claya, Frankie obudziła się rano sama w łóżku. Przewróciła się niespokojnie i wyciągnęła po omacku rękę: poduszka jeszcze ciepła, to znaczy, że Clay musiał wstać dopiero przed chwilą.

Dawniej zawsze kochali się rano, zanim wstali, pomyślała ze smutkiem. Nie, nie będzie się rozczulać nad sobą, nie dzisiaj.

Nie po ich nocnej rozmowie, która była niczym promień słońca w mroku. Jak objawienie.

Z cichym westchnieniem wstała z łóżka.

Ubrała się szybko i poszła do łazienki umyć zęby i uczesać się. Czaszka ciągle jeszcze ją bolała; skrzywiła się nieznacznie, kiedy niechcący dotknęła

szczotką czułego miejsca. Przerwała na chwilę poranną toaletę i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze. Z pozoru wcale się nie zmieniła, ale zdarzyło się tak wiele rzeczy, których nie była w stanie sobie przypomnieć, minione dwa lata kryły tak wiele zagadek, że nie mogła się teraz oszukiwać i wmawiać sobie, że wszystko jest po dawnemu. Nic już nie było takie samo, inne były przede wszystkim jej relacje z Clayem, mimo dobrej woli i chęci wybaczenia z obydwu stron. Inna była ona sama. Ktoś skradł jej dwa lata życia.

Usłyszała kroki w korytarzu i drgnęła przestraszona, gotowa do ucieczki.

– Frankie?

Odetchnęła na dźwięk głosu Claya. Czego się bała? Skąd ten popłoch?

– Jestem tutaj.

Uchylił drzwi i uśmiechnął się szeroko, widząc, że Frankie ma na sobie jego podkoszulek i spodnie od dresu.

– Przypomnij mi, żebym przeniósł twoje rzeczy do naszej szafy – powiedział, odstawiając tacę z kawą.

Frankie odłożyła szczotkę na toaletkę i zarzuciła mu ręce na szyję.

– A co mają oznaczać te czułości? – zagadnął i dodał zaraz: – Nie, nie, wcale się nie skarżę.

– Po prostu się cieszę, że to ty.

Clay zmarszczył czoło.

– A któż inny miałby być?

Frankie ukryła twarz na jego piersi. Właśnie, kto? Oto pytanie.

– Nie wiem. Ciągłe mi się wydaje, że ktoś za mną stoi, czai się gdzieś w pobliżu.

– Może to dobry znak, może zaczynasz sobie coś przypominać? – Clay usiłował nadać swojemu głosowi optymistyczne brzmienie. Nie chciał, by Frankie zorientowała się, jak bardzo zaniepokoiło go to, co przed chwilą usłyszał.

– Mam nadzieję – powiedziała z westchnieniem, – Czuję taką pustkę w głowie. Czasami pojawiają się w pamięci jakieś obrazy z przeszłości, ale kiedy usiłuję się na nich skupić, natychmiast znikają.

– Pamiętaj, że nie chodzi tylko o ciebie.

– Jak to?

– Dopóki sobie nic nie przypomnisz, policja nie będzie mogła zrobić żadnego ruchu. W tej chwili dla nich sprawa jest zamknięta. Odeszłaś ode mnie i wróciłaś. Koniec. Kropka. Nie ma sprawcy, nie ma przestępstwa. Jest tylko żona, która porzuciła męża.

Frankie pobladła.

– Ja nie...

– Wiem o tym, ale z ich punktu widzenia tak to właśnie wygląda.

– Co robić?

Serce mu się ścisnęło, kiedy patrzył, jak za sprawą jego słów radość Frankie zamienia się w bezradność, ale zbyt dobrze pamiętał, co powiedziała ostatniej nocy, że sytuacja może się powtórzyć. Nie mógł do tego dopuścić i nie zamierzał siedzieć z założonymi rękoma, nawet jeśli musiał sprawić ból żonie.

– Kiedy zniknąłeś, policja usiłowała mnie przypisać całą winę. Wynajęłam wtedy prywatnego detektywa, licząc, że może on natrafi na jakiś trop.

– Och, Clay, nie wiedziałam.

Clay wzruszył ramionami.

– O wielu rzeczach jeszcze nie wiesz, to oczywiste. Zresztą nie o to chodzi. Może znowu powinniśmy wynająć tego człowieka. Co o tym myślisz?

W pierwszej chwili propozycja ją zaskoczyła, ale wydawała się całkiem rozsądna.

– Stać nas na to?

– Daj spokój, Francesco, co za pytanie – obruszył się Clay. – Powinnaś raczej zapytać, czy stać nas na to, by go nie wynająć.

Frankie odwróciła się z westchnieniem, a Clay przytulił ją do siebie i pociągnął na łóżko.

– Mów, Frankie. Powiedz, co myślisz.

Zanim zdążyła się odezwać, zadzwonił telefon.

Clay przeturlał się po materacu i podniósł słuchawkę.

– Słucham?

– To ja, Clay. Jak się czuje Frankie?

– Cześć, mamó. Dobrze.

Uśmiechnął się, widząc, jak Frankie wyciąga z szuflady skarpetki. Oczywiście, jego skarpetki.

– Jedziesz dzisiaj do pracy? – dopytywała się Betty.

Co prawda powinien pojawić się na placu budowy, ale pierwszego dnia po powrocie ze szpitala nie chciał zostawiać Frankie samej w domu.

– Nie, nie jadę. Tata już chyba tam jest, prawda?

– Tak. Wyszedł z domu o siódmej.

– Zadzwoń do niego później – obiecał Clay. – Chciałbym spędzić ten dzień z Frankie. Nie powinna być sama.

– Właśnie między innymi dlatego dzwonię. Chciałam zapytać, czy się wam przypadkiem nie przydam jako pielęgniarka, opiekunka, teściowa. W jakiej tylko chcecie roli.

Clay patrzył, jak Frankie podchodzi do toaletki i wiąże włosy. Przypomniawsobie wszystkie te poranki, kiedy stawał bezradny na środku tego samego pokoju, zastanawiając się, jak ma teraz żyć, sam, bez niej. Nagle poczuł, że niczego w tej chwili nie pragnie tak bardzo, jak być z nią sam na sam, kochać się...

– Clay, nie odpowiedziałeś mi – niecierpliwiła się Betty.

Ocknął się nagle, zamrugnął powiekami.

– Przepraszam – bąknął. – Dzisiaj spędzimy chyba dzień tylko we dwoje, ale na pewno skorzystamy z twojej propozycji. Może jutro?

– Naturalnie, kochanie. Zadzwoń, kiedy tylko będziecie mnie potrzebować.

– Zadzwoń.

– Pa. Ucałuj ode mnie Frankie.

– Na pewno ją ucałuję. – Clay odłożył słuchawkę.

Frankie odwróciła się ku niemu.

– Kto dzwonił?

– Mama. Ofiarowała się zaopiekować tobą, dopóki nie odzyskasz sił.

Mina Frankie wskazywała, że nie jest zachwycona tą propozycją.

– Bardzo lubię twoją mamę i chętnie będę ją widziała w naszym domu, ale nie potrzebuję opiekunki.

– Mam inne zdanie na ten temat.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyjął jej grzebień z ręki i odłożył na toaletkę.

– Chodź tu – powiedział, przyciągając ją ku sobie. – Mam ci coś do przekazania.

Frankie uśmiechnęła się z wahaniem.

– Co takiego?

– Mama prosiła, żebym cię ucałował. Zamierzam spełnić jej prośbę najlepiej, jak potrafię.

Frankie zarzuciła mu ręce na szyję, a kiedy oderwał usta od jej ust, żeby zaczerpnąć powietrza, zapytała z niejakim rozczarowaniem w głosie:

– To ma być najlepiej?

– Nie, ale lepiej nie będzie, dopóki nie poczujesz się na tyle dobrze, by wytrzymać burzę namiętności.

Frankie uśmiechnęła się pod nosem.

– Burzę namiętności? Nie przesadzamy?

– My nie przesadzamy. Przez dwa lata żyliśmy w celibacie. To cholernie długo.

– Zatem najwyższa pora, żeby to naprawić – powiedziała, obejmując go mocniej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dokładnie pięć po trzeciej zadźwięczał dzwonek. Clay akurat krzątał się w kuchni. Wybiegł czym prędzej, nie chcąc, żeby dobijanie się nie zapowiedzianego gościa obudziło Francescę z popołudniowej drzemki. Ranek był dla niej wyczerpujący, ale zbawienny dla obojga. Kochali się chyba tak jak za pierwszym razem, kiedy poszli ze sobą do łóżka.

Na widok samochodu Winstona LeGranda, który zdążył dojrzeć przez okno, Clay nerwowo przeczesał włosy. Zaniepokoił się, co też o tej porze sprowadza ojca. Chyba nie stało się nic na budowie?

Od progu wionął ostry, przenikliwy wiatr.

– Cześć, tato. Wchodź, nie stój na tym zimnie – powiedział, zamykając szybko drzwi za starszym panem.

– Paskudna pogoda – mruknął Winston, strzepując płaszcz i wieszając go w przedpokoju.

– Napijesz się gorącej kawy? – zagadnął Clay, nadal nie domyślając się celu niespodziewanej wizyty. Tata zawsze był człowiekiem o zagadkowym sposobie bycia. – Właśnie zaparzyłem.

– Nie odmówię. – Winston przeszedł z synem do kuchni, zacierając zziębnięte dłonie.

Rozejrzał się niespokojnie.

– A gdzie Frankie?

– Śpi.

Winston powoli skinął głową i upił łyk gorącej kawy.

– Dobrze się czuje?

– Mam wrażenie, że lepiej – odparł Clay, opierając się o blat kuchenny.

– Przypomniała sobie coś?

– Nie... jeszcze nie.

Winston ponownie pokiwał głową.

– Na budowie wszystko w porządku? – zagadnął Clay.

– Żadnych problemów – uspokoił go natychmiast ojciec.

– Dziękuję, że zgodziłeś się tam dzisiaj pojechać.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Winston znowu pokiwał głową, upił kolejny łyk, chwilę obracał kubek w dłoniach, podmuchał na gorącą kawę.

– I co myślisz? – zapytał w końcu.

Clay westchnął. Wiedział doskonale, o czym ojciec mówi. Obydwoje rodzice zauważyli, z jaką nieufnością przyjął nieoczekiwane pojawienie się Franceski: zapewne chcieli wiedzieć, co ich syn czuje teraz, w jakim jest stanie ducha.

– Zachowywałem się jak skończony osioł – mruknął Clay. – Na szczęście Frankie ma widać słabość do beznadziejnych porykujących głupków z oślimi uszami.

Winston uśmiechnął się nieznacznie.

– Cóż... Dla was obojga musiała być to ciężka próba.

– Może – zgodził się Clay. – Ale powinienem był jednak najpierw jej wysłuchać, zamiast wpadać we wściekłość i zasypywać oskarżeniami.

– Musisz przyznać, że te ślady wkląć na jej rękach wyglądały bardzo podejrzanie. Nie wspomniawszy już o tym, że dziewczyna nie potrafi powiedzieć, co się z nią działo przez ostatnie dwa lata. Wiele jest tu do wyjaśnienia.

– Owszem, owszem, ale wcale nie czuję się dobrze ze świadomością, że koniecznie chciałem wydobyć prawdę z kogoś, kto właśnie wyszedł z wypadku z ciężkim wstrząśnieniem mózgu. Cud prawdziwy, że jej tu nie pozwoliłem umrzeć i miałem przynajmniej na tyle rozumu, by w porę zawieźć ją do szpitala.

– I to jest najważniejsze – podsumował Winston. – Zmieniając temat, mama prosiła, bym ci powtórzył, że przyjedzie do was jutro rano około ósmej.

Clayowi zrobiło się nieswojo na myśl, że będzie musiał zostawić Frankie w domu i iść do pracy.

– Nie wiem... zastanawiam się, czy nie powinienem spędzić z nią jeszcze jednego...

Winston położył dłoń na ramieniu syna.

– Clay.

– Tak?

– To nie twoja wina.

– Co nie jest moją winą?

– To że Frankie zniknęła. Jej powrót nie oznacza, że przez resztę życia masz nie odstępować dziewczyny na krok. Jeśli wasze małżeństwo ma przetrwać, musicie zacząć normalnie funkcjonować. Im szybciej, tym lepiej.

Logicznie rzecz biorąc, ojciec miał rację, ale logika i emocje to dwie różne rzeczy. Clay nie czuł się jeszcze gotowy. Po tym wszystkim, co obydwójce przeszli, powrót do normalności nie wydawał się ani łatwy, ani prosty.

– Pomyślę o tym – mruknął.

Winston odstawił kubek, po czym zerknął na zegarek.

– Pomyśl, pomyśl. Masz zaledwie siedemnaście godzin, zanim pojawi się tu matka. Kiedy już do was przyjdzie, będziesz musiał zbierać się do pracy.

Clay westchnął. Ojciec i tym razem miał rację. Betty LeGrand jak już raz coś postanowiła, twardo stała przy swoim.

– Porozmawiam z Frankie – obiecał.

– O czym chcesz ze mną porozmawiać? – zapytała. Na dźwięk jej głosu obaj panowie odwrócili się raptownie.

– Nie chcieliśmy cię budzić – zaczął usprawiedliwiać się Clay.

– Wcale mnie nie obudziliście – uspokoiła go Frankie i posłała teściowi niepewny uśmiech. Był taki podobny do Claya. Nie tylko z wyglądu, także z charakteru. Czy też osądzał ją tak surowo jak Clay? Tego nie wiedziała.

– A cóż to za maniery? Nie dostanę buziaka na powitanie? – zagadnął Winston żartobliwym tonem.

Frankie od razu się rozpromieniła i pozwoliła przytulić starszemu panu. Koszula Winstona pachniała cygarami, olejem napędowym i chłodem jesiennego dnia, ale serdeczny uścisk wszystko to rekompensował z nawiązką.

– Nie byłam pewna, czy chcesz buziaka – szepnęła.

Uniósłszy brew, Winston zerknął na syna, potem znowu na Frankie. W jego oczach zapaliły się wesołe iskierki.

– A to niby czemu nie miałbym chcieć buziaka od swojej jedynej córki?

Frankie czuła, że za chwilę się rozbeczy jak małe dziecko. Winston nigdy nie był wylewny, takie słowa w jego ustach należały do rzadkości, tym bardziej zdawały się cenne.

– Nawet dwa – powiedziała ze śmiechem i ucałowała teścia w obydwa policzki.

Winston pokraśniał z zadowolenia, chociaż speszyły go najwyraźniej te objawy czułości.

– Cóż, wiadomość dostarczyłem, jak mi kazano, i napiwek dostałem hojny, ani bym się spodziewał, ale nie powiem, bardzo miły, z chęcią go przyjmuję.

Clay parsknął śmiechem, widząc ojca nieco jakby zbitego z pantałyku.

– Całusy całusami, moi panowie, ale nadal nie dostałam odpowiedzi na swoje pytanie. Jestem tutaj we własnej osobie. Chciałabym wiedzieć, o czym to masz ze mną porozmawiać? – Tu zerknęła na męża.

Zanim Clay zdążył odpowiedzieć, Winston powtórzył wiadomość, z którą przyjechał:

– Betty prosiła, bym wam przekazał, że będzie tutaj jutro rano. – Spojrzał na Frankie. – Zostanie z tobą, dopóki Clay nie wróci z pracy.

Frankie nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować.

– Chętnie spędzę dzień z mamą – odezwała się w końcu – ale naprawdę nie potrzebuję niańki.

Jak powiedzieć własnej żonie, że nie może zostać sama, bo a nuż znowu zniknie – myślał Clay ponuro.

– Posłuchajcie obaj. Poza tym, że od czasu do czasu boli mnie głowa, czuję się dobrze, nic mi nie dolega. Tak twierdzą lekarze. – Spojrzała na Claya z wyrzutem w oczach. – Jeśli musisz być jutro w pracy, mogłeś mi o tym wcześniej powiedzieć. Nic się nie stanie, jeśli zostanę sama.

Winston najchętniej wycofałby swoją propozycję.

– Nie chciałem robić zamieszania – powiedział szybko. – Po prostu przekazałem to, z czym przysłała mnie mama. Zadzwońcie, kiedy już ustalicie między sobą, jak planujecie ułożyć jutrzejszy dzień. Ja wracam do domu.

– Oczywiście, tato – przytaknął Clay. – Dzięki za pomoc.

– Drobiazg.

Po chwili usłyszeli stuknięcie zamykanych drzwi i odgłos zapalnego silnika.

Frankie czekała na choćby słowo wyjaśnienia, ale Clay z wyjątkową gorliwością zajął się myciem kubków po kawie.

– Clay, nie udawaj, że mnie nie widzisz – odezwała się zniecierpliwionym tonem.

Spojrzał znad zlewozmywaka z taką miną, jakby rzeczywiście jej nie widział. Frankie westchnęła.

– O co tu chodzi?

Clay nadal się w nią wpatrywał, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź. Wreszcie zdecydował się powiedzieć wprost, o co chodzi:

– Boję się zostawić cię samą.

Frankie zbladła, drgnęła, jakby Clay wymierzył jej policzek.

– Dlaczego?

Clay z trudem przełknął ślinę. Nie chciał, żeby żona usłyszała strach w jego głosie.

– A jeśli to znowu się zdarzy? Zanim zaczniesz się na mnie wściekać, przyznaj uczciwie, że nie dalej jak dzisiaj w nocy miałaś te same obawy.

Clay wiedział doskonale, co za chwilę usłyszy. Po policzku Frankie powoli spłynęła jedna, samotna łza.

– Ty... nie boisz się porywaczy. Ty boisz się, że znowu cię zostawię, odejdę od ciebie.

– Ja nie... To znaczy... nie chciałbym, żebyś pomyślała, że ja...

Ukryła twarz w dłoniach, Clay chciał do niej podejść, nie zdążył. Frankie podniosła na niego wzrok: była wściekła, widział w jej oczach zimną furję.

– Nie zamierzam w nieskończoność tłumaczyć się przed tobą. Skoro nie potrafisz mi zaufać, trudno. Dzwon do swojej matki. Obdzwoń wszystkich sąsiadów. Proszę bardzo, możesz nawet zawiadomić policję, niech oni mnie pilnują. Mam już tego dość.

Z tymi słowami odwróciła się gwałtownie i wyszła. Clay doskonale zdawał sobie sprawę, że ostatniego błędu nie naprawi, idąc po prostu z Frankie do łóżka.

Frankie wzięła gorący prysznic, owinęła mokre włosy turbanem i stanęła przed zaparowanym lustrem.

Bez Claya czuła się nieważka, pusta. Owszem, był w domu, ale nie w jej sercu. Kochali się ostatniej nocy, ale to nie zbliżyło ich do siebie ani na krok. Nadal był między nimi dystans. Clay jej nie ufał. Trudno, musi się z tym pogodzić. Nawet rozumiała jego postawę, z drugiej jednak strony wiedziała, że gdyby role się odwróciły, na kolanach dziękowałaby Bogu za odnalezienie się męża.

Wytarła się szybko, owinęła miękkim różowym szlafrokiem i zaczęła szcietkować włosy. W pewnym momencie zadrapała się w kark. Syknęła z bólu, dotknęła tego miejsca na skórze, ale nic nie wyczuła pod palcami. Odgarnęła włosy, odwróciła lekko głowę. Nic. Wyjęła z szuflady małe lusterko, by lepiej widzieć.

Kręciła się chwilę, zmieniała kąt nachylenia lusterka, wreszcie dostrzegła złoty błysk. Potarła kark, myśląc, że może to resztką nie spłukanego szamponu, ale nie, to nie był szampon. Spojrzała jeszcze raz, tym razem uważniej. Plamka koloru na skórze, to wszystko, co zdołała dojrzeć. Zbliżyła się do lustra, cały czas obracając małe lusterko, które trzymała w dłoni.

Mój Boże! Tatuaz. Clay co prawda wspominał wcześniej, że ma dziwny znak na karku, ale zupełnie o tym zapomniała.

Nagle przed jej oczami pojawił się niewyraźny, zamglony obraz mężczyzny z identycznym znakiem na piersi. Ogarnął ją nagle paniczny strach. Lusterko wysunęło się z dłoni, upadło na podłogę i rozbiło się z trzaskiem. Frankie krzyknęła głośno.

Clay był w bawialni, kiedy usłyszał krzyk. Poderwał się z fotela, wpadł do pokoju i z całych sił pchnął drzwi do łazienki.

Najpierw zobaczył Francescę, potem rozbite lusterko. Chwycił żonę na ręce i zaniósł do sypialni. Nadal trzymając ją w ramionach, usiadł na brzegu łóżka i drżącymi dłońmi zaczął sprawdzać, czy nie zrobiła sobie krzywdy przy upadku. Na

szczęście nie znalazł żadnych widocznych obrażeń.

– Co się stało, kochanie?

Francesca spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Clay?

Serce mu się ścisnęło. Mój Boże, przez jakie piekło musiała przechodzić jego żona.

Oprzytomniawszy nieco, zaczęła gwałtownie pocierać skórę na karku, jakby chciała pozbyć się tkwiącego tam paskudztwa.

– Tam coś jest. Tam, na szyi. Zabierz to. Zabierz szybko.

Przerażony nie mniej niż Francesca, Clay chwycił ją za rękę.

– Spokojnie, maleńka – zaczął przemawiać do niej łagodnie. – To tylko tatuaż.

Frankie wzdrygnęła się, jęknęła cicho.

– Kto mi to zrobił?

– Nie wiem, Francesco. Chciałbym wiedzieć, Bóg mi świadkiem, że chciałbym, ale nie wiem.

Kiedy zaniósł się płaczem, Clay przygarnął ją bliżej do siebie i zaczął kołysać niczym małe, bezbronne dziecko.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał ją. – Zobaczysz, niedługo dowiemy się prawdy, a na razie powinniśmy się cieszyć, że jesteśmy razem i wspierać się wzajemnie.

– Nie jesteśmy razem – szlochała Frankie. – Już nie. Już nie. On wszystko zniszczył.

Clay zeszywniał. Czy Francesca zdawała sobie sprawę ze znaczenia właśnie wypowiedzianych słów? Powoli wciągnął powietrze, ale nic nie powiedział, żeby nie zdenerwować jej jeszcze bardziej. Nie mógł jednak zbyć tego, co przed chwilą usłyszał, milczeniem.

– Kto, kochanie? – zapytał cicho Clay. – Kto wszystko zniszczył?

Francesca przestała płakać, usiadła powoli i spojrzała na męża.

– Ten mężczyzna – powiedziała po chwili namysłu.

– Jaki mężczyzna? – dopytywał się Clay.

Frankie zamknęła oczy, usiłując przywołać obraz twarzy człowieka, o którym mówiła, ale obraz się nie pojawiał. Jedyne, co była w stanie sobie przypomnieć, to tatuaż na jego piersi.

– Frankie?

Pokręciła bezradnie głową i uniosła powieki.

– Nic nie widzę. Nie wiem.

– Skąd wiesz, że to był mężczyzna? – Clay ciągle jeszcze nie chciał się poddać, w nadziei, że może zbliżą się o krok do prawdy.

– Widziałam jego tors. Miał na piersi tatuaż, taki sam jak ten na moim karku. Nie chcę go – poskarżyła się bezradnie. – Zrób z nim coś, proszę.

Clay niczego bardziej nie pragnął, ale żeby usunąć feralny znak, należało przeprowadzić zabieg laserem, a na to Frankie była jeszcze zbyt osłabiona.

– Usuniemy tatuaż, kiedy poczujesz się trochę lepiej, dobrze?

– Obiecujesz?

– Obiecuję – powtórzył, przytulając żonę do piersi.

Już spokojniejsza, przymknęła oczy i po chwili zapadła w drzemkę. Widząc, że usnęła, Clay zdjął ręcznik z głowy Frankie, ułożył ją na łóżku i okrył kołdrą.

Przez moment zastanawiał się, czy powinna spać z mokrymi włosami, ale uznał, że włączenie teraz suszarki byłoby głupim pomysłem. Otrząsnął się z zamyślenia, po czym zaniósł ręcznik do łazienki. Frankie potrzebowała odpoczynku. W obliczu tego, przez co przechodziła jego żona, pójście do łóżka z mokrymi włosami zdawało się śmiesznym problemem.

Sen przyśnił się jej nad ranem, chociaż pora nie miała tu żadnego znaczenia. Czuła paraliżujący, obezwładniający strach. Strach i pewność, że za chwilę umrze...

Podłoga uciekała jej spod stóp, drzewa za oknami chwiały się i przewracały obalane potężną siłą wstrząsów. Nagle ziemia w ogrodzie zaczęła pękać, ziejące czarne szczeliny tworzyły na trawniku obłąkany, rozrastający się z każdą sekundą wzór. Frankie zacisnęła dłonie na kratkach okna i głośno wzywała pomocy, ale nikt

nie słyszał jej nawoływań. Nawet gdyby słyszał, nie zwróciłby na nie najmniejszej uwagi. To byli przecież jego ludzie.

Nagle w pokoju rozległ się głośny łoskot, niby huk wystrzału. Frankie odwróciła się i zobaczyła roztrzaskującą się na drobne kawałki onyksową statuetkę, która spadła z postumentu. Wyobrażenie Horusa, staroegipskiego boga niebios i światła, zamieniło się w żalospną kupkę odłamków.

Kolejny wstrząs rzucił Frankie na ziemię. Z przerażeniem pomyślała, że jeszcze chwila, a więzienie, w którym była zamknięta, zamieni się w jej grobowiec.

Podniosła się z trudem, dopadła drzwi i zaczęła bębnić w nie z całych sił pięściami, krzycząc ile sił w płucach:

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! Wypuście mnie stąd. Otwierać!

Drzwi nagle się otworzyły. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że w progu stanął sam Horus o głowie orła i przenikliwych orlich oczach. Pharaoh chwycił ją za rękę i wyciągnął z pokoju.

– Szybciej, Francesco! – wołał, ciągnąc ją za sobą. – Musimy się ratować!

Uciekać, uciekać jak najdalej, to była jej jedyna myśl. Uciekać od Pharaoha. Do Claya.

Gwałtownie usiadła na łóżku. Pot spływał jej po twarzy wielkimi kroplami, serce waliło jak po długim, wyczerpującym biegu. Obok spał Clay. Ciągle jeszcze pod wrażeniem sennego koszmaru, odgarnęła włosy z twarzy i podniosła się z łóżka. Clay natychmiast wyczuł, że wstała.

– Frankie?

– Muszę iść do łazienki – szepnęła i na palcach podeszła do drzwi.

Kiedy już zamknęła je za sobą i zapaliła światło, spojrzała na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad urny walką. Spoglądała na nią jakaś obca twarz. Nie miała pojęcia, skąd bierze się ta pewność, ale wiedziała, że przez ostatnie dwa lata mieszkała z jakimś mężczyzną. Nie z własnej woli, ale mieszkała.

Jak mogłaś to znieść? – szepnęła do swojego odbicia.

Ledwie wypowiedziała to pytanie, odpowiedź pojawiła się sama. Mogła. Zniosła wszystko ze względu na Claya. Zniosła, bo cały czas towarzyszyła jej nadzieja, że pewnego dnia zdarzy się coś, co pozwoli jej wrócić do męża.

Wróciła. Znowu była w swoim domu, tu, gdzie jej miejsce. Pozostawało tylko pytanie, czy może czuć się bezpieczna? Czy powinna się bać? Czy mężczyzna o ptasich rysach będzie jej szukał? Powinna uciekać? Mogliby się przeprowadzić, ukryć gdzieś, gdzie tamten nigdy by ich nie znalazł. Mogliby...

Otrząsnęła się z czarnych myśli, zła na samą siebie, że ulega panice. Nie tak przecież chciała żyć. Aż do chwili gdy poznała Claya, jej życie było jedną wielką niepewnością. Clay dał jej wreszcie poczucie bezpieczeństwa. Dlaczego znowu nie mogło być tak jak w pierwszym roku małżeństwa? Dlaczego nie mogła uwolnić się od strachu, od naglącej potrzeby uciekania?

Wpatrywała się w swoje odbicie, chaos w głowie powoli ustępował, aż zrodziła się klarowna, stanowcza myśl: jeśli ten mężczyzna ponownie się pojawi, ona, Frankie, nie da się znowu ustawić w roli ofiary. Jej prześladowca poczuje, co znaczy być prześladowanym.

Berty LeGrand uśmiechnęła się do synowej znad talerza sałatki szopskiej. Jadły właśnie lunch w mieście, w jednej z ulubionych restauracji Berty.

– Smakuje ci? – zapytała starsza pani, wskazując widelcem na zamówionego przez Frankie kurczaka na zimno z sałatką z makaronu.

– Uhm... – przytaknęła Frankie z pełnymi ustami.

Betty przyglądała się jej w zamyśleniu. Frankie wydawała się szczuplejsza, ale to nie powinno dziwić. Oby tylko jej synowej wróciła pamięć, a wszystko jakoś się ułoży. Najgorszy jest ten diabeł, któremu nie możemy spojrzeć w oczy.

Frankie też się zamyśliła, podobnie jak teściowa. Wracała myślami do poranka. Betty zgodnie z obietnicą pojawiła się na Denver Avenue o ósmej. Clay wyszedł pół godziny później, tak że Frankie ani chwili nie była sama. Nawet jej to specjalnie nie przeszkadzało. Miała naprawdę poważniejsze zmartwienia, niż buntować się z powodu nadopiekuńczości najbliższych.

– Dziękuję ci, Betty, że pokazałaś mi wycinki prasowe – powiedziała, budząc się w końcu z zadumy.

Betty odłożyła widelec.

– Zastanawiałam się, czy brać je ze sobą, ale później pomyślałam, że gdybym była na twoim miejscu, na pewno chciałabym je przejrzeć.

Frankie skinęła głową.

– Dobrze zrobiłaś. Dopiero po przeczytaniu wszystkich tych artykułów i notatek zrozumiałam, przez jakie piekło musiał przejść Clay. Wydaje mi się, że dopiero teraz zaczynam w pełni rozumieć jego zachowanie.

– Nie zamierzam brać jego strony ani go bronić – zapewniła Betty. – Chciałam tylko, żebyś wiedziała, co przeżywaliśmy.

Frankie westchnęła.

– Gdybym ja mogła wiedzieć, co przeżyłam, wszystkim nam bardzo by to pomogło i uprościło życie.

Zanim Betty zdążyła odpowiedzieć, rozdzwonił się jej telefon komórkowy. Wzniosła oczy do góry w udanym zniecierpliwieniu.

– To albo Clay, albo Winston.

Oczy Frankie rozjaśniły się natychmiast.

– Założę się o lody z gorącą czekoladą, że to Clay.

Betty uśmiechnęła się. Najpewniej przegrała zakład, ale nie miało to większego znaczenia, bo i tak ona płaciła za lunch.

– Wygrałaś – powiedziała, zerkając na wyświetlacz telefonu. – Tak, słucham? Poczekaj sekundę, synku. – Skinęła na przechodzącego obok kelnera. – Dwa razy lody z gorącą czekoladą proszę i niech pan dopisze wszystko do mojego rachunku.

– Oczywiście, proszę pani. – Kelner uklonił się i lawirując między stolikami, poszedł złożyć zamówienie.

Betty mrugnęła porozumiewawczo do Frankie i na powrót podniosła telefon do ucha.

– Przepraszam, Clay. Przegrałam właśnie zakład i musiałam się wypłacić. Słucham? Tak, dobrze się czuje. Sam ją możesz o to zapytać, ja idę przypudrować nos.

Betty z uśmiechem podała synowej telefon i podniosła się od stolika.

– Clay?

Clay westchnął. Już sam dźwięk głosu Frankie działał na niego kojąco.

– Witaj, kochanie? Dobrze się bawisz?

– Bardzo dobrze – zapewniła Frankie. – Właśnie kończymy lunch i wybieramy się na zakupy. Za jakieś dwie godziny powinniśmy być w domu.

– Tylko się nie przemęczaj.

– Obiecuję.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza, po czym Clay znowu westchnął i powiedział cicho:

– Kocham cię, Francesco.

Serce zabiło jej mocniej.

– Ja też cię kocham.

– Do zobaczenia wieczorem.

W głosie Claya dało się słyszeć powątpiewanie, jakby nie dowierzał losowi, jakby się obawiał, że wydarzy się coś, co znowu zabierze mu Francescę.

– Będę czekała na ciebie.

Wyłączyła telefon i odłożyła go na stół. Kiedy podniosła wzrok, w oczach miała łzy. Nie, nie wolno płakać – powiedziała sobie twardo. Nie czas rozczulać się nad sobą.

W chwilę później wróciła Betty. Ledwie zdążyła usiąść, pojawił się kelner z lodami.

– Kiedy skończymy, chciałabym, żebyś zabrała mnie w pewne miejsce – powiedziała Frankie, zabierając się do jedzenia.

– Chętnie – zgodziła się Betty. – Mmmm, pyszne.

– Rzeczywiście świetne – przytaknęła Frankie. – Dzięki za zaproszenie. Lunch był wyśmienity.

Betty wbiła łyżeczkę w grubą warstwę smakowitej czekolady.

– Cała przyjemność po mojej stronie, możesz mi wierzyć.

Frankie parsknęła śmiechem na te słowa.

– Wracając do twojej prośby, gdzie chcesz pójść?

Frankie wzruszyła ramionami, jakby chodziło o drobiazg.

– Do jakiegoś sklepu, gdzie sprzedają broń.

Betty znieruchomiała, z jej łyżeczki, która zawisała nad stołem, w pół drogi do ust, ściekło kilka kropel lodów.

– Przepraszam, kochanie, ale chyba się przesłyszałam. Wydawało mi się, że powiedziałaś „broń”.

– Nie przesłyszałaś się – odparła Frankie zdecydowanym tonem. – Chcę kupić pistolet i nauczyć się strzelać.

Betty nie mogła ochłonąć z wrażenia. Takie słowa w ustach spokojnej, łagodnej dziewczyny, którą niegdyś poślubił jej syn, wydawały się zupełnie niepojęte.

– Rozumiem, Francesco, że chcesz mieć poczucie bezpieczeństwa, ale żeby od razu... pistolet?

Frankie, raz powziąwszy decyzję, była nieugięta.

– Nie chcę znowu być ofiarą – oznajmiła kategorycznie.

– Powiesz Clayowi?

– A jak myślisz?

Betty westchnęła z rezygnacją.

– Myślę, że nie.

– A ty? Zamierzasz mu powiedzieć?

Betty wahała się przez chwilę, po czym, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, zaczęła na powrót jeść lody. Kiedy podniosła w końcu głowę, napotkała nieustępliwe spojrzenie synowej.

– Tak? – wymamrotała z pełnymi ustami.

– Pytałam, czy mu powiesz – powtórzyła Frankie.

– O czym? – zdziwiła się Betty, nie mrugnawszy okiem.

Frankie odetchnęła. Nawet nie zdawała sobie sprawy, z jakim napięciem czekała na reakcję teściowej.

– Dziękuję – powiedziała cicho. Betty zacisnęła usta.

– Obym tego nie żałowała.

– Dawson.

Detektyw Avery Dawson podniósł głowę. Jego partner machał do niego ręką z drugiego końca pokoju.

– Międzymiastowa do ciebie na trójce! – zawołał Paul.

Dawson podniósł słuchawkę.

– Komenda miejska w Denver, Dawson przy telefonie.

– Dzień dobry, detektywie Dawson, tu kapitan Paul Fornier z policji w Los Angeles.

Dawson wyprostował się na krześle.

– W czym mogę panu pomóc, kapitanie?

Na moment zapadła cisza przerywana szelestem papierów po drugiej stronie linii.

– Halo? Jest pan tam? – zapytał Dawson.

Fornier odchrząknął.

– Przepraszam – rzucił szorstko. – Usiłowałem odnaleźć coś w swoich notatkach. Mam już. Wie pan, że mieliśmy trzęsienie ziemi. Do tej pory odczuwamy jego skutki. Mamy tu teraz prawdziwe urwanie głowy.

– Tak, wiem – przytaknął Dawson. – Siedzimy wydarzenia na bieżąco w telewizji. Bardzo ucierpieliście.

– Sam departament policji nawet nie bardzo, gorzej z moim domem, ale na szczęście jeszcze stoi – mówił Fornier. – Ale nie dlatego dzwonię, żeby opowiadać

panu o swoim domu. Wczoraj wpłynęło do mnie stare zgłoszenie z waszego departamentu o zaginięciu kobiety. Z rysopisu zaginionej wynikałoby, że chyba mamy jej zwłoki w kostnicy.

– Co nam do tego? – zdziwił się Dawson.

– W zgłoszeniu mam pana nazwisko i numer telefonu jako możliwy kontakt. Dzwonię, żeby sprawdzić dane i dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie, której szukaliście. Po prostu chcę wiedzieć, czy to wasza sprawa.

– W porządku. – Dawson sięgnął po długopis.

– Może pan podać jej nazwisko?

– Francesca LeGrand.

Dawson odrzucił długopis i odchylił się w krzesło.

– Nie ma co sprawdzać. Niech pan od razu wyrzuci to zgłoszenie i zapomni o nim. Francesca LeGrand już się odnalazła.

– Macie ciało?

– Nie. Wróciła z własnej woli, niczym córka marnotrawna. Może nie cała i zdrowa, ale żywa.

– Żywa?

– Owszem, zupełnie żywa – przytaknął Dawson z lekkim przekąsem.

– W naszej robocie takie rzeczy raczej się nie zdarzają, prawda? – mruknął Fournier. – No dobrze, przynajmniej jedną sprawę mam z głowy. I kilkaset innych do przejrzenia.

– O tak, doskonale rozumiem, co ma pan na myśli. Coś jeszcze?

– Nie. Sądzę, że to wszystko.

– Zatem, powodzenia – powiedział Dawson.

– Będzie nam potrzebne – zaśmiał się Fournier.

Dawson już chciał odłożyć słuchawkę, ale Fournier miał coś jeszcze do powiedzenia.

– Przepraszam, nie dosłyszałem. Co pan mówił?

– Pytałem, kiedy pani LeGrand się odnalazła.

– Kilka dni temu.

– To już wszystko. Dziękuję panu bardzo – zakończył Fournier.

Dawson przez chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się w papiery rozłożone na biurku. Rozmowa, którą przed chwilą przeprowadził, nie różniła się niczym od setek podobnych, a jednak coś go niepokoiło. Powtarzał sobie w myślach pytania Fourniera i swoje odpowiedzi, aż wreszcie doszedł do momentu, który nie dawał mu spokoju.

Dlaczego Fournier chciał wiedzieć, kiedy Francesca LeGrand się odnalazła? Skoro była w Denver, nie mogła leżeć w kostnicy w Los Angeles, to chyba powinno być oczywiste.

Ponownie sięgnął po słuchawkę telefonu. – Operator? Dajcie mi numer telefonu departamentu policji w Los Angeles. Tak, tak, wystarczy centrala.

Po chwili wystukał podany numer.

– Tu departament policji Los Angeles, w czym mogę pomóc?

– Chciałbym mówić z kapitanem Fournierem – powiedział Dawson.

– Przykro mi, ale nie pracuje u nas nikt o takim nazwisku.

Dawsonowi zakręciło się w głowie, jakby ktoś zdzielił go pałką między oczy.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie pewien – potwierdził recepcjonista. – Właśnie dla pewności przeglądam naszą wewnętrzną książkę telefoniczną i nie mam tutaj nikogo takiego.

Dawson trząsł się, kiedy odkładał słuchawkę. Sprawa Franceski LeGrand nie została co prawda formalnie zamknięta, ale w rozmowach z Ramseyem obaj doszli do wniosku, że historia z porwaniem to wierutna bzdura, tym bardziej że dziewczyna sama wróciła do domu. Tymczasem odbyta przed chwilą rozmowa z fałszywym policjantem stawiała wszystko w nowym świetle.

Jeśli ta młoda kobieta mówiła prawdę, to znaczy, że Dawson mimo woli przekazał bardzo ważną informację jakiemuś człowiekowi, który podszywał się pod pracownika policji. Zdenerwowany wstał zza biurka i ruszył do pokoju szefa. Jeśli miało zdarzyć się coś złego, nie chciał być jedynym, który będzie ponosił za

to odpowiedzialność.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– A co pan powie o tym? – zapytała Francesca.

Sprzedawca lekko uniósł brew. Ta dziewczyna mogła nic nie wiedzieć o broni, tak przynajmniej twierdziła, ale bez wątpienia miała dobre oko. Wyjął niewielki pistolet z pudełka i położył na ladzie.

– Dobry wybór – pochwalił. – Podobnie jak te, które pokazywałem pani wcześniej, to też Glock, kaliber 9 mm, model G26. Mały, lekki, poręczny, dobrze leży w dłoni. Magazynek na jedenaście naboí, to aż nadto, jeśli ta rzecz ma służyć do obrony. Proszę, niech go pani weźmie do ręki – zachęcał.

Frankie zamknęła palce na kolbie, spróbowała nacisnąć spust.

– Ma te same parametry jak inne Glocki, które mi pan pokazywał? – upewniała się.

– Co ma pani na myśli? – sprzedawca odpowiedział pytaniem na pytanie, nie bardzo wiedząc, do czego Frankie zmierza.

– Chodzi mi o zabezpieczenie przed przypadkowym strzałem, na przykład kiedy broń upadnie na ziemię.

– A tak, oczywiście – przytaknął sprzedawca. – Na tym właśnie polega cała uroda Glocka. Ma trzy wewnętrzne mechanizmy zabezpieczające, a wszystkie blokują spust. Pistolet nie wystrzeli, jeśli nie naciśnie pani na cyngiel.

Frankie skinęła głową, zajrzała do lufy, po czym wycelowała w papierową tarczę umieszczoną na przeciwległej ścianie.

– Miała pani już kiedyś broń w ręku? – zainteresował się sprzedawca.

– Nie.

– W takim razie radzę pani wziąć kilka lekcji – oznajmił z namaszczeniem, po czym uśmiechnął się, by złagodzić trochę protekcyjalny ton pouczeń.

– Chcę się zapisać do klubu strzeleckiego w Lakewood. Słyszał pan o nim?

– Znakomite miejsce. Na pewno nauczą tam panią wszystkiego, co może się później okazać przydatne.

Frankie ponownie skinęła głową. Nic więcej nie miała do powiedzenia, a prawdę powiedziawszy, ciągle jeszcze nie mogła oswoić się z myślą, że zupełnie poważnie rozważa możliwość kupienia pistoletu.

A jednak, wbrew własnym wątpliwościom, całkiem zgrabnie go trzymała, tak jakby dłoń szybciej niż umysł zaakceptowała dotyk zimnego metalu i już zaczęła do niego przywykać.

Pistolet uśmierzał strach, dawał poczucie bezpieczeństwa, wyrównywał szanse Frankie wobec pozbawionego twarzy prześladowcy, któremu mogła teraz stawić czoło, gdyby znowu pojawił się z otchłani niepamięci.

Zadrzała. Gdyby się pojawił... Nabycie pistoletu nie było jeszcze równoznaczne z gwarancją, że się nie pojawi. Niebezpieczeństwo nadal wisiało w powietrzu, przyszłość ciągle pozostawała niepewna, obciążona aż nazbyt wieloma pytaniami, na które, jak dotąd, Frankie nie znajdowała odpowiedzi.

Pistolet... Oczywisty dowód, że jej świat naznaczony jest piętnem zagrożenia. Nie rozmawiała z Clayem, mąż nic nie wiedział o jej zamiarze kupienia broni, ale też to nie on musiał się bronić przed tajemniczym prześladowcą.

Spojrzała na ulicę: w samochodzie przed sklepem cierpliwie czekała na nią Betty.

– Ile? – zapytała, wzięwszy głęboki oddech.

– Sześćset dwadzieścia siedem dolarów plus VAT – poinformował sprzedawca, po czym dodał: – Broń będzie pani mogła odebrać za trzy dni.

Skinęła głową.

– Przyjdę.

– Świetnie. Muszę jeszcze prosić panią o wypełnienie krótkiego formularza.

Frankie załatwiła konieczne formalności i po kilku minutach siedziała już w samochodzie obok teściowej.

– Kupiłaś? – zagadnęła Betty, widząc jej nerwowy uśmiech.

– Tak.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Uśmiech zniknął z twarzy Franceski.

– Wiem jedno: nigdy więcej nie chcę się znaleźć w roli ofiary.

Betty z pełnym zrozumieniem uścisnęła dłoń Frankie.

– Tak mi przykro, że musiałaś tyle przejść – powiedziała cicho. – Uważaj, bardzo cię proszę. Codziennie się słyszy o nieszczęśliwych wypadkach z bronią.

– Zapewniam cię, że jeśli mój pistolet kiedykolwiek wystrzeli, nie będzie to nieszczęśliwy wypadek – oznajmiła Frankie stanowczym tonem.

Betty pobladła. Nie знаła swojej synowej z tej strony, nigdy jeszcze takiej jej nie widziała.

– Mogłabyś? Potrafiłabyś zabić kogoś?

– Tak, gdyby chodziło o moje życie czy o życie Claya, potrafiłabym zabić.

– Jesteś tego pewna?

– Jestem pewna – powtórzyła Frankie, odwracając głowę.

Droga powrotna upłynęła w milczeniu. Pierwsza przerwała je Frankie, kiedy podjeżdżały pod dom:

– Clay już wrócił – ucieszyła się, po czym dodała: – Dzięki za lunch i za to, że zechciałaś jeździć ze mną po mieście.

Betty wyłączyła silnik i uściskała synową.

– Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie. Kiedy zniknęłaś, czułam się tak, jakbym straciła własne dziecko. Myślałam, że nigdy już cię nie zobaczę. Zawsze chętnie ci pomogę. Dzwon śmiało. Jeśli tylko będziesz mnie potrzebować, natychmiast przyjadę.

– Odezwę się do ciebie niebawem – obiecała Francesca i wyskoczyła z samochodu, żeby jak najprędzej przywitać Claya.

Wiał ostry wiatr, zaczynał padać śnieg. Nie zdążyła jeszcze wyjąć kluczy z kieszeni, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się i w progu stanął Clay.

Szybko wciągnął żonę do ciepłego wnętrza i przygarnął do siebie.

– Chodź tu do mnie – powiedział z szerokim uśmiechem na ustach.

Frankie wtuliła twarz w czerwoną bluzę męża. Clay oparł brodę o jej głowę, szczęśliwy, że znowu, po dwóch samotnych latach, może trzymać w ramionach

najbliższą sercu istotę.

– Późno wracasz. Zmęczona po długim dniu?

– Trochę, ale było bardzo miło. Lubię towarzystwo twojej matki, dobrze się z nią czuję, wiesz przecież.

Clay uśmiechnął się.

– Wiem, wiem. Ona też cię lubi.

Odsunął Frankie na odległość ramienia i spojrzał jej w twarz.

– Co powiesz na gorącą kąpiel, zanim usiądziemy do kolacji?

Frankie skinęła głową i zaraz się stropiła.

– Ojej, nie pomyślałam o zrobieniu zakupów. Mamy coś w lodówce?

– Nie martw się, kolacja już gotowa – oznajmił Clay z dumą.

– Kiepsko się wywiązuję z umowy, prawda? – zapytała Frankie markotnym głosem.

Clay zmarszczył czoło.

– Z jakiej umowy?

– No wiesz: ty zarabiasz, ja powinnam zajmować się domem.

– Ty też zarabiałaś, chociaż pracowałaś tylko na pół etatu. Poza tym nigdy nie zawieraliśmy żadnej umowy. Wspólnie prowadzimy dom, jednakowo dzielimy obowiązki. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powinnaś nadal leżeć w łóżku, zamiast myśleć o zajmowaniu się domem. Jesteś jeszcze za słaba.

Frankie uśmiechnęła się.

– W porządku – mruknęła.

– Co myślisz o kąpieli?

– Zachęciłeś mnie. Chyba rzeczywiście wezmę gorący prysznic. Za chwilę będę gotowa.

– Nie spiesz się. Ziemiaki i tak muszą jeszcze posiedzieć trochę w piekarniku.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że Clay gotuje, myśli o drobiazgach, ona tymczasem coś knuje za jego plecami. Po chwili uprzytomniła sobie, że nie robi tego wyłącznie dla siebie, tylko przez wzgląd na bezpieczeństwo i spokój ich obojga.

Pharaoh przewrócił się na łóżku. Ból znowu nie dawał mu spokoju. Rekonwalescencja postępowała bardzo powoli, leki przeciwbólowe powodowały ośpienie, więc je odstawił kilka dni wcześniej.

Teraz, kiedy wróciła jasność umysłu, ciało zaczęło dawać znać o sobie. Zaciśnął zęby, usiłując skupić spojrzenie na dwóch egipskich statuetkach stojących przy ścianie naprzeciwko łóżka.

Izyda, żona Ozyrysa, czczona jako matka wszechrzeczy, władczyni panująca nad żywiołami, bogini, która data początek czasowi.

Obok niej Ozyrys, władca podziemi, księżę zmarłych.

Pharaoh skrzywił się, starając się przemóc kolejny atak bólu. Zamknął oczy i zatopił się w marzeniach. Egipt. Jego świat, świat dawnych faraonów, pustynny kraj wiecznie prażony słońcem. Szerokie, chłodne fale Nilu. Palmy daktylowe...

Łatwiej było marzyć o idealnej ojczyźnie, niż stanąć w obliczu twardych faktów; porzucony zaraz po urodzeniu, wychowany w sierocińcu w Nowym Meksyku, w gruncie rzeczy nie miał pojęcia, skąd się biorą jego korzenie ani kim byli rodzice.

Ogarnięty obłędem, Carn ubrał sobie, że w jakimś poprzednim wcieleniu żył w starożytnej krainie, której nigdy nie widział na oczy. I to imię, Pharaoh, Faraon. Ono było kluczem, ono naprowadziło go na chorą myśl o reinkarnacji. Nie mógł przecież nosić go przypadkiem.

Nie przestając wpatrywać się w statuetki, jakby w ich zimnych, marmurowych twarzach spodziewał się znaleźć podobieństwo do własnej, dotknął wytatuowanego na piersi krzyża.

Niespokojnie błędząca myśl kazała mu powrócić z odległej przeszłości do ostatnich czasów i do Franceski. Miał nadzieję, że jej nie zidentyfikowane ciało nie

spoczywa w którejś z kalifornijskich kostnic. Serce mówiło mu, że Frankie żyje, ale rozum przeczył nadziei. Gdyby wyszła cała z trzęsienia ziemi, do tej pory już by ją znaleźli.

Kilka dni wcześniej wysłał Stykowskiego do Denver, ale dotąd nie miał od niego żadnych wiadomości. Zaciśnął zęby w bezradnej złości. Ten sukinsyn mógłby w końcu zadzwonić i powiedzieć mu, czy natrafił na jakiś trop.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę.

Na progu stanął Duke Needham, nie bardzo wiedząc, czy ma wejść.

– Przepraszam, szefie, że przeszkadzam, ale mamy kłopoty w Houston.

Pharaoh natychmiast ocknął się z osobistych rozważań.

– Jakie znowu kłopoty? – prychnął zniecierpliwionym tonem.

– Chodzi o wydział do walki z narkotykami. Aresztowali „Mały Egipt” wraz z całym ładunkiem.

Pharaoh poczerwieniał ze złości. „Mały Egipt”, jego ukochany, nietykalny jacht. Nie po to słono opłacał wysoko postawionych urzędników, żeby zatrzymywali mu łódź. Któryś z tych dupków musiał coś poszkapić.

– Pomóż mi wstać – stęknął. – Muszę wykonać kilka telefonów.

Duke szybko podszedł do łóżka.

– Co pan chce zrobić? – zapytał niezbyt roztropnie, podtrzymując bossa pod ramię.

– Chcę się dostać do mojego gabinetu – warknął Pharaoh. – Znajdź tę cholerną pielęgniarkę i zapytaj ją, gdzie wepchnęła wózek inwalidzki.

– Tak jest, proszę pana – powiedział Duke i wybiegł z pokoju.

Kilka minut później, wydawszy bezapelacyjny wyrok na niejakiego Dabneya Carruthersa, przez którego głupotę zatrzymano „Mały Egipt”, Carn odłożył wreszcie słuchawkę telefonu.

– Przeklęty sukinsyn będzie miał za swoje – mruzczał do siebie. – Dowie się, że Pharaoha Carna nie można wykiwać. Lubiłem ten jacht.

Clay obudził się gwałtownie ze snu bez snów, przewrócił się na łóżku i zerknął zaspanym okiem na budzik: 5.45. Nacisnął guzik alarmu, by dzwonek nie obudził Frankie, i jeszcze na chwilę przyłożył głowę do poduszki, zapatrzony w rysującą się niewyraźnie w mroku, delikatną jak u porcelanowej lalki, okoloną ciemnymi włosami twarz Franceski.

Kiedy wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć żony, przysunęła się do niego i wtuliła głowę w jego ramię. Umościwszy się wygodnie, dalej smacznie spała.

Clay nie wierzył, że on, twardziel, może być aż tak zakochany i że ta drobna, krucha, przytulona do niego kobieta ma nad nim tak potężną władzę.

Jego żona.

Przerażeniem napawała go nie miłość, którą do niej czuł, i nie odpowiedzialność, która się z tym wiązała, ale fakt, że nie potrafił ustrzec Frankie przed niebezpieczeństwem. Ślubował przecież przy ołtarzu szanować i opiekować się nią, póki śmierć ich nie rozłączy. I co? Wystarczył rok wspólnego życia, by okazało się, że nie potrafi dotrzymać małżeńskiej przysięgi. Nie najlepiej to o nim świadczyło.

Spojrzał na spokojnie śpiącą żonę i poprzysiągł sobie, że już nigdy – nigdy – jej nie zawiedzie.

Frankie pomachała na pożegnanie wyjeżdżającemu do pracy Clayowi. Przed domem stał drugi samochód Betty i Winstona, którzy teściowie właśnie jej pożyczyli. Na stoliku w holu leżał kupiony poprzedniego dnia telefon komórkowy.

Frankie opuściła firankę i odwróciła się od okna, chłonąc ciszę domu. Od powrotu ze szpitala dzisiaj po raz pierwszy została sama. Nie wiedziała, czy powinna się z tego cieszyć, czy raczej lękać perspektywy spędzenia całego dnia w samotności.

Podświadomie wciąż wyczuwała czające się gdzieś w pobliżu niebezpieczeństwo, chociaż Clay uczynił wszystko, co w jego mocy, by nie czuła się opuszczona. Samochód zapewniał jej swobodę ruchów, nowy telefon komórkowy był gwarancją dla Claya, że w każdej chwili może się skontaktować z żoną.

Rozejrzała się po bawialni, rozmyślając o wprowadzeniu w czyn powziętego wcześniej planu. Miała dzisiaj odebrać pistolet zamówiony przed trzema dniami. Czekał na nią w sklepie, ale czy była gotowa wykonać ten krok? Mało, że okłamała Claya, to okłamywała też samą siebie.

Owszem, musiała się bronić, ale musiała też szczerze przyznać, że nie chodziło wyłącznie o obronę. Gdzieś w zakamarkach świadomości cały czas odzywała się potrzeba odwetu. Ktoś ukradł jej dwa lata życia.

Mój Boże, dlaczego nie może sobie nic przypomnieć?

Wzdychając ciężko, przeszła do kuchni.

Musi zmyć naczynia i wrzucić pranie do pralki. Później się zastanowi, czy powinna jechać po pistolet. Zawsze przecież może się rozmyślić i zrezygnować z zakupu.

Włożyła naczynia do zmywarki, przetrąła do czysta stół i blaty szafek. Kiedy odkładała zmywak, jej wzrok padł na niewielką szufladę, do której Clay schował znalezione w jej ubraniu pieniądze.

Zajrzała tam, wyjęła kopertę i przez długą chwilę wpatrywała się w plik banknotów, jakby oczekiwała, że wyjawią jej tajemnicę minionych dwóch lat.

Nic.

Żadnego obrazu, bodaj okruchu przypomnienia.

Objawienie nie przyszło.

Zniecierpliwionym gestem schowała pieniądze na powrót do szuflady.

Powinna zająć się praniem.

Powinna skupić się na zwykłych, codziennych sprawach, zamiast próżnymi rozważaniami komplikować sobie i Clayowi i tak już wystarczająco skomplikowane życie.

Segregując brudne ubrania, w pewnym momencie wzięła do ręki podkoszulek Claya ze znakiem firmowym Harley-Davidsona. Koszulka była stara, sprana, nadawała się już tylko do wyrzucenia, a jednak Frankie uwielbiała w niej sypiać.

Z uśmiechem przytuliła ją do piersi.

Koszulka jej męża.

Kiedy Frankie pracowała jeszcze w bibliotece, była bliska zazdrości, widząc, jak jej koleżanki reagują na przychodzącego po nią Claya.

Wysoki, dobrze zbudowany, ciemnowłosy, o błękitnych oczach pod gęstymi brwiami, z mocno zarysowaną brodą i lekkim garbkiem u nasady nosa, przyciągał spojrzenia kobiet, ale jego wygląd słodkiego hultaja niejedną mógł wywieść w pole, bo Clay poza Frankie świata nie widział. Taki właśnie był: wierny i lojalny.

Z westchnieniem wrzuciła koszulkę do bębna razem z innymi ubraniami.

Po chwili pralka mruczała cicho, zmywarka płukała już naczynia.

Frankie rozejrzała się po kuchni w poszukiwaniu następnego zajęcia. Jej wzrok ponownie padł na szufladę, w której leżały pieniądze. Przygryzła wargę i szybko odwróciła głowę.

– Skup się, dziewczyno – mruknęła pod nosem, przeszła do bawialni i włączyła telewizor.

Obejrzała jakiś poranny talk show, zaliczyła siedem przerw na reklamy, ale ani trochę jej to nie uspokoiło.

Zerknęła na zegar ścienny wiszący nad kominkiem. Dochodziła dziesiąta. Do lunchu jeszcze dwie godziny. Sześć, zanim Clay wróci do domu na obiad.

Skończył się talk show i zaczął skrót wiadomości: najpierw prognoza pogody z zapowiedzią opadów śniegu, potem najświeższe informacje z dotkniętego trzęsieniem ziemi obszaru południowej Kalifornii i prowadzonej tam ciągle akcji przywracania porządku.

Kiedy lektor zaczął relacjonować przebieg wydarzeń, a na ekranie zaczęły migać obrazy z miejsca kataklizmu, ukazujące zastraszające zniszczenia, Frankie poczuła ciarki na skórze. Krew odpłynęła jej z twarzy.

„Uciekaj, Francesco, uciekaj!”

Drgnęła i odwróciła się gwałtownie, pewna, że ktoś stoi za jej plecami. Zerwała się z kanapy, pobiegła do drzwi, upewniła się, czy są aby zamknięte na klucz, po czym obeszła cały dom, sprawdzając wszystkie okna, wszystkie pomieszczenia.

Coś się jej przywidziało. Była sama.

Stała w holu. Z wolna coś zaczynało się jej przypominać, pamięć się budziła.

Gdzieś biegnie. Zbiega po schodach. Uchylone drzwi, za nimi zielen, mnóstwo zieleni, gęstwina drzew. Drzewa się przewracają. Cały świat drży, chwieje się.

Zamknęła oczy, chcąc zatrzymać pod powiekami szybko przesuujące się obrazy.

Ktoś chwyta ją za rękę, a ona krzyczy:

– Chcę wracać do domu!

Widzi jego ciemne, pełne wściekłości oczy.

Mężczyzna nie puszcza jej, mocniej zaciska palce na jej nadgarstku.

– Jesteś przecież w domu, Francesco. Należysz teraz do mnie.

Zaczyna się szarpać, próbuje wyrwać, ale mężczyzna chwyta ją za gardło. Frankie dusi się, nie może zaczerpnąć powietrza.

– Puść mnie – błaga. – Nie chcę umierać.

Jedno potężne pchnięcie i mężczyzna upada, stacza się ze schodów, broczy krwią.

Podłoga znowu się zakołysała. Frankie w obłokach kurzu, osłaniając głowę przed kawałami opadającego tynku, zsuwa się ze schodów i nagle znajduje się tuż obok leżącego w holu mężczyzny. Słyszy za sobą ogłuszający huk eksplozji i widzi, że gasną wszystkie światła.

Tu obraz zaczął się rozmywać we mgle.

– Nie – szepnęła, rozpaczliwie pragnąc, by wspomnienie wróciło. Jeszcze raz zamknęła oczy. Może uda się jej zobaczyć twarz mężczyzny. Musi przecież coś wiedzieć, zanim zgłosi się na policję.

Obraz już nie powrócił. Jedno, co zdołała jeszcze zobaczyć, to rozerwana poła marynarki, którą miał na sobie mężczyzna. Bez zastanowienia przewróciła leżącego na plecy i szybko wyjęła mu z kieszeni portfel.

Otworzyła oczy, gwałtownie łapiąc oddech. Pieniądze! Stąd miała pieniądze!

Pobiegła do kuchni, żeby raz jeszcze na nie spojrzeć, niemal pewna, że ich widok przyniesie upragnioną odpowiedź.

Długą chwilę ścisnęła je w dłoni, ale odpowiedź nie przyszła. Pojawił się

natomiast wywołany wspomnieniem strach. Strach i zimny, zapiekły gniew.

Nie było sensu dłużej zastanawiać się nad kupnem pistoletu. Poszła do sypialni, by przebrać się do wyjścia.

Wsiadając do samochodu, zobaczyła panią Rafferty z naprzeciwka, która zabierała właśnie spod furki poranną gazetę. Pomachała sąsiadce i zamknęła drzwiczki. Jedno się nie zmieniło – pani Rafferty jak zawsze wysypiała się do późna. Sądząc z jej ubioru i wyglądu, musiała wstać dopiero przed chwilą.

Już miała ruszyć, gdy zza rogu wyłonił się mieszkający o przecznicę dalej pan Davidson ze swoim psem. Nie pozdrowił Frankie, nie pomachał ręką. Ale nie dlatego, żeby był gburem. Biała laska, którą trzymał w dłoni, wyjaśniała wszystko. Pan Davidson był niewidomy. Zerknęła w lusterko wsteczne i dopiero teraz uświadomiła sobie, że sąsiad ma innego psa przewodnika niż ten, którego pamiętała. Tyle się zmieniło pod jej nieobecność. Sprawdziła raz jeszcze adres sklepu z bronią i przekręciła kluczyk w stacyjce.

– A, pani LeGrand. Witam. Proszę jeszcze tutaj podpisać i może pani odebrać swój pistolet. Czeka już na panią.

Frankie złożyła podpis na rachunku, odliczyła starannie siedem studolarowych banknotów. Sprzedawca tymczasem włożył pistolet do pudełka i wsunął je do firmowej torby.

– Ile dodatkowej amunicji pani sobie życzy? – zapytał usłużnie.

Frankie podniosła głowę.

– Nie wiem. Tyle, żeby nauczyć się strzelać.

Sprzedawca dorzucił do torby kilka pudełek naboji.

– To powinno wystarczyć na początek, ale, oczywiście, musi pani zapłacić za nie oddzielnie.

Frankie wyjęła z koperty jeszcze jeden banknot i położyła na ladzie. Pieniądze nie miały dla niej żadnego znaczenia. Skądkolwiek by pochodziły, zamierzała zrobić z nich dobry użytek.

– Jeśli chce pani nosić broń, powinna pani wystąpić o pozwolenie – powiedział sprzedawca.

Frankie stropiła się. Nieprzewidziana przeszkoda. Jej plany zaczynały się komplikować.

- Gdzie się załatwia takie sprawy?
- Na policji, oczywiście.
- Tam dostanę potrzebny formularz?

Sprzedawca schował pieniądze.

- Zaraz sprawdzę, może mam jeszcze jakiś egzemplarz.

Ledwie sprzedawca zniknął na zapleczu, zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Frankie odwróciła się gwałtownie, podejrzliwym wzrokiem mierząc mężczyznę, który właśnie wszedł do sklepu, ale on, nawet nie spojrzawszy na nią, podszedł do półki z czasopismami i zaczął je przeglądać.

Po chwili pojawił się sprzedawca.

- Proszę, oto reszta, a to formularz, o który pani prosiła. Proszę go wypełnić i przesłać pod wskazany adres. I czekać na odpowiedź.

Ręce jej drżały, kiedy chowała drobne do torebki. Ledwie doszła do samochodu. Była tak zdenerwowana, że zbierało się jej na mdłości. Otworzyła drzwiczki, usiadła za kierownicą, spojrzała na pakunek z pistoletem.

Co ona najlepszego zrobiła?

Nagle poczuła przemożną potrzebę usłyszenia głosu Claya. Wyjęła z kieszeni telefon i wystukała numer męża.

- LeGrand Constructions – rozległ się głos po drugiej stronie. – Joe przy telefonie.

– Dzień dobry, Joe, mówi Francesca. Żona Claya. Mogę z nim rozmawiać? O ile oczywiście nie jest bardzo zajęty.

- Już go proszę, pani LeGrand. Proszę chwilę poczekać.

Frankie zamknęła oczy, wsłuchując się w odgłosy robót i nawoływań dochodzące ze słuchawki. Kiedyś były jej bliskie, dobrze znajome, teraz czuła się jak ktoś obcy w świecie Claya.

Po chwili usłyszała znajomy głos i odetchnęła z ulgą.

- Witaj, kochanie. Coś się stało? – zapytał niespokojnie.

Zupełnie rozbrojona jego zatroskaniem, przygryzła wargę, a łzy same

napłynęły jej do oczu.

– Nie, nic się nie stało – zapewniła bez przekonania.

– Joe mówił, że sprawiałaś wrażenie zdenerwowanej.

Ponownie spojrzała na torbę z pistoletem. Miała ochotę, ogromną ochotę powiedzieć wszystko Clayowi, ale zbyt długo dźwigał ciężar związany z jej zniknięciem. Nie chciała przysparzać mu kolejnych zgrzyot, zwierzać się ze swoich lęków. Zamiast powiedzieć prawdę, skłamała:

– Nie, nie jestem zdenerwowana. Po prostu chciałam usłyszeć twój głos.

– Na pewno wszystko w porządku? – dopytywał się Clay. – Masz taki głos, jakbyś płakała.

– Jesteś przewrażliwiony – powiedziała przez łyżę, usiłując nadać swojemu głosowi bez troskie brzmienie. – Późno dziś wrócisz?

– Nie przypuszczam.

– Będę na ciebie czekała. Przygotuję coś specjalnego na kolację.

– Tylko się nie przemęczaj, Francesco, bardzo cię proszę. Zjem, cokolwiek zrobisz. – Tu Clay zniżył głos. – Tak naprawdę mam apetyt tylko na ciebie.

Tym razem Frankie nie musiała już przymuszać się do śmiechu.

– Powiedziałam ci, że przygotuję coś specjalnego. Kocham cię – dodała, zanim Clay zdążył odłożyć słuchawkę.

– Ja też cię kocham, Frankie. Bardziej niż sobie wyobrażasz. Do zobaczenia, kochanie.

– Do zobaczenia – powtórzyła, ale Clay zdążył już się wyłączyć.

Rzuciła telefon na siedzenie i ponownie spojrzała na pakunek, ale tym razem w jej oczach nie było już łez.

Uruchomiła silnik, wyjechała z parkingu i ruszyła w stronę Lakewood, gdzie mieścił się klub strzelecki.

Gdyby spojrzała w lusterko wsteczne, zobaczyłaby mężczyznę wybiegającego ze sklepu z bronią. Była jednak zbyt zaabsorbowana tym, co dzieje się na drodze przed nią, by spoglądać do tyłu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ktoś poklepał ją po ramieniu. Frankie opuściła pistolet i zdjęła ochronne słuchawki.

– Niepotrzebnie szarpie pani za spust, pani LeGrand. Proszę się odprężyć i naciskać spokojnie – tłumaczył instruktor.

Skinęła głową, ujęła broń w obydwie dłonie i ponownie wycelowała w tarczę, powtarzając sobie w myślach wcześniejsze uwagi instruktora.

Cel.

Wdech.

Wydech.

Naciskam spust.

Poczuła silny zapach prochu, odrzut pistoletu, ale tym razem coś było inaczej. Zerknęła na instruktora, którego wargi i podniesiony w górę kciuk mówiły: „dobra robota”. A więc wreszcie się udało.

Uśmiechnęła się zadowolona z siebie i wycelowała ponownie.

Jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

– Dawson, szef cię wzywa.

Rad, że może chociaż na chwilę oderwać się od nudnej, nie mającej końca papierkowej roboty, Avery Dawson rzucił długopis na biurko i wstał z krzesła.

Po chwili był już w gabinecie przełożonego.

– Wzywał mnie pan, szefie?

Szef w odpowiedzi podał mu kartkę.

– Znalazłem to przed chwilą u siebie na biurku.

Zerknij.

Dawson lekko uniósł brew.

– Wniosek o wydanie pozwolenia na noszenie broni?

– Nie taki zwykły sobie wniosek. Spójrz na nazwisko.

– Cholera!... A niech mnie! Francesca LeGrand.

– Dokładnie tak samo zareagowałem. – Szef pokiwał głową. – Sprawdź, o co tej dziewczynie chodzi. Wolałbym nie wydawać pozwolenia komuś takiemu jak ona.

– Co niby mam zrobić? Prawo nie zabrania posiadania broni ani występowania o pozwolenie na jej noszenie przy sobie.

– Prowadziłeś jej sprawę, prawda?

Dawson przytaknął.

– Owszem, ale kiedy wróciła do domu, dochodzenie umarło śmiercią naturalną.

– Niemniej twierdziła, że została uprowadzona – przypomniał Avery'emu szef.

– Nie ma na to żadnych dowodów.

– A ten sfingowany telefon w sprawie nie zidentyfikowanej kobiety w Kalifornii?

– I tutaj nie natrafiłszy na żaden trop.

Szef nie dał się zbyć.

– Nie masz tropów, nie masz dowodów, ale jesteś gliniarzem, masz nosa i doświadczenie. One nic ci nie mówią?

Dawson zastanawiał się przez chwilę.

– Mówią – przyznał wreszcie. – Coś mi tu śmierdzi.

– Kontaktowałeś się z LeGrandami po tym tajemniczym telefonie od niby to Forniera?

– Nie, szefie. Kapitan powiedział, że nie ma sensu ich niepokoić, dopóki nie mamy nic konkretnego w ręku.

– Ten telefon to konkret. Powinni o nim wiedzieć. Skontaktuj się z nimi i przekaż im tę informację.

– Tak jest, szefie.

Szef wstał, podszedł do okna, wyjrzał na zaśnieżoną ulicę.

– Pani LeGrand nadal nie ma nic do powiedzenia na temat swojego zniknięcia? – zapytał po chwili milczenia.

– Nie.

Szef odwrócił się i wskazał na wniosek złożony przez Francescę.

– Coś mi mówi, że ta dziewczyna ma jakieś swoje sekrety, z którymi woli się nam nie zdradzać. A ja nie lubię sekretów. Musi czuć się zagrożona, inaczej nie występowałaby o pozwolenie na noszenie broni. A ja nie lubię, kiedy ktoś usiłuje wyręczać policję i sam chce siebie chronić. Sprawdź ją, Dawson. Nie chcę mieć żadnych trupów tylko dlatego, że LeGrand cierpi na manię prześladowczą. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, szefie.

– Złóż mi raport, jak już z nią porozmawiasz.

– Tak jest, szefie. Zajmę się tą sprawą jutro z samego rana.

Na widok wychodzącej z klubu strzeleckiego Franceski Marvin Stykowski ukrył się za najbliższym drzewem. Śledził ją od dwudziestu czterech godzin, wystarczająco długo, żeby skontaktować się ze swoim bossem i przekazać mu najnowsze informacje.

Dawno już powinien był zadzwonić do Denver, jeśli nie chciał narażać się na wściekłość Carna, ale najpierw przez prawie dwa dni szukał domu, w którym mieszkała, potem musiał się upewnić, czy jest na miejscu.

Kiedy już namierzył tę kobietę, trochę czasu zajęło mu znalezienie dealera.

Był obcy w mieście, a musiał się przecież zaopatrzyć w kilka działek: wiedział, że jak zacznie robotę, nie będzie mógł biegać za towarem; z kolei jak się nie naszprycował, nie potrafił pracować.

Nikt w organizacji Pharaoha nie wiedział, że Marvin bierze, i lepiej, żeby nikt nie wiedział. Carn, chociaż zajmował się handlem narkotykami na dużą skalę, a może właśnie dlatego, że nimi handlował, nie pozwalał brać swoim ludziom, ale Stykowski miał w nosie zakazy Carna. W końcu był jednym z najlepszych klientów swojego szefa, co powinno mu się liczyć na plus. Śmieszny układ.

Kiedy Frankie wyjechała z parkingu, ruszył do swojego samochodu. Nie musiał się spieszyć. Wiedział, dokąd pojechała. Teraz powinien poszukać jakiegoś automatu telefonicznego i zadzwonić do Denver.

I pewnie by zadzwonił, gdyby nie przejechał skrzyżowania na czerwonym świetle. Kiedy za sobą usłyszał syrenę wozu patrolowego i zobaczył błyskającego koguta, skóra mu ścierpła. W schowku w samochodzie miał przecież zapas działek na kilka dni. Przerażony, zamiast na hamulec nacisnął na gaz.

Udało mu się przejechać kilka kilometrów, nim go dopadli, wyciągnęli z samochodu, obalili na ziemię i skuli.

– Ej, nie tak mocno, boli! – wrzasnął, kiedy jeden z gliniarzy wykręcał mu rękę do tyłu.

– To leż spokojnie – poradził z dobrego serca policjant.

Marvin jęknął głucho. Pharaoh go zabije.

Clay niechętnie otworzył oczy, jeszcze bardziej niechętnie podniósł się z łóżka, wziął swoje rzeczy i nie chcąc budzić smacznie śpiącej Frankie, na palcach przeszedł do bawialni, żeby tutaj się ubrać.

Już w spodniach i koszuli ruszył do kuchni, nalał wody do ekspresu i zaczął układać sobie w myślach plan dnia.

Chciał już wsypać kawę, kiedy okazało się, że skończyły się filtry. Dopisał je do listy zakupów i oderwał kawałek papierowego ręcznika z rolki.

Nieraz już radził sobie w ten sposób. Kiedy osadził już prowizoryczny filtr w ekspresie, wyjął z szuflady nożyczki, przyciął go od góry i, cały czas błądząc myślami gdzie indziej, na powrót wrzucił nożyczki do szuflady, po czym podszedł do lodówki. I w tym momencie znieruchomiał.

Z bijącym sercem ponownie otworzył szufladę.

Koperta.

Zniknęła bez śladu.

Zaczął zaglądać do wszystkich szuflad po kolei, wyszarpywał je z szafek coraz bardziej rozgorączkowany, wściekły, przerażony.

Tysiąc pięćset dolarów rozpląnęło się w powietrzu. Było i nie ma. Ot tak, po prostu.

– Clay, na litość boską, co ty wyprawiasz?

Odwrócił się i spojrzał na rozeźmianą twarz Frankie.

Nie mógł uwierzyć, jak bardzo jego żona się zmieniła. Kiedyś nie miała przed nim żadnych sekretów. Kiedyś od razu poznałby po jej minie, że kłamie. A teraz?

Wzdrygnął się, jakby ktoś smagnął go biczem.

– Gdzie one są?

– Gdzie co jest?

– Pieniądze.

W ułamku sekundy uśmiech zniknął z twarzy Frankie.

Clay odruchowo, nie myśląc, co robi, spojrzał na jej ręce noszące jeszcze ślady wkluc. Francesca zauważyła jego spojrzenie i ogarnęła ją niepoohamowana wściekłość.

– Niech cię wszyscy diabli, Clay! Myślałam, że mamy to już za sobą.

– Owszem, Francesco, ja też tak myślałem – oznajmił lodowatym tonem.

Frankie poczuła, że oblewają ją fale gorąca, gwałtowne uderzenie krwi do głowy.

– Nie, nie zamieniłam ich na kokainę ani morfinę, jeśli o tym myślisz.

Clay podszedł do niej, mocno chwycił ją za ramiona.

– Nie wiem już, co mam myśleć. Kobieta, z którą się żeniłem, nie miała przede mną tajemnic i nie kłamała.

Oskarżenie rzucone przez Claya zabolalo bardziej niż policzek. Frankie hardo uniosła brodę, choć w oczach zabłyśły jej łzy.

– Otóż to, panie LeGrand, nie jestem tą samą kobietą, z którą się żeniłeś. Tamta naiwna istota zniknęła. Na zawsze. Zdarzyło się coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć, ale cokolwiek to było, jedno wiem z całą pewnością, nie jestem już taka jak dawniej.

Chwyciła Claya za rękę i pociągnęła za sobą.

– Co robisz?

– Chciałeś się dowiedzieć, gdzie są pieniądze.

Clayowi na moment stanęło serce. Chryste, a jeśli po prostu schowała je w innym miejscu, a on jak skończony osioł od razu podejrzewa ją o najgorsze?

– Posłuchaj, Frankie... przepraszam cię, jeżeli...

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Zamknij się, Clay. Nic już nie mów.

Frankie zostawiła go na progu sypialni, podeszła do komody, po czym odwróciła się gwałtownie do męża i wcisnęła mu w dłoń kawałek zimnego metalu.

– Proszę – powiedziała porywczo. – Oto na co wydałam pieniądze.

Clay wpatrywał się w pistolet, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył broń.

– Dlaczego? – wykrztusił wreszcie.

– Ponieważ się boję, Clay. Boję się w dzień i w nocy. Kiedy zaczynam już myśleć, że wszystko będzie dobrze, wracają upiory wspomnień: twarze, miejsca, których nie rozpoznaję. Duszę się. Nie mogę tak żyć.

Clay jak w transie odłożył pistolet i ujął w dłonie twarz żony.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zaczyna wracać ci pamięć? – zapytał ze skrucą w głosie.

– Bo nie wiem, co właściwie sobie przypominam. To tylko oderwane,

niezborne fragmenty: jakiś obraz, dźwięk, nawet zapach. Czasami budzę się z uczuciem, że ziemia drży. – Po policzkach Frankie stoczyły się powstrzymywane dotąd łzy. – Mam wrażenie, że tracę rozum.

Clay przytulił ją i zaczął kołysać.

– Nie możesz tak myśleć – powiedział cicho. – A ja przyrzekam, że nigdy już nie będę cię podejrzewał. Ty też mi zaufaj. Nie ukrywaj przede mną, co się z tobą dzieje. Nie jesteś przecież sama. W końcu wspólnymi siłami dojdziemy prawdy.

– Jak?

– Prywatny detektyw. Już dawno powinienem do niego zadzwonić. Mam jego numer telefonu w biurze. Skontaktuję się z nim, jak tylko przyjadę do pracy. Zadzwonię też na policję, porozmawiam z Dawsonem. Może on ma coś nowego.

Frankie skinęła głową i mocniej przytuliła się do Claya.

– Włóż coś cieplejszego, Francesco, i zjedźmy razem śniadanie.

– Czuję się jak małe dziecko – mruknęła, kiedy Clay wyciągnął z szafy bawełnianą bluzę i rzucił jej.

– Nie powiedziałbym. – Zerknął na pistolet. – Potrafisz się z tym obchodzić?

– Uczę się.

– Żartujesz?

– Nie, wcale nie żartuję. Biorę lekcje w klubie strzeleckim Foothills w Lakewood.

Na twarzy Claya odmalowało się coś na podobieństwo szacunku.

– Poważnie do tego podchodzisz.

– Śmiertelnie poważnie – przytaknęła, wciągając bluzę.

Zbliżało się południe, kiedy zadźwięczał dzwonek przy wejściu. Frankie odłożyła nóż kuchenny, opłukała dłonie nad zlewem i podeszła do drzwi. Przez

szybę dojrzała policjanta, który zajmował się jej sprawą.

Clay, wychodząc do pracy, obiecał, że do niego zadzwoni. To, że Dawson tak szybko się pojawił, mogło wskazywać, że ma jakieś nowe informacje.

– Zaskoczył mnie pan, detektywie – przywitała gościa. – Proszę dalej.

Avery wszedł do holu. On też był zaskoczony. Kobieta, która przed nim stała, w niczym nie przypominała tej, którą przesłuchiwał w szpitalu. Uśmiechnięta, jaśniejąca, zadbana, nie sprawiała wrażenia osoby przerażonej, na skraju załamania nerwowego. A jednak kupiła pistolet i szef Avery'ego chciał, by odpowiedziała na kilka pytań, zanim zdecydowałby się wydać pozwolenie.

– Przepraszam, że nachodzę panią w domu i przeszkadzam, ale jeśli pani pozwoli, chciałbym zamienić kilka słów.

– Oczywiście. Mogę wziąć od pana płaszcz?

Dawson pokręcił głową.

– Nie, ja tylko na moment. Nie będę się rozbierał.

– Proszę chociaż wejść do bawialni – zaprosiła. – W holu jest dość chłodno.

Dawson przeszedł za nią do pokoju i usiadł na kanapie.

– Clay obiecał mi dzisiaj rano, że do pana zadzwoni, ale nie spodziewałam się tak szybkiej reakcji. Ma pan jakieś nowe informacje?

Dawson zrobił zdziwioną minę.

– Nie rozmawiałem z pani mężem, pani LeGrand.

– Nie? – Teraz z kolei na twarzy Frankie odmalowało się zaskoczenie.

– Nie, proszę pani. Prawdę mówiąc, przyjechałem tutaj na wyraźne polecenie mojego szefa. Złożyła pani u nas wniosek o wydanie pozwolenia na noszenie broni, prawda?

– Owszem.

– Z czego wnoszę, że niedawno musiała pani kupić pistolet. Dobrze się domyślam?

W głosie Dawsona było coś obraźliwego. Frankie poczuła się nagle jak przestępca, a to przecież ona była ofiarą.

Odłożyła ścierkę, którą dotąd ścisnęła w dłoni, nachyliła się, łokcie oparła na kolanach.

– Dobrze się pan domyśla. Rzeczywiście, niedawno kupiłam pistolet. Nie wiedziałam, że taki zakup łączy się z przesłuchaniem.

– Zwykle się nie łączy – odparł Dawson, starając się zachować uprzejmy ton głosu.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej.

Dawson nie wiedział, jak sformułować to, co miał do przekazania. Czuł się coraz bardziej niezręcznie.

– Ja wypełniam tylko swoje obowiązki. Jestem tutaj, bo takie dostałem polecenie służbowe – powiedział wreszcie, usiłując wymyślić jakieś pytanie, które miałyby sens.

– Co pani myślała... rozumie pani... w jakim stanie ducha pani była – jąkał się – kiedy... postanowiła pani kupić pistolet?

Frankie pokręciła głową z niedowierzaniem. Ten człowiek bełkotał bez ładu i składu.

– Proszę mi coś powiedzieć – zaczęła podniesionym, poirytowanym głosem.
– Czy zwykle w ten sposób pracujecie? Bo jeśli tak, to nic dziwnego, że nie mogliście mnie odnaleźć.

Dawson zrobił się czerwony jak piwonia.

– Niech pani słucha, pani LeGrand, ja...

Frankie gwałtownie podniosła się z fotela.

– To niech pan posłucha, detektywie. Ktoś ukradł mi dwa lata życia. Nie wiem, gdzie byłam, nie wiem, jakim sposobem wróciłam do domu, w związku z tym nie wiem, skąd oczekiwać zagrożenia, o ile ponownie miałyby się pojawić. Owszem, kupiłam pistolet, bo nie czuję się bezpieczna. Po rozmowie z panem moje zaufanie do policji w naszym mieście równa się zeru. Biorę lekcje w klubie strzeleckim Foothill. Nie oszalałam, nie mam urojeń, nie cierpię na manię prześladowczą. Boję się. Może pan to zrozumieć?

– Tak, rozumiem, że się pani boi, ale niech pani zrozumie też punkt widzenia mojego szefa. Broń, która trafi w niepowołane ręce, może wyrządzić wiele zła.

Frankie uśmiechnęła się z przekąsem.

– Mówi pan sloganami, tymczasem prawda wygląda tak: uznaliście, że jestem rąbniętą facetką, która najpierw ucieka od męża, po czym ni stąd, ni zowąd do niego wraca. Niech pan powie szczerze, z ręką na sercu, taką właśnie wyrobiliście sobie opinię?

Dawson znowu pokraśniał, nie bardzo potrafił spojrzeć Frankie w oczy. Rzeczywiście tak myślał, kiedy usłyszał, że Francesca LeGrand się odnalazła.

– Nie, proszę pani. Nic podobnego nie powiedziałem.

– Nie, oczywiście, że nie. Doskonale słyszałam, co pan powiedział. Chodzi mi o to, jak pan to powiedział. Pan mnie obraził. Nie zrobiłam nic złego, detektywie Dawson, a traktujecie mnie jak przestępcę. Pomyślał pan chociaż przez chwilę, jak się mogę czuć w takiej sytuacji?

– Powiedziałem już, ja tylko wykonuję polecenia służbowe.

– Oczywiście, pan tylko wykonuje polecenia – powtórzyła Frankie z ironią w głosie. – Skoro już pan tu jest, pozwoli pan, że zadam kilka pytań?

Dawson wstał z kanapy. Miał już serdecznie dość tej rozmowy, ale nie mógł jej przerwać i wyjść.

– Niech pani pyta – powiedział.

– Czy ma pan jakieś nowe informacje dotyczące mojej sprawy?

Zamiast powiedzieć o dziwnym telefonie, przecząco pokręcił głową.

– Nie, proszę pani. Nie mamy nic nowego. Trop urywa się na taksówkarzu, który zabrał panią z dworca autobusowego.

Tego właśnie się spodziewała.

– Zatem proszę otworzyć notes i pisać. Od kilku dni zaczynam sobie przypominać różne rzeczy. To chaotyczne obrazy, nie układające się w żadną całość, ale być może na coś się wam przydadzą.

Dawson wyjął notes i długopis, a Frankie zaczęła chodzić po pokoju.

– Tam, gdzie byłam, musiało być trzęsienie ziemi. Prawdopodobnie dlatego udało mi się uciec. Pamiętam mnóstwo zieleni, dom otoczony zielenią. Palmy, jak w Kalifornii.

To by miało sens – pomyślał Dawson. Człowiek, który do niego dzwonił, powiedział, że dzwoni z Los Angeles. Mógł oczywiście kłamać, bo cała rozmowa była sfingowana, ale mógł też nieopatrznie wygadać się, wskazując w ten sposób kierunek poszukiwań.

Francesca zatrzymała się, przymknęła oczy.

– Czasami już mi się wydaje, że widzę jego twarz – mówiła dalej. – Niestety, nadal nie potrafię powiedzieć, jak wyglądał – dodała z westchnieniem i zerknęła na Dawsona. – Pamiętam tylko, że miał tatuaż na piersi.

Dawson zastrzygł uszami.

– Co to był za tatuaż?

– Taki sam jak ten – powiedziała, odgarniając włosy i podchodząc do detektywa. – Tyle tylko że znacznie większy i umieszczony na piersi.

– Od dawna ma pani ten znak?

Frankie opuściła rękę, odwróciła się twarzą do Dawsona.

– Nie umiem tego powiedzieć. Wiem tylko, że musiał zostać zrobiony już po moim zniknięciu.

Dawson gorliwie notował każde słowo.

– Wydaje mi się, że tam, gdzie mieszkałam, były zakratowane okna. Myśli pan, że mogłam siedzieć w więzieniu?

– Raczej nie, skoro mówi pani, że dom otoczony był zielenią. Poza tym, gdyby rzeczywiście siedziała pani w więzieniu i uciekła, mielibyśmy pani rysopis. Poszukiwaliby pani w całym kraju.

Frankie odetchnęła.

– Przynajmniej jedno się wyjaśniło. Nie wiem, z jakiego powodu miałabym trafić do więzienia, ale zrobiło mi się lżej na sercu.

– Coś jeszcze? Pamięta pani jeszcze jakieś szczegóły? Cokolwiek? Z pozoru zupełnie nieistotne drobiazgi, które mogłyby naprowadzić nas na trop.

Frankie zastanawiała się przez długą chwilę, wreszcie podniosła głowę, wzruszyła bezradnie ramionami.

– Nie, nic więcej.

Dawson schował notes do kieszeni. Już postanowił, że nie powie nic Francesce o dziwnym telefonie z Los Angeles. Wolał porozmawiać na ten temat z Clayem.

– Nie będę pani zajmował czasu, pójdę już. Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę natychmiast dzwonić.

Skinęła głową i odprowadziła gościa do drzwi. Dawson zatrzymał się jeszcze w progu, zawahał.

– Nie wiem, czy to ma dla pani znaczenie, ale chciałbym powiedzieć, prywatnie, między nami, że pani wierzę.

Frankie uśmiechnęła się nieznacznie.

– Ja też nie wiem, czy ma to dla mnie znaczenie, ale dziękuję panu.

Dopiero kiedy Dawson wyszedł, uświadomiła sobie, że nie zapytała go o pozwolenie na noszenie broni. Wzruszyła ramionami. Wszystko jedno. Nawet jeśli nie wydadzą jej pozwolenia, miała pistolet. I wiedziała, jak się z nim obchodzić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Clay kartkował leżący na biurku notes w poszukiwaniu numeru prywatnego detektywa, którego wynajął zaraz po zaginięciu Franceski.

Niestety, telefon w biurze Harolda Bordena nie odpowiadał, nie zgłaszała się też automatyczna sekretarka.

Clay od roku nie miał z Bordenem żadnego kontaktu. Możliwe, że jego agencja już nie istniała, aczkolwiek byłoby to dziwne, bo detektyw sprawiał wrażenie człowieka, który za nic nie wycofałby się ze swojego zawodu. Nie był to typ faceta, który marzy o przejściu na spokojną emeryturę i spędzaniu czasu na majsterkowaniu albo na grze w golfa.

Clay już miał się rozłączyć, kiedy ktoś wreszcie podniósł słuchawkę.

– Agencja Borden – rozległ się zadyszany głos.

– Mówi Clay LeGrand. Chciałbym rozmawiać z panem Bordenem.

Borden odstawił na biurko lunch przyniesiony z baru naprzeciwko – kubek kawy i torbę z pączkami – i ciężko usiadł w fotelu.

– Przy telefonie. Clay LeGrand, kto by się spodziewał. Witaj, chłopcze. Co u ciebie słychać? Jak ci się wiedzie?

Clay ze słuchawką przy uchu podszedł do okna wychodzącego na plac budowy.

– Różnie... Dobrze i niedobrze.

Borden wyjął pączka i ugryzł wielki kęs.

– Najpierw powiedz o tym, co dobre – mruknął Borden z pełnymi ustami.

– Francesca wróciła.

Borden omal się nie zakrztusił.

– Niech mnie kule biją! – Upił solidny łyk kawy i odchylił się w fotelu. – Jak? Kiedy? I najważniejsze, gdzie się podziewała przez cały ten czas?

Clay westchnął.

– To jest właśnie ta zła wiadomość.

– Zniosę każdą. W końcu nie dzwonisz do mnie towarzysko, prawda?

– Nie – przytaknął Clay.

– Poczekaj, chłopcze. Długopis gdzieś mi się zapodział... O, jest, skubany. No to wal śmiało – powiedział zachęcająco i znów zabrał się do pączka.

– Mniej więcej tydzień temu wróciłem z pracy i zastałem ją śpiącą w naszym łóżku. Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że w tym samym dniu zdarzył się wypadek. Frankie była w taksówce, która zderzyła się z autobusem. Miała ciężkie wstrząśnienie mózgu. Nie pamięta, co się z nią działo przez dwa lata. Nie pamiętała, że zniknęła.

– I co w związku z tym?...

Clay wziął głęboki oddech.

– Frankie jest przekonana, że grozi jej niebezpieczeństwo. Twierdzi, że nigdy nie odeszłaby z domu z własnej woli. Ktoś musiał ją porwać, a skoro porwał, na pewno jej nie wypuścił raptem po dwóch latach, bo mu się znudziła. Frankie musiała uciec. Teraz boi się, że ten człowiek będzie jej szukał.

– Taaa... – mruknął Borden. – Nie zrozum mnie źle, ale co ty o tym myślisz?

– Wierzę jej.

– W porządku. Jaki ma być mój udział?

Clay przeczesał włosy palcami.

– W tym cały szkopuł. Wiem, czego chcę, ale nie potrafię podać ci żadnych informacji.

Borden przewrócił kartkę w notesie. Od chwili kiedy przestał prowadzić dochodzenie w sprawie Franceski, dręczyło go poczucie, że nie wywiązał się ze zlecenia. Teraz miał okazję oczyścić swoje sumienie.

– Powiedz mi, co wiesz – poprosił.

– Policja ma zeznanie taksówkarza, który brał udział w wypadku. Rysopis pasażerki wskazuje, że to mogła być Francesca. Facet twierdzi, że kobieta zachowywała się dziwnie, jakby się czegoś bała. Frankie nie jest w stanie nic sobie przypomnieć, poza jakimiś drobiazgami. Ma wytatuowany na szyi ankh, ale też nie wie, skąd się tam wziął. Jak widzisz, nie dysponujemy prawie żadnymi

wskazówkami.

– To krzyż zakończony rodzajem pętli?

– A, tak. Jakiś egipski symbol.

– Coś jeszcze? – zapytał Borden.

– Frankie mówi, że człowiek, który ją więził, miał identyczny znak wytatuowany na piersi. Jest też przekonana, że tam, gdzie była, musiała przeżyć trzęsienie ziemi. Jak wiesz, ostatnio było potężne trzęsienie ziemi w Kalifornii.

Borden był coraz bardziej zaintrygowany opowieścią Claya.

– Mamy już jakiś punkt zaczepienia.

– Też mi się tak wydaje – przytaknął Clay.

Borden przymknął oczy, usiłując przypomnieć sobie materiały, które zebrał na temat Franceski, kiedy prowadził jej sprawę.

– Pamiętasz? – zaczął. – Mówiłem ci już dawno temu, że warto byłoby poszperać w przeszłości twojej żony. Wtedy zarzuciliśmy ten pomysł, ale może teraz należałoby do niego wrócić. Co sądzisz na ten temat?

Clay zmarszczył czoło.

– Nie przypuszczam, żeby przeszłość Frankie kryła jakieś tajemnice.

– Źle mnie zrozumiałeś – powiedział Borden. – Nie chodzi mi o tajemnice. Miałem na myśli dzieciństwo Franceski.

– Wychowywała się w domu dziecka – przypomniał Clay.

– Wiem. Może to bezpodstawne założenie, ale kto wie, czy nie tam właśnie tkwi klucz do zagadki.

Clay westchnął.

– Jestem gotów spróbować wszystkiego, byle wyjaśnić wreszcie sprawę.

Borden pospiesznie zapisał coś w notesie.

– Ten dom dziecka znajdował się bodaj w Albuquerque, nie myłę się?

– Nie mylisz się.

– Wszystkie te sierocińce, domy dziecka i temu podobne są bardzo powściągliwe, jeśli idzie o udzielanie informacji na temat pensjonariuszy. Pewne rzeczy będę mógł sprawdzić bez problemu, ale moim zdaniem najlepiej zrobilibyście, gdybyście sami pojechali z wizytą do Albuquerque. Spróbujcie pogadać z ludźmi, którzy tam pracują. Popytajcie, z kim się przyjaźniła, jak zachowywała, dlaczego nikt jej nie adoptował. Nic nie ryzykujecie, najwyżej okaże się, że zafundowaliście sobie wycieczkę do Nowego Meksyku. Ale kto wie, może Frankie coś sobie przypomni, odwiedzając stare kąty?

Clay zerknął na wiszący na ścianie kalendarz. Jeśli ojciec zgodziłby się zastąpić go przez kilka dni na budowie, mogliby pojechać do Albuquerque.

– Dobry pomysł – powiedział w końcu. – Porozmawiam o tym z Frankie dziś wieczorem.

– Ja tymczasem zajmę się sprawą od swojej strony. Wspólnymi siłami może uda nam się do czegoś dojść.

– Dzięki, Haroldzie. Jestem ci bardzo wdzięczny, że zgodziłeś się przyjąć zlecenie.

– Mam wobec ciebie zobowiązania, chłopcze. Przez rok szukałem Frankie i nic nie działałem. Tak czy owak, bardzo się cieszę, że wróciła. Powiedz, twoje numery telefonów nie zmieniły się w tym czasie?

– Nie, nie zmieniły się, ale zapisz sobie jeszcze numer mojej komórki.

– To wszystko na razie. Będziemy w kontakcie. Do roboty, chłopcze.

Clay odłożył słuchawkę i, po raz pierwszy od powrotu Frankie trochę uspokojony, ruszył ku drzwiom, gdy rozległ się dzwonek telefonu.

Dzwonił Dawson.

– Właśnie myślałem, że powinienem skontaktować się z panem, detektywie.

– Wiem – przytaknął Dawson. – Pańska żona mówiła, że ma pan do mnie zadzwonić.

– Rozmawiał pan z Frankie?

– Tak. Musiałem to zrobić, zanim szef wyda pozwolenie.

– Pozwolenie? Jakie pozwolenie? – zaniepokoił się Clay.

Dawson dopiero teraz pomyślał, że być może niepotrzebnie się wygadał, ale

było już za późno.

– Pozwolenie na noszenie broni – wyjaśnił Clayowi.

– Ach, o to chodzi. Zupełnie o tym zapomniałem. I co, wydacie to pozwolenie?

– Myślę, że tak. Szef powinien się w końcu zgodzić.

– I dlatego pan do mnie dzwoni? – zdziwił się Clay.

– Nie. Dzwonię dlatego, że kilka dni temu wydarzyło się coś, o czym powinien pan wiedzieć. Ktoś zadzwonił do mnie do biura, przedstawiając się jako oficer policji z Los Angeles. Mówił, że sprawdza wszystkie informacje o zaginionych, bo musi zidentyfikować zwłoki jakiejś młodej kobiety.

Clay poczuł dławiący ucisk w gardle na wspomnienie swoich podróży do rozrzuconych po całym kraju kostnic. Coś, czego na szczęście nie musiał już robić.

– Co to ma wspólnego z moją żoną?

Dawson wziął głęboki oddech.

– Ten człowiek pytał o Francescę LeGrand. Twierdził, że rysopis się zgadza, a ponieważ ja prowadziłem jej sprawę, zgłosił się do mnie po dodatkowe informacje. Powiedziałem mu, że musi chodzić o kogoś innego, bo Francesca LeGrand odnalazła się cała i zdrowa.

Clay słuchał, nie bardzo rozumiejąc, o co właściwie chodzi.

– Wymieniliśmy kilka zdawkowych uprzejmości, już miałem odłożyć słuchawkę, ale facet wyskoczył z pytaniem, kiedy pani LeGrand się odnalazła. Powiedziałem kiedy i dopiero po skończeniu rozmowy zacząłem się zastanawiać, po co mu była ta wiadomość. Skoro pańska żona się odnalazła, wiadomo, że nie może leżeć w kostnicy w Los Angeles.

– No tak – przytaknął Clay. – Nadal jednak nie rozumiem, o co chodzi.

Nagle zeszytniał, jakaś klapka otworzyła mu się w głowie. Zanim Dawson odpowiedział, Clay już wiedział, co usłyszy.

– Ja też nie. Jestem podejrzliwy z natury, coś mi nie dawało spokoju, więc zaraz oddzwoniłem do departamentu policji w Los Angeles i poprosiłem o połączenie z tym oficerem, z którym przed chwilą rozmawiałem. Dowiedziałem się, że nikt taki u nich nie pracuje.

Clay poczuł, że nogi się pod nim uginają.

– Jak pan to wytłumaczy?

– Ktoś, komu bardzo zależało na informacjach na temat Franceski LeGrand, podszył się pod oficera policji. Zważywszy na sytuację, uważam, że musimy mieć się na baczności.

– Chryste – szepnął Clay. – Frankie miała rację. Kilka razy mówiła mi, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Tego nie potrafię powiedzieć – zastrzegł się Dawson. – Uznałem jednak, że powinien pan wiedzieć, co się wydarzyło. Proszę uważać. My ze swojej strony prowadzimy dochodzenie, ale szczerze mówiąc, nie bardzo jest czego dochodzić. Sprawdziliśmy rejestry rozmów telefonicznych i wiemy, że ten człowiek dzwonił z automatu w Las Vegas, nic poza tym.

– Powiedział pan Francesce? – zapytał Clay niespokojnie.

– Nie. Pańska żona wystarczająco dużo już przeszła. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli panu o wszystkim powiem, a pan sam zdecyduje, ile jej z tego przekazać.

Clay miał ochotę zabrać Frankie i uciekać, gdzie oczy poniosą, ale wiedział, że ucieczka niczego by nie rozwiązała.

– Niech pan posłucha, detektywie. Chcę wybrać się z Francescą do Albuquerque, odwiedzić dom dziecka, w którym się wychowywała. Liczę na to, że może tam znajdziemy klucz do rozwiązania zagadki.

Dawson zapisał coś w notesie.

– Niezły pomysł – przyznał. – Zważywszy, że nie dysponujemy żadnym tropem. Kiedy zamierzacie państwo jechać?

– Jak najszybciej – powiedział Clay. – Odezwę się do pana, jeśli będę miał jakieś nowe informacje.

– Niech pan do mnie dzwoni.

– Na pewno – obiecał Clay. – I dziękuję, że powiedział mi pan o tym telefonie.

Skończywszy rozmowę z Dawsonem, Clay natychmiast zadzwonił do ojca. Godzinę później Winston LeGrand był już na budowie, a Clay w drodze do domu.

Pharaoh Carn powoli wracał do zdrowia. Fizycznie czuł się coraz lepiej, coraz więcej czasu spędzał za biurkiem w gabinecie, pilnując interesów swojej organizacji.

Zdawałoby się, że powinien być zadowolony, ale od chwili zniknięcia Franceski nie mógł zaznać spokoju. Była mu potrzebna, była jego maskotką, przy niej mógł być pewien powodzenia.

Doskonale pamiętał dzień, kiedy po wielu latach ponownie pojawiła się w jego życiu.

Wracał właśnie z Seattle do Los Angeles, gdzie wyrównywał drobne rachunki organizacji. Wtedy jeszcze nie stał na jej czele i wykonywał rozmaite zlecenia.

Gdy wsiadał do samolotu powrotnego w Seattle, jego rodzima „firma” miała o jednego konkurenta mniej, a ówczesny szef Carna, Pepe Allejandro, był bogatszy o kilka milionów dolarów. Tak właśnie wyglądało wyrównywanie rachunków w jego świecie.

Podczas długiego, nudnego lotu w pewnym momencie wziął do ręki gazetę. Zerknął na banalne zdjęcie jakiegoś fotografa z Denver – roześmiana twarz kobiety w deszczu. Już miał przetrzucić stronę, kiedy ją rozpoznał i cały świat nagle zawirował.

Francesca. Jego Francesca.

Zapomniawszy, gdzie się znajduje, miał ochotę zerwać się z fotela, biec jej na spotkanie.

Przez całą resztę lotu nie przestawał o niej myśleć.

Stracił ją z oczu, kiedy noga mu się powinęła i dostał pięć lat odsiadki. Zanim wyszedł z więzienia, Francesca zdążyła skończyć osiemnaście lat i opuścić Kitteridge House. Dokąd się przeniosła, gdzie zamieszkała, tego nikt nie potrafił mu powiedzieć.

Dotąd pamiętał, jaka panika go wtedy ogarnęła na myśl, że dziewczyna na zawsze zniknęła z jego życia.

Zanim samolot wylądował w Los Angeles, wiedział już, że musi ją odszukać. Chciał natychmiast przystąpić do realizacji swojego planu, ale najpierw powinien zobaczyć się z szefem. Pepe Allejandro czekał na raport z „podróży służbowej”.

Pepe był tak zadowolony z rezultatu wizyty Carna w Seattle, że awansował go w organizacyjnej hierarchii na bossa samodzielnego okręgu. Co prawda dał mu nędzną, targaną wojnami gangów dzielnicę w Los Angeles, ale Pharaohowi ani trochę to nie przeszkadzało. Wreszcie mógł się wykazać, dowieść, co potrafi.

Dla przesądnego Carna liczyło się jeszcze coś: nagroda spada na niego w chwili, gdy odnalazł Francescę. Tak, ta dziewczyna zdecydowanie przynosiła mu szczęście. Musiał ją mieć. Od tego zależał jego sukces. Całe jego życie.

Pharaoh był zabobonny, ale był też domorosłym filozofem i wiedział, że najtrudniej zdobyć to, co najcenniejsze.

I rzeczywiście. Wszystko wyglądało inaczej, niż sobie wymarzył.

Nie spodziewał się, że będzie stawiała taki gwałtowny opór. Nie przewidywał, że będzie musiał trzymać ją pod kluczem.

Mijały dni, miesiące, minął rok, a ona ciągle nie chciała się pogodzić z nową sytuacją, ciągle odwracała się plecami do Carna, domagała się, żeby ją uwolnił, pozwolił wrócić do męża. Jak na ironię, pomogły jej w końcu siły natury. Te same siły natury, które za sprawą trzęsienia ziemi obróciły wniwecz starannie obmyślany plan Pharaoha.

Ocknął się z rozmyślań i spojrzął na szare, zachmurzone niebo za oknem.

Coś musiało się skomplikować. Czuł to przez skórę. Stykowski dawno już powinien się z nim skontaktować. Od dnia kataklizmu w Kalifornii wszystko układało się na opak. Zginęło dwóch najlepszych ludzi Allejandra, kilku zostało poważnie rannych, po jednym ślad zaginął. Struktura całej organizacji zaczynała się chwiać. Zaufani Carna mieli ważniejsze sprawy na głowie, dlatego, chcąc nie chcąc, do Denver musiał posłać takiego patałacha jak Marvin Stykowski.

Pharaoh zaklął pod nosem. Błędem nie było to, że w dniu trzęsienia ziemi wypuścił Francescę spod klucza, ale że nie zadbał wcześniej, by usunąć jej męża spośród żywych.

Musiał mieć Francescę. Dzięki niej zgromadził ogromny majątek, który mógł równać się z fortuną samego Allejandra.

Czuł się zmęczony. Zmęczony myśleniem, kierowaniem organizacją. Chciał

odzyskać Francescę i wreszcie odpocząć.

Clay odetchnął z ulgą, kiedy samolot wreszcie wystartował z lotniska w Denver. Spojrzał na Francescę, na jej dłonie zaciśnięte kurczowo na poręczach fotela.

– Już w porządku – powiedział uspokajająco. – Jesteśmy w powietrzu.

– Wiem, nie pierwszy raz lecę samolotem – szepnęła.

Clay nieznacznie uniósł brwi.

– Myślałem, że jeszcze nigdy...

Nagle zrozumiał. Coś sobie przypominała.

– Powiedz mi – poprosił.

– Niedobrze mi. – To wszystko, co usłyszał w odpowiedzi.

Rozejrzał się niespokojnie po kabinie. Jeszcze nie osiągnęli pułapu lotu, jeszcze świeciły się lampki nakazujące pozostać w pasach.

– Poczekaj chwilę. Wezwę stewardesę.

– Nie. – Frankie chwyciła go za rękę, zanim zdążył nacisnąć dzwonek. – To nie o to chodzi.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy.

– A o co?

– Niedobrze mi ze strachu. Kiedy zabierał mnie z Denver, też lecieliśmy samolotem. – Przymknęła oczy. – To był mały samolot. Widziałam pilota... instrumenty nawigacyjne... mnóstwo migających światełek.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś? Co widzisz w dole? Zieleń? Lasy?

– Góry! Widzę góry... i ogromne miasto.

Clay poklepał ją po dłoni.

– Świetnie, Frankie. Powoli zaczyna wracać ci pamięć.

Radość Franceski nie trwała długo.

– Co z tego, skoro nie wiemy, gdzie ten przeklęty samolot wylądował.

– Powoli. Wszystko w swoim czasie – pocieszył ją Clay. – Teraz myśl wyłącznie o Kitteridge House, o przyjaciółach z tamtych czasów. Musiałaś mieć tam jakichś przyjaciół.

– Masz rację.

– Zawsze mam rację – przytaknął Clay z szerokim uśmiechem.

Zaczęli żartować, przekomarzać się. Napięcie pierwszych minut po starcie minęło, Frankie, w końcu odprężona, wkrótce zapadła w drzemkę.

Clay nie mógł usnąć. Cały czas myślał o tym, że w miarę jak żonie będzie wracała pamięć, ich i życie nieuchronnie będzie komplikowało się bardziej i bardziej.

W Albuquerque przywitało ich wspaniałe słońce, w powietrzu czuło się jednak lekki chłód. Frankie szczerzej owinięła się kurtką i szybko wsiadła do samochodu, który przed chwilą wynajęli.

– Ruszamy, kochanie – oznajmił Clay, sadowiąc się za kierownicą. – Myślę, że najpierw powinniśmy jechać do motelu. Stamtąd zadzwonimy do Kitteridge House, umówimy się z dyrektorem, a potem poszukamy jakiejś dobrej restauracji. Co o tym myślisz?

– Jestem za. Umieram z głodu.

Kilkanaście minut później Clay wnosił ich bagaże do pokoju. Francesca otworzyła książkę telefoniczną, odszukała numer sierocińca.

– Clay?

Zatrzymał się w drzwiach łazienki i spojrzał na żonę pytająco.

– Tak, kochanie.

– Dziwnie się czuję.

– O co chodzi?

– Mam takie wrażenie, jakbym się podszywała pod kogoś innego. Jak sądzisz, co mam powiedzieć dyrektorowi? Jeśli zacznę mu tłumaczyć, co mnie tu sprowadza, gotów uznać mnie za wariatkę.

– Nie, wcale tak nie myślę. – Clay usiadł na łóżku obok żony. – Spójrz na to z innej strony. Ci ludzie, z kimkolwiek będziesz rozmawiała, poświęcają życie, żeby pomagać osieroconym dzieciom, prawda?

Skinęła głową.

– To, że jesteś dorosła, nie znaczy, że nie mieliby pomóc także tobie. Wychowałaś się przecież w tym domu, jesteś jego częścią. Na pewno spotkasz tam kogoś, kto cię pamięta.

Nagle w uszach zabrzmiał jej echem śmiech chłopca. Jakiegoś chłopca. Wzdrygnęła się, po jej twarzy przemknął cień.

– Co się stało, kochanie? – zapytał Clay, biorąc ją w ramiona.

Przesunęła po twarzy drżącą dłonią.

– Nie wiem. Znowu jakieś mgliste wspomnienie. Pojawiło się i umknęło. Nie umiem ci powiedzieć, co to było. – Westchnęła. – Iluzje... same iluzje.

– Chcesz, żebym to ja zadzwonił? – zapytał Clay.

Frankie zastanawiała się przez chwilę, po czym wyprostowała plecy. Podjęła decyzję.

– Nie, ja zadzwonię, ale nie odchodź daleko, dobrze?

– Jestem z tobą, Francesco. Jestem przez cały czas.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy wiele, wiele lat temu pierwszy raz mijala bramę Kitteridge House, była tak mała, że nie sięgała nosem szyby samochodu. Nie mogła widzieć nagich gałęzi drzew wyciągających się ku niebu niby wzniesione ramiona. Dziś już nie pamiętała, jak bardzo była wtedy wystraszona. Nagle została pozbawiona wszystkiego, co składało się dotąd na jej życie, co stanowiło o jej tożsamości: nie miała już rodziców, domu rodzinnego, nawet swoich zabawek. Pozwolono jej tylko zabrać ubrania. I stary kocyk.

Westchnęła.

O ile pamięć jej nie zawodziła, wkrótce straciła nawet i ten kocyk. Pewnego dnia został zabrany do prania, skąd już do niej nie wrócił. Nigdy nie dowiedziała się, czy jej nowi opiekunowie chcieli w ten sposób pomóc jej rozstać się z bezpowrotnie utraconą przeszłością, czy też kocyk rzeczywiście zaginął.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Clay, przerywając strumień jej rozmyślań.

Frankie skinęła głową, ujęta tym, jak Clay troszczy się o nią.

– Wszystko w porządku – zapewniła męża. – Nagle opadły mnie wspomnienia.

Próbował sobie przypomnieć, jaki sam był w wieku czterech lat i jakby się czuł na miejscu Frankie. Serce mu się ścisnęło na myśl o małej dziewczynce, która nagle dowiaduje się, że została sierotą. To musiało być dla niej okrutne doświadczenie.

Dziwne – rozmyślał. Pierwszy raz Frankie pojawiła się w Kitteridge House, szukając tu domu, schronienia, opieki. Teraz przyjechała w poszukiwaniu klucza, który pomógłby rozwiązać zagadkę utraconych dwóch lat życia. I wtedy, i teraz sprowadzały ją tu odmienne powody, ale trauma związana z nimi pozostawała podobna.

– Ogromny zespół budynków – mruknął Clay, w którym obudził się budowlaniec.

– Ogromny i stary – powiedziała Frankie, w zamyśleniu, rozglądając się po parku otaczającym sierociniec.

Kitteridge House został założony przez Gladys Kitteridge w 1922 roku. Początkowo przeznaczony wyłącznie dla sierot, z czasem zaczął przyjmować także dzieci porzucone przez rodziców, pozbawione domu i opieki małe istoty, których nikt nie chciał.

– Dawniej wydawał mi się jeszcze większy – dodała.

Clay uśmiechnął się.

– To dlatego, że twój świat jest teraz większy, kochanie.

Frankie położyła mu rękę na udzie, szczęśliwa, że mąż jest z nią, że ją wspiera. Obecność Clay a dodawała jej sił i napawała otuchą.

– Ty jesteś teraz moim światem – powiedziała ciepło.

I obyś ty zawsze była w moim świecie, nigdy już z niego nie zniknęła – dodał Clay w duchu.

Zatrzymał samochód przed głównym wejściem, wyłączył silnik, odwrócił się do Franceski i puścił do niej oko.

– Kocham cię, ale o tym porozmawiamy później, kiedy wrócimy do motelu – obiecał z łobuzerskim uśmiechem.

– Ho, ho. Brzmi wspaniale. Trzymam cię za słowo, ale najpierw załatwmy, co mamy do załatwienia.

– Nadal się boisz?

Frankie spojrzała przez szybę na grupkę dzieci przechodzących z jednego skrzydła budynku do drugiego, potem zerknęła na zegarek. O tej porze w sobotę maluchy zwykle miały gimnastykę.

– Nie, nie boję się – odpowiedziała po chwili. – Nie boję się ani tego miejsca, ani ludzi, których mamy spotkać. Do szału doprowadza mnie tylko, że tylu rzeczy nie wiem.

Clay otworzył drzwiczki od strony pasażera i podał żonie rękę.

– Chodź, kochanie. Wspólnie zabijemy tego smoka.

Kiedy wysiadła z samochodu, uderzył ją powiew wiatru. Poczowała chłodne macki pełzące od szyi w dół po plecach i zadrzała.

– Zimno ci?

– Trochę.

– To biegnijmy! – zawołał Clay i pociągnął Frankie za rękę.

Stanęli przed głównym wejściem roześmiani, zziajani, radośni. Zły nastrój przeminął. Ciągłe uśmiechnięty, Clay z rozmachem otworzył drzwi i omal nie wpadł na wysoką, siwowłosą panią, która stała tuż za progiem.

– O, przepraszam – powiedział szybko.

Starsza pani odpowiedziała uśmiechem i spojrzała na Frankie.

– Francesca Romano – ucieszyła się. – To musisz być ty.

– Pani Bell! – zawołała Frankie, serdecznie ściskając starszą panią.

Clay odetchnął. Może jednak wizyta w Kitteridge i spotkanie Frankie z przeszłością nie będą tak traumatyczne, jak się obawiał.

Addie Bell zerknęła na Claya.

– A to zapewne twój mąż?

Frankie uśmiechnęła się.

– Tak, proszę pani, to mój mąż, Clay LeGrand. Clay, to pani Bell, dyrektorka Kitteridge House.

Addie wyciągnęła rękę na powitanie. Clay zrobił na niej wrażenie uczciwego, sympatycznego człowieka i od pierwszej chwili przypadł jej do serca. Musi być porządnym człowiekiem, pomyślała z aprobatą.

– Mam na imię Adeline, ale możesz mówić mi Addie – oznajmiła i ponownie zwróciła się do Frankie: – Kiedy sekretarka powiedziała mi, że dzwoniła Francesca LeGrand z prośbą o spotkanie, coś od razu powiedziało mi, że to musisz być ty. Gdzie mieszkacie?

– W Denver – powiedziała Frankie.

Addie skinęła głową.

– Słyszałam, że to ładne miasto, ale nigdy tam nie byłam. Co cię sprowadza do Albuquerque, kochanie? Przyjechaliście w interesach czy dla przyjemności?

W obecności Addie Bell Frankie zawsze czuła się bezpiecznie. Jak daleko sięgała pamięcią, dyrektorka Kitteridge nigdy jej nie zawiodła. Zniknęło

zażenowanie, które czuła wcześniej. Teraz myślała tylko o tym, żeby podzielić się z kimś swoją historią, zrzucić wreszcie ciężar z serca. Przygryzła wargę, łyzy zakręciły się jej w oczach.

– Nie wiem, jak określić to, co się nam przydarzyło, ale mamy poważne kłopoty – zaczęła.

Uśmiech znikł z twarzy Addie.

– Chodźmy do mojego biura, tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać, ale zanim zajmiemy się waszymi kłopotami, musisz opowiedzieć mi, dzień po dniu, co się z tobą działo od chwili, kiedy opuściłaś mury Kitteridge. – Spojrzała na Claya i mrugnęła do niego. – No, może nie aż tak dokładnie, ale żądam wyczerpującej relacji.

Pani Bell ujęła Francescę za rękę, jakby ta ciągle jeszcze była jej podopieczną, i cała trójka ruszyła w stronę gabinetu dyrektorki. Clay szedł z tyłu, nie spuszczać oka z wysokiej starszej pani, która cały czas nachylała się ku Francesce, by nie uronić ani słowa z jej opowieści. Przez chwilę szukał w głowie określenia na to, co widział. W końcu znalazł właściwe słowo.

Zaufanie.

Frankie ufała tej kobiecie, a nie dałoby się tego powiedzieć o zbyt wielu ludziach, którzy otaczali jego żonę. Teraz już miał pewność, że dobrze uczynił, przywożąc Frankie tutaj.

Najłagodniej mówiąc, Addie była oszołomiona tym, co usłyszała. A jednak widziała przed sobą śmiertelnie wystraszoną kobietę: patrząc na Frankie, nie mogła nie dać wiary jej opowieści.

– Mój Boże. Pomyśleć, że coś takiego mogło ci się przydarzyć – westchnęła, kiedy Francesca skończyła swoją relację.

– A jednak się przydarzyło – powiedziała Frankie.

– Dwa lata... A ty nadal nie wiesz, co się z tobą działo przez cały ten czas?...

Frankie spuściła głowę, zwiesiła ramiona. Clay uznał, że teraz on powinien włączyć się do rozmowy.

– Niestety. Jedyne, co Frankie sobie przypomina to to, że przeżyła trzęsienie ziemi i że wtedy właśnie uciekła z miejsca, w którym była więziona.

Addie aż zachłysnęła się z wrażenia.

– Toż przecież niedawno było trzęsienie ziemi w południowej Kalifornii.

– Owszem – przytaknął Clay

Addie nachyliła się, spojrzała Frankie głęboko w oczy.

– Naprawdę jesteś przekonana, że więziono cię wbrew twojej woli?

Frankie zerknęła na Claya, szukając u niego wsparcia, po czym zwróciła się do Addie.

– Tak. Nigdy, w żadnych okolicznościach nie opuściłabym Claya z własnej woli. On jest dla mnie wszystkim, jest całym moim życiem. – Westchnęła ciężko. – Jesteśmy kompletnie zagubieni. W sprawę zaangażowała się policja, ale dla nich najważniejsze było dowiedzieć, że Clay mnie zamordował i zakopał ciało w piwnicy. Prywatny detektyw, którego wynajął mój mąż, przez rok usiłował mnie znaleźć, bez skutku. Teraz jest w Kalifornii i próbuje sprawdzić fakty, które pamiętam.

– Natrafił na jakiś ślad?

Frankie pokręciła głową.

– Nie. Ten, kto mnie porwał – dodała – na pewno nie zrobił tego dla pieniędzy. Nigdy nie zażądał okupu.

Wahała się przez chwilę, wiedząc, że to, co powie, będzie musiało zboleć Claya, miała jednak świadomość, że jest to coś, nad czym musiał się zastanawiać.

– Kiedy wróciłam, wszyscy myśleli, że biorę narkotyki. Miałam na rękach ślady wkłuć po igle, ale potem okazało się, że to były tylko środki nasenne.

Pozostawało jeszcze powiedzieć to, czego nie dało się ująć delikatnie. Musiała mówić wprost, chociaż wiedziała, że zabrzmi to okropnie. Wzięła głęboki oddech.

– Nie sędzę, żeby ktoś znęcał się nade mną fizycznie. Nie miałam żadnych urazów, nie licząc tych po wypadku. Niestety, nie wiem, czy nie byłam wykorzystywana seksualnie. Nic nie pamiętam, zupełnie nic.

Addie słuchała Frankie z przerażeniem narastającym z każdym słowem.

– A jednak wróciłaś do domu.

Frankie pokręciła głową.

– Tak, wróciłam, ale nie dlatego, że zostałam wypuszczona. Myślę, że uciekłam. A skoro tak, to ciągle wisi nade mną niebezpieczeństwo. Ten ktoś znowu może próbować mnie porwać.

Addie Bell wstała zza biurka, podeszła do Franceski i objęła ją.

– Moja maleńka! Moja kochana Frankie. Nie wiem, co ci powiedzieć. – Tu spojrzała na Claya. – Tobie też musi być ciężko.

Clay wzruszył ramionami.

– Najważniejsze, że Frankie znowu jest ze mną. Reszta się nie liczy.

Addie ze zrozumieniem pokiwała głową, poklepała Frankie po ramieniu i stwierdziła rzeczowo:

– Rozumiem, że nie przyjechaliście tutaj tylko po to, żeby zwierzyć mi się ze swoich kłopotów. Jak mogę wam pomóc? Co chcielibyście wiedzieć?

Frankie spojrzała na Claya, szukając u niego pomocy.

Clay wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie.

– Kiedy dwa lata temu wynająłem prywatnego detektywa, który miał mi pomóc w odnalezieniu Frankie, szukaliśmy tropów, mogących nas do niej doprowadzić, przede wszystkim w teraźniejszości: wśród znajomych Franceski, wśród moich współpracowników. Braliśmy też pod uwagę, że padła ofiarą jakiegoś wariata, ale z czasem odrzuciliśmy tę hipotezę. Człowiek, który ją porwał, działał trzeźwo, z rozmysłem. Doskonale znał nasz rozkład dnia, wiedział, o której wychodzę do pracy, kiedy wracam do domu. Musiał też wiedzieć, że jeśli zadzwonię z firmy i Frankie nie odbierze telefonu, nie wpadnę w panikę, uznam, że albo pojechała do biblioteki, albo jest na zakupach.

– Detektyw nic nie znalazł?

– Żadnego tropu. – Clay podszedł do Frankie, otoczył ją ramieniem, po czym podjął na nowo swoją relację: – Ten sam detektyw, kiedy zadzwoniłem do niego wczoraj, powiedział, że tym razem powinniśmy spróbować szukać wyjaśnień w przeszłości. Dlatego przyjechaliśmy tutaj. Może ty, Addie, potrafisz wskazać nam jakiś ślad.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. – Pani Bell w zadumie potarła czoło. – Za pobytu Frankie nie zdarzyło się w Kitteridge House nic niezwykłego. Pojawiła się tutaj jako małe dziecko, nie miała żadnej, ale to żadnej rodziny. – Tu spojrzała na

Francescę. – Chyba nawet niewiele pamiętasz ze swojego wcześniejszego życia – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Frankie westchnęła z rezygnacją.

– To prawda – przytaknęła. – Rodziców właściwie nie pamiętam, nie zachowałam żadnych wspomnień z naszego domu.

– Dlaczego Frankie nie została adoptowana? – zapytał Clay.

Addie wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Kilka małżeństw chciało to zrobić, po czym nagle zmieniali zdanie i decydowali się na niemowlę.

– Pamiętam jedno z tych małżeństw – wtrąciła Frankie. – Mieli córeczkę, która od pierwszej chwili mnie znienawidziła. Po kilku dniach musieli odwieźć mnie z powrotem do Kitteridge.

– A my ucieszyliśmy się, że znowu jesteś z nami – powiedziała Addie i spojrzała na Claya. – Francesca była kochanym dzieckiem. Wszyscy za nią przepadali. – Addie skrzywiła się nagle. – Nawet ten dziwny chłopak... W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywał. Mniejsza z tym. Otóż przed pojawieniem się Frankie był nie do wytrzymania. A potem... pod wpływem Franceski zmienił się zupełnie.

Frankie miała wrażenie, że coś zaczyna sobie przypominać. Zamarła, szukając w pamięci jakichś obrazów z dzieciństwa.

Zaniepokojony jej milczeniem, Clay nachylił się do żony, dotknął jej ramienia.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – zapytał z troską w głosie.

Francesca drgnęła gwałtownie, jak człowiek obudzony ze snu.

– Przepraszam, mówiłeś coś?

Clay zmarszczył czoło.

– Pani Bell opowiadała o chłopcu, z którym się przyjaźniłaś. Pamiętasz go?

– Nie, nie mogę go sobie przypomnieć.

Addie Bell popatrzyła na Frankie z takim zdumieniem, jakby jej wychowanicy nagle wyrosły rogi.

– Nie mówisz chyba poważnie, moja droga?

Frankie pokręciła głową.

– Nie pamiętam żadnego chłopca, z którym się przyjaźniłam.

Addie Bell była coraz bardziej zdziwiona.

– Trudno mi to pojąć. Bardzo nas wszystkich martwiła wasza zażyłość. On miał zupełnego kręcka na twoim punkcie. To nie było normalne. Bałam się o ciebie, o twoje bezpieczeństwo. – Addie nagle zbladła, dłonie zaczęły jej drżeć, nerwowo poprawiła kołnierzyk bluzki. – Mój Boże...

– Co?! – zawołała Frankie.

– Coś sobie właśnie przypomniałam. Nie... – zawahała się. – To bez znaczenia... Poza tym... minęło tyle lat. Nie – powtórzyła. – Na pewno wyolbrzymiam.

– Proszę powiedzieć, sami ocenimy, czy to ważne, czy nie – powiedziała Frankie.

– Byłaś ślicznym dzieckiem, a z wiekiem twoja uroda stała się wręcz olśniewająca. Co widać, bo wyrosłaś na piękną kobietę.

Frankie oblała się rumieńcem.

– Ten chłopiec... – ciągnęła pani Bell. – Mój Boże, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, jak on się nazywał... Otóż ten chłopiec, kiedy już skończył osiemnaście lat i musiał opuścić Kitterridge, zatrudnił się w naszym domu jako dozorca. Strasznie mu zależało na tej pracy, a my dopiero po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że chciał być blisko Franceski.

– A ja? Jak się zachowywałam? – zapytała Frankie.

– Początkowo traktowałaś go zupełnie normalnie, w końcu znałaś go od dziecka, ale w miarę upływu lat twój stosunek do niego się zmienił. Mam wrażenie, że zaczęłaś się go bać. Tak to wyglądało, aż pewnego dnia nie przyszedł do pracy. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że został aresztowany, a potem skazany. Na kilka lat trafił do więzienia.

– To znaczy, że nigdy więcej go już nie widziałam? – zapytała Frankie.

– Tego nie potrafię powiedzieć, kochanie – odparła Addie. – W każdym razie po wyjściu z więzienia pojawił się tutaj, szukał cię. Wpadł we wściekłość, kiedy

usłyszał, że już u nas nie mieszka. Omal nie zdemolował mi gabinetu, kłął, wyzywał mnie od najgorszych, krzyczał, że do niego należysz.

Francescę przebiegł dreszcz. Clay przez cały czas robił notatki; miał przekazać je potem Haroldowi Bordenowi.

– Jak on się nazywał, pani Bell? Może spróbuje pani sobie przypomnieć jego nazwisko – nalegał.

Addie podniosła się z fotela.

– Poszukam w naszych dokumentach. Pamiętam, że brzmiało bardzo dziwnie. – Otworzyła szufladę segregatora. – Popatrzmy. O ile mnie pamięć nie myli, odszedł z naszego domu w tym samym roku, kiedy mieliśmy pożar w sali gimnastycznej. Podejrzewaliśmy nawet, że to on podłożył ogień.

Minęło kilka długich minut.

– Mam! – zawołała wreszcie Addie.

– Tak... Jak on się nazywał? Wie już pani, jak się nazywał? – niecierpliwił się Clay.

– Dziwny chłopak o jeszcze dziwniejszym nazwisku. Tu macie jego zdjęcie. Ciemne włosy, oliwkowa cera. Nie wiemy dokładnie, skąd pochodził, ale najprawdopodobniej gdzieś z Bliskiego Wschodu. I to niezwykle imię, Pharaoh. Kojarzy się z Egiptem, ale kto to wie?

Frankie spojrzała na zdjęcie i ogarnęła ją panika tak straszna, że przez moment nie była w stanie oddychać. Pokój zawirował jej przed oczami, chciała chwycić Claya za rękę, ale jej dłoń trafiła w próżnię.

Gdzieś z bardzo daleka słyszała jego krzyk, Clay wołał ją, ale nie była w stanie mu odpowiedzieć. Bez czucia osunęła się z krzesła na podłogę.

Siedziała w szlafroku na łóżku w pokoju motelu i wpatrywała się w wiszącą na ścianie reprodukcję. Z łazienki wydobywała się para.

Clay nie wyszedł jeszcze spod prysznica.

Wcześniej rozmawiał z Bordenem, a teraz czekali na telefon od Dawsona.

Nawet jeśli jej prześladowcą miałyby okazać się dziwny chłopak z Kitteridge House, jakim sposobem odnalazł ją po tylu latach w Denver, jak trafił na jej ślad – zastanawiała się, nie znajdując odpowiedzi na nurtujące ją od kilku godzin pytania. Nie była przecież nikim znanym, jej nazwisko nie pojawiała się w gazetach.

Nagle poderwała głowę, usiadła prosto. Coś sobie przypomniała.

– Clay!

Nie słyszał jej wołania przez szum wody.

– Clay!

Wyjrzał z łazienki z namydloną głową, cały ociekający wodą.

– Co się stało?

– Moje zdjęcie.

– Jakie zdjęcie, kochanie?

– Spłucz najpierw szampon. – Kiedy Clay wrócił do pokoju owinięty ręcznikiem, podjęła na nowo: – To w deszczu, które było w gazetach. Pamiętasz?

– Owszem, pamiętam, ale nie wiem, do czego zmierzasz. Skąd nagle przypomniało ci się zdjęcie w deszczu?

Francesca wstała z łóżka i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem.

– Załóżmy, że ten Pharaoh z Kitteridge i mój porywacz to jedna i ta sama osoba.

– Tak? – Clay nie nadążał za myślami żony.

– Całe popołudnie usiłuję coś z tego zrozumieć. Powiedzmy, że facet rzeczywiście miał obsesję na moim punkcie. Chciał mnie odszukać, nie wiedział jak. Sama nie wiem... To tylko przypuszczenia, może zbyt dalekosiężne, ale to zdjęcie w deszczu pojawiło się w gazetach zaledwie na kilka tygodni przed moim zniknięciem.

Do Claya wreszcie dotarło, co Frankie ma na myśli.

– Cholera...

– To tylko przypuszczenie – zastrzegła się Francesca.

– Bardzo trafne przypuszczenie. Trzeba natychmiast zadzwonić do Bordena i przekazać informację Dawsonowi, niech obaj wezmą pod uwagę możliwość, że to Pharaoh cię porwał, kiedy na twój ślad naprowadziło go przypadkiem zdjęcie w gazecie.

– Ostrożnie, do diabła – syknął Pharaoh do masażysty.

– Przykro mi, ale to konieczne, jeśli ma pan odzyskać pełną sprawność – odparł masażysta ze stoickim spokojem. – Proszę położyć się teraz na brzuchu – dodał.

Pharaoh już otwierał usta, żeby zaprotestować, kiedy do pokoju wszedł Needham z telefonem w dłoni.

– Do pana, szefie.

– Nie mam teraz czasu – warknął Carn.

– Niech pan jednak odbierze. To zamiejscowa, z Denver.

– Nareszcie – mruknął Pharaoh, biorąc słuchawkę.

– Tak, słucham.

– To ja, szefie.

Stykowski. Przypomniawszy sobie, że powinien złożyć meldunek.

– Gdzieś ty się, do cholery, podziewał? Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej?

– Pospiesz się, Stykowski – przynaglił go strażnik.

– Kto tam jest z tobą?! – zawołał Pharaoh. – Mówiłem ci, że to delikatna robota i nikt o niej nie powinien wiedzieć.

– Ja... miałem małe kłopoty – bąknął Stykowski.

Pharaoh dał znać wzrokiem Duke'owi, żeby wyprowadził z pokoju masażystę.

– Jakże znów kłopoty? – zapytał, kiedy został sam.

– Przyskrzynili mnie, szefie. Siedzę w pudle.

– Za co?

To było dla Marvinina najgorsze: przyznać się za co trafił do więzienia.

– Za posiadanie, szefie. Przejechałem na czerwonym świetle, wtedy gliny mnie zatrzymały, no i znaleźli w wozie działkę materiału. Siedzę. Chciałbym wyjść za kaucją.

Pharaohowi krew uderzyła do głowy.

– Kiedy rozprawa? – zapytał, nie wdając się w zbędne dywagacje.

– Za kilka godzin.

– Będziesz miał adwokata. Wpłaci kaucję. Jak tylko wyjdiesz, pakuj dupę w troki i pierwszym samolotem masz wracać do Las Vegas, zrozumiałeś?

– Tak, szefie – przytaknął Marvin potulnie.

– I żadnych więcej numerów. Nie lubię, kiedy moi ludzie popełniają błędy.

Marvin zbladł. Pogrożka w głosie Pharaoha była aż nadto czytelna.

– Będę najszybciej jak się da. Może pan na mnie liczyć, szefie.

– Przekonamy się – mruknął Pharaoh.

– Szefie... a z tą...

– Zamknij się, durniu. Nie jesteś sam – przypomniał mu Pharaoh.

Marvin zerknął na strażnika.

– Racja. Jak tylko wrócę, zaraz się do pana zgłoszę, szefie.

Kiedy Stykowski się rozłączył, Pharaoh cisnął telefon o ścianę, rozbijając go na drobne kawałki.

– Mam zawołać masażystę z powrotem? – zapytał Duke.

– Owszem, zawołaj. Okazuje się, że mogę polegać wyłącznie na samym sobie. Im szybciej stanę na nogi, tym lepiej.

Pharaoh od dłuższego czasu stał w oknie biblioteki, wyglądając Stykowskiego. Kiedy wreszcie zobaczył go wysiadającego z samochodu na podjeździe, podszedł do biurka i szybkim ruchem, otworzył szufladę.

– Wejść! – zawołał, usłyszawszy ciche pukanie.

Do pokoju wszedł Marvin Stykowski.

Pharaoh cofnął się o krok i wypalił, nie celując.

Na szczęście dla Duke'a, który wszedł tuż za Marvinem, był dobrym strzelcem. Kula dosięgła Stykowskiego, zanim ten zdążył pojąć, że szef wydał na niego wyrok. Trysnęła krew.

Duke zamarł. Bał się ruszyć, bał się oddychać. Od lat pracował dla Carna, ale jeszcze nigdy nie widział go tak rozwścieczonego. Dopiero po chwili, długiej jak cała wieczność, odważył się wyciągnąć chusteczkę i wytrzeć z twarzy krew Stykowskiego.

– Uprzątnij to łajno – mruknął Pharaoh, wrzucając pistolet na powrót do szuflady i zatrzasnął ją z hukiem.

Duke schował chustkę i podszedł do telefonu.

Po kilku minutach ciało nieszczęsnego Stykowskiego zniknęło.

Pharaoh znowu stał przy oknie, zapatrzony w światła nocnego Las Vegas, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

– To potężne miasto – rzucił w zamyśleniu.

– Tak, to potężne miasto – przytaknął skwapliwie Duke.

– Pospieszyłem się. Powinienem być najpierw go spytać, czego się dowiedział w Denver – Pharaoh podzielił się spóźnioną refleksją.

– Zapewne, skoro pan tak mówi – przytaknął Duke.

Pharaoh spojrzał na niego, jakby dopiero teraz zauważył jego obecność.

– Masz zupełnie zniszczone ubranie. Pójdiesz jutro do mojego krawca i zamówisz sobie nowy garnitur. Lubię, żeby moi ludzie byli porządnie ubrani.

Duke miał w nosie garnitur, był szczęśliwy, że uszedł z życiem, ale nie

zamierzał lekceważyć rozkazów szefa.

– Tak jest, proszę pana. Coś jeszcze?

Pharaoh zmarszczył czoło.

– Muszę wysłać do Denver kogoś zaufanego, kogo byś proponował?

Duke wzruszył ramionami.

– Nie wiem, panie Carn. Jest takie zamieszanie... Nie wiem, gdzie kto jest, nie wiem, kto przeżył trzęsienie ziemi, kto zginął.

Pharaoh westchnął.

– W tym właśnie problem. Wszystkiemu winne to cholerne trzęsienie ziemi. Ale jakoś sobie poradzimy. Spróbuj znaleźć Simona Lawa. Kiedyś już dla mnie pracował.

– Tak jest, proszę pana – odparł Duke. – Zaraz się tym zajmę.

Pharaoh machnął ręką i uśmiechnął się łaskawie.

– Wystarczy, jak zrobisz to jutro. Wyśpij się. Przyda ci się odpoczynek. Wszystkim nam przydałoby się trochę odpoczynku.

– Tak jest, proszę pana – przytaknął Duke po raz nie wiadomo który tego wieczoru.

Co jest gorsze – zastanawiał się, zdejmując w domu zbryzgany krwią garnitur – wiedzieć, że się za chwilę umrze, czy dostać kulkę w głowę, kiedy człowiek się tego najmniej spodziewa?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Frankie z uśmiechem patrzyła, jak Clay pałaszuje drugą już porcję zamówionej do pokoju pizzy, kiedy rozdzwonił się telefon. Clay odłożył szybko nie dojezony kawałek ciasta i sięgnął po słuchawkę, a Frankie chwyciła pilota i wyłączyła fonię w telewizorze.

– Słucham, LeGrand.

– Dostałem pańską wiadomość – zaczął Dawson bez zbędnych grzeczności.
– Co nowego?

– To Dawson – powiedział Clay bezgłośnie do Frankie i otworzył notes. Nie chciał niczego pominąć.

– Mnóstwo.

– Gdzie jesteście? – dopytywał się Dawson.

– Nadal w Albuquerque. Natrafiliśmy na coś, co może pana zainteresować.

– Słucham.

– Rozmawialiśmy z Adeline Bell, dyrektorką Kitteridge House, domu dziecka, w którym wychowywała się moja żona. Pani Bell twierdzi, że był tam chłopak, który miał obsesję na punkcie Frankie. Ponoć nie odstępował jej na krok aż do chwili, kiedy trafił do więzienia.

– Miał obsesję, powiada pan?

Clay zmarszczył czoło.

– To nie moje określenie, powtarzam, co powiedziała pani Bell. Dam panu jej numer telefonu. Proszę samemu z nią porozmawiać. Z jej relacji wynika, że to była dziwna przyjaźń, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Słucham, słucham. Więc chłopak trafił do więzienia. Za co?

– Tego nie wiem, ale kiedy wyszedł, Frankie zdążyła już opuścić Kitteridge House. Ponoć jak się o tym dowiedział, urządził piekło.

– Jak dawno temu to się działo?

– Frankie wyjechała z Albuquerque osiem lat temu, kiedy on wyszedł z więzienia, nie umiem powiedzieć. Wiemy tylko, że jej potem szukał.

– Dobrze, ale...

– Jest coś jeszcze – Clay nie dał dokończyć Dawsonowi. – Frankie nie pamiętała tego człowieka, co bardzo zdziwiło panią Bell, ale kiedy zobaczyła jego zdjęcie, zemdląca.

Dawson wyraźnie się ożywił na te słowa.

– Cholera. Rozpoznała w nim porywacza?

Clay zawahał się.

– Nie. Nadal nic sobie nie przypomina poza tym, że facet miał na piersi tatuaż w formie krzyża.

– Tak, wiem, mówił mi pan o tym. Egipski krzyż. Oczywiście sprawdzę ten trop. To brzmi obiecująco, ale proszę pamiętać o jednym: dopóki nie mamy dowodów materialnych, nie ma sprawy. – W głosie Dawsona słyszało się ostrożny sceptycyzm.

Clay bał się spojrzeć na Frankie. Bał się, że żona wyczyta z jego twarzy, że Dawson nie podziela ich nadziei. Po dzisiejszych burzliwych przejściach nie chciał jej przyczyniać rozczarowania.

– Owszem, zdajemy sobie z tego sprawę – skwitował krótko zastrzeżenia policjanta. – Będziemy jednak bardzo wdzięczni, jeśli spróbuje się pan czegoś dowiedzieć o tym człowieku. Facet jest notowany. Znalezienie go nie powinno nastęrczać kłopotów.

– Oczywiście. Jak się nazywa?

– Pharaoh Carn.

Dawson gwizdnął przez zęby.

– Chyba nie ten Pharaoh Carn.

– Pan go zna? – zdziwił się Clay.

Frankie natychmiast wyczuła, że coś się dzieje, nachyliła się do Clay a, zapominając o pizzy. Clay odsunął słuchawkę od ucha, tak by mogła słyszeć Dawsona.

– Osobiście go nie znam – mówi! Dawson – ale wiele o nim słyszałem. Trzeba będzie się upewnić, czy pański Carn i facet, o którym myślę, to jedna i ta sama osoba.

– A ten, o którym pan myśli, co to za osobistość?

– Nie nazwałbym go osobistością – prychnął Dawson. – Prędzej łajdakiem.

Frankie serce zabiło gwałtownie, w jej oczach, kiedy spojrzała na Claya, malowało się przerażenie.

– Co takiego zrobił? – dopytywał się Clay.

– Nic, co można by mu dowieść – wyjaśniał Dawson. – Ale skądinąd wiadomo, że to jeden z najbardziej zaufanych ludzi Pepe Allejandra.

Clay zacisnął kurczowo palce na słuchawce.

– Allejandro... Czy to ten kalifornijski gangster?

– Ten sam – przytaknął Dawson i zaraz dodał: – Chryste Panie, LeGrand, jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z tymi bandytami, możecie być w poważnym niebezpieczeństwie.

– Jeszcze jedno – ciągnął Clay, jakby nie słyszał ostrzeżenia Dawsona. – Kilka tygodni przed zniknięciem Frankie w gazetach pojawiło się jej zdjęcie, zrobione przez fotografa pracującego dla Associated Press. Ot taka tam fotka, roześmiana dziewczyna w deszczu, ale że była robiona dla AP, to pojawiła się w prasie w całym kraju. Być może Cara dzięki temu trafił na ślad Franceski.

– Dlaczego nigdy wcześniej nie wspomniał mi pan o tym zdjęciu? – zirytował się Dawson.

– Zupełnie o nim zapomniałem. Dopiero Frankie wpadła na myśl, że może istnieć związek między fotografią i porwaniem – tłumaczył Clay. – Kiedy może mieć pan dla nas jakieś informacje?

Nagle Frankie zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki. Clay nie wiedział, co robić – biec za nią czy dokończyć rozmowę.

– Nie wiem, ale zaraz zabieram się do roboty – obiecał Dawson. – Musimy sprawdzić, gdzie się wychował nasz Pharaoh Carn, gdzie mieszkał przez ostatnie dwa lata i, co najważniejsze, gdzie się podziewa w tej chwili.

– Dobrze. My jutro wracamy do Denver – powiedział Clay.

– Niech pan do mnie zadzwoni natychmiast po powrocie, będziemy musieli omówić kilka spraw. Pistolet, który kupiła pana żona, niewiele pomoże, jeśli rzeczywiście przeciwko sobie macie ludzi z kartelu Allejandra. To tak jakby strzelać fistaszkami do szarżującego słonia.

– Rozumiem – mruknął Clay, z każdą chwilą coraz bardziej zaniepokojony. Wstał z łóżka, rzucając zatroskane spojrzenie w stronę łazienki, gdzie zniknęła Frankie. – Dawson?...

– Tak?

– Niech się pan pospieszy... dobrze?

Odłożył słuchawkę, odstawił pudełko z nie dojedzoną pizzą na komodę i podszedł do drzwi łazienki.

Frankie siedziała na brzegu wanny z twarzą ukrytą w dłoniach, obok niej na podłodze leżał mokry ręcznik.

– Nic ci nie jest, kochanie?

Podniosła głowę.

– Myślałam, że zwymiotuję.

– Już lepiej? Przytaknęła bez słowa.

– Chodź, połóż się. – Clay objął żonę ramieniem, zaprowadził do łóżka i wyciągnął się obok niej. Drżała na całym ciele, ale kiedy Clay próbował ją przytulić, uspokoić, odpychała go gwałtownie.

– Nie szarp się ze mną, Frankie. Ja chcę ci tylko pomóc.

Twarz Franceski wykrzywił grymas bólu.

– Boże... Boże... Clay.

– Nie płacz, kochanie. Uspokój się, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Nic nie będzie dobrze. Słyszałeś przecież, co mówił Dawson. Ten człowiek jest niebezpieczny.

– Nie wiemy jeszcze, czy chłopiec, który kiedyś zwariował na twoim punkcie, to ten sam, który pracuje teraz dla Allejandra. A nawet jeśli tak, to wcale nie znaczy, że właśnie on cię porwał.

Frankie zaśmiała się gorzko.

– Daj spokój, Clay. Ilu Pharaohów Carnów może mieszkać w Stanach?

Trudno było zaprzeczyć, że niespotykane imię raczej wykluczało możliwość przypadkowej zbieżności. Ktokolwiek porwał Francescę i dla jakichkolwiek szalonych powodów więził ją przez dwa lata, dbał o nią i nie zrobił jej przez cały ten okres najmniejszej krzywdy. To też wskazywałoby na człowieka, o którym opowiadała Addie Bell.

– Chcę znać prawdę, ty nie? – zapytał Clay.

Frankie patrzyła na niego przez chwilę nieruchomo, w jej zażwawionych oczach błyskał gniew.

– Myślisz, że zniesiesz prawdę?

Odwróciła się plecami do Claya.

– A jeśli byłam... jeśli on?...

– Chcesz powiedzieć: jeśli sypiał z tobą, tak? – Teraz i w Clayu wezbrał gniew. – Na Boga, Francesco, myślisz, że nie zastanawiałem się nad tym setki razy od twojego powrotu?

– Nie wiem – szepnęła. – Nie rozmawialiśmy o tym i ja...

– Przypuszczasz, że mógłbym osądzać cię za coś, na co nie mogłaś mieć żadnego wpływu?

Frankie nie odpowiedziała.

– Spójrz na mnie, do cholery.

Podniosła wzrok.

– Gdyby ktoś cię napadł na ulicy i zgwałcił, to, według ciebie, kochałbym cię przez to mniej, niż cię kocham?

– Nie, ale...

– Tu nie ma żadnych ale. Cokolwiek się z tobą działo, działo się nie z twojego wyboru i nie z twojej woli. Teraz musimy zrobić wszystko, żeby sytuacja się nie powtórzyła.

– Boję się – szepnęła Francesca.

– Ja się też boję, ale dopóki jesteśmy razem, nie stanie się nam nic złego. Damy sobie radę. Jeśli będzie trzeba, ukryjemy się, poczekamy, aż wróci ci pamięć albo policja zbierze przeciwko temu człowiekowi wystarczające dowody, żeby go aresztować.

Francesca zasepiła się na myśl o ucieczce, ukrywaniu się. Nie była pewna, czy potrafiłaby to znieść.

– Nie wiem – wahała się. – A jeśli ani jedno, ani drugie się nie zdarzy?

– Zdarzy się, musi się zdarzyć, a tymczasem zaufaj mi i zdaj się na mnie.

Frankie przytuliła się do Claya, zarzuciła mu ręce na szyję, ukryła twarz na jego piersi.

– Kochaj się ze mną, Clay, spraw, by ta ohyda zniknęła, przepadła.

– Abrakadabra – szepnął Clay, zbliżając usta do jej warg.

Duke Needham z westchnieniem ulgi odłożył słuchawkę telefonu. Niełatwo było znaleźć ludzi, którzy nie tylko chcieliby, ale i potrafili wypełnić jego polecenia. Duke potrafił być jednak uparty. Nie chciał być posłańcem przynoszącym złe wieści, jeszcze mniejszą miał ochotę skończyć jak Stykowski, z dziurą w głowie. Ruszył do sali gimnastycznej z nadzieją, że to, co wskórał w czasie długich telefonicznych negocjacji, poprawi Pharaohowi nastrój.

A nastrój Pharaoh miał podły od samego rana. Zgrzytając zębami, szedł po mechanicznej bieżni i nie był w stanie uwolnić się od refleksji dotyczących ostatnich dwóch lat.

Odnalazłszy Francescę, wyobrażał sobie, że ich ponowne spotkanie rozegra się wśród łez wzruszenia i westchnień, niby scena z melodramatu. Frankie rzuci mu się na szyję, przysięgając dozągoną wierność.

Nic takiego się nie stało. Zamiast lać gorące łzy, na jego widok zaczęła krzyczeć i rzuciła się do ucieczki. Zatrzymał ją wtedy i przypomniał, jak to kiedyś ślubował zawsze otaczać ją opieką, na co usłyszał, że ona teraz należy do Claya i nic poza tym dla niej się nie liczy.

I wtedy Pharaoh popełnił błąd. Uderzył ją w twarz. Nie miało znaczenia, że później dziesiątki razy próbował ją przeproszać; za każdym razem na jego widok sztywniała, nigdy nie pozwoliła mu się dotknąć.

Nigdy nie okazała słabości, to była dla niej kwestia dumy, kwestia godności.

W miarę upływu czasu świadomość, że nie może pozwolić jej odejść, stała się dla Carna o wiele ważniejsza od faktu, że być może nigdy nie zdobędzie Frankie.

Z jej pojawieniem się Pharaohowi rzeczywiście zaczęło sprzyjać szczęście, w co zawsze zabobonnie wierzył. Niczym ptak w złotej klatce, miała wszystko, co mogą zapewnić władza i pieniądze. Wszystko z wyjątkiem jednej, najbardziej przez nią upragnionej rzeczy – wolności.

– Sukinsyn – zaklął Pharaoh, czując, że nogi nagle odmawiają mu posłuszeństwa.

Usiłował chwycić poręcz bieżni, ale nie zdążył, ręka trafiła w próżnię i w tym samym momencie leżał zdezorientowany, oszołomiony na ziemi.

Duke natychmiast przyskoczył do szefa i pomógł mu wstać.

– Daj mi krzesło – mruknął Pharaoh.

– Tak jest, proszę pana. – Zamiast podsunąć krzesło, objął Carna w pasie i doprowadził do skórzanej kanapy stojącej pod ścianą.

– Zawołać pielęgniarkę? – zapytał ostrożnie.

– Ani się waż, jeśli chcesz jeszcze trochę pożyć – warknął Pharaoh.

Duke zrobił się bładny jak płótno. Boss był co prawda bardzo osłabiony, ale nie mniej groźny niż zwykle.

– Przyniosę panu wody – zaofiarował się Duke i podszedł do barku.

Pharaoh z westchnieniem zamknął oczy. Słyszał odgłos wrzucanych do szklanki kostek lodu, nalewania wody.

– Proszę, szefie. – Duke wyciągnął w jego stronę szklankę z miną, jak się Pharaohowi wydawało, pełną współczucia.

Dobrze, że się pojawił. W samą porę, pomyślał Pharaoh, opróżniając szklankę jednym haustem. Jego ludzie mieli surowo zakazane przeszkadzać mu w czasie przeznaczonym wyłącznie na prywatne zajęcia.

– Co cię sprowadza? – mruknął.

– Dobre wiadomości, szefie. Znaleźliśmy ją.

Pharaoh gwałtownie podniósł głowę.

– Gdzie?

Duke wahał się przez krótką chwilę, ale wiedział, że musi powiedzieć prawdę.

– Tam gdzie pan przypuszczał, że należy jej szukać... W Denver.

Pharaoh nie powiedział słowa, ale miał ochotę krzyczeć na całe gardło. Żyje! Wróciła do tamtego.

Wróciła, zreflektował się natychmiast, ale nic nie powiedziała. Gdyby powiedziała, już dawno miałby policję na karku.

– Co jeszcze? – zapytał krótko.

– Niewiele wiemy, ale wszystko wskazuje, że cierpi na amnezję.

Pharaoh opadł na poduszki kanapy. To wyjaśniało, dlaczego dotąd nikt się nim nie zainteresował.

– Chce pan, żebyśmy ją tu sprowadzili, szefie?

– Nie. – Nie chciał, żeby widziała go osłabionego, bezbronniego. – Jeszcze nie teraz.

Duke wzruszył ramionami. Dziwne, jego szef najpierw odchodzi od zmysłów, żeby znaleźć tę kobietę, a teraz, kiedy wie, że przeżyła kataklizm, jest cała i zdrowa, przyjmuje wiadomość z zupełną obojętnością. Nie jego sprawa. Jeśli o niego chodzi, to nawet lepiej, że jej tu nie będzie.

– Tak jest, proszę pana – mruknął i już chciał odejść, kiedy Pharaoh go zatrzymał. – Tak, szefie?

– Chcę, żeby Law pilnował jej domu dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez przerwy, rozumiesz?

– Tak, proszę pana. Pełna kontrola.

Kiedy Duke wreszcie poszedł, Pharaoh podniósł się z kanapy i ruszył w stronę swoich prywatnych apartamentów w zachodnim skrzydle rezydencji. Dotarł

do sypialni zlany potem. Ból nadal nie dawał mu spokoju. Klnąc pod nosem, zrzucił ubranie i wszedł do łazienki, by wziąć prysznic.

Na moment zatrzymał się przed lustrem i spojrzał na swoje odbicie.

Podszedł bliżej.

Jeszcze bliżej. Tak blisko, że mógł widzieć teraz drganie pulsu na szyi.

Tatuaż... Co za kpina.

Wieczność.

Francesca nie знаła znaczenia tego słowa. Przesunął dłonią po nagim torsie, wyczuwając pod palcami przyspieszone bicie serca.

Chciał, żeby go kochała tak, jak on kochał ją. Chciał, żeby była mu całkowicie oddana. Nie mógł tego mieć i nawet nie zamierzał walczyć. Mógł jednak postawić na swoim. Tak, pokaże małej Romano, kto ma ostatnie słowo. Odzyska Francescę, nawet jeśli będzie musiał zabić jej męża. Najpierw jednak musi odzyskać siły.

– Jak to, nie wie pan, gdzie on jest? – zapytał Clay ze złością.

Dawson w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Tak to. Musi pan zrozumieć, że w Los Angeles mają teraz znacznie poważniejsze kłopoty niż uganianie się za jakimś facetem, którego mamy właśnie ochotę przesłuchać. Tam ciągle panuje straszne zamieszanie. Nadal prowadzone są akcje ratunkowe, jak najszybciej trzeba zlikwidować skutki trzęsienia ziemi. Do niektórych dzielnic miasta wciąż jeszcze nie można dotrzeć. Ciągłe znajdują ciała ofiar. Kalifornia od dziesiątków lat nie przeżyła tak straszego kataklizmu: 7,6 w skali Richtera... Chyba coś to panu mówi?

– Owszem, mówi, mówi – mruknął Clay i posłał Frankie zatroskane spojrzenie. O dziwo, wiadomości przekazane przez Dawsona przyjęła dużo spokojniej niż on. – Na czym stoimy? – zapytał detektywa.

Dawson zaczął przerzucać papiery na swoim biurku, myśląc jednocześnie, że koniecznie musi iść do okulisty. W ostatnich miesiącach wzrok bardzo mu się

pogorszył.

– Mam... Pharaoh Carn z kartelu Allejandra, wychowany w Albuquerque, w Stanie Nowy Meksyk, w Kitteridge House. Tamże pracował, kiedy został ujęty i osądzony za napad z bronią w rękę. Dostał pięć lat.

– A potem... co działo się z nim potem? – zapytała Francesca.

Dawson znowu zaczął szperać w dokumentach.

– Następną informacją dotyczy aresztowania w Orange County. To w Kalifornii. – Dawson wrócił do swoich zapisków. – Podejrzany o kolejny napad i wypuszczony z braku dowodów. Najprawdopodobniej jakoś w tym samym czasie zaczął pracować dla Allejandra, wtedy jeszcze jako szeregowy żołnierz. Szybko awansował w hierarchii organizacyjnej. Po kilku latach już wydawał rozkazy, zamiast je wykonywać.

Frankie przeszedł dreszcz.

– Dziwnie mi się robi, kiedy pomyślę, że znałam kiedyś kogoś takiego.

Dawson pokiwał głową.

– Tak, rozumiem, co ma pani na myśli. Mniej więcej dziesięć lat temu rozpracowywałem z moim partnerem jakąś sprawę związaną z narkotykami. Zrobiliśmy nalot na podejrzany dom i co się okazało? Aresztowałem swojego profesora z college'u. Tak bywa.

Claya nie interesowały wspomnienia starego policjanta.

– A więc chłopak, który był obsesyjnie zakochany we Frankie, i człowiek stojący na czele przestępczego syndykatu to jedna i ta sama osoba – posumował.

Dawson skinął głową i spojrzał na Frankie z zafrasowaną miną.

– Nie przypomniała sobie pani nic, co posunęłoby sprawę do przodu?

Francesca zwiesiła ramiona.

– Nie.

Clay objął ją i przytulił do siebie.

– Przypomnisz sobie, kochanie, zobaczysz – powiedział pocieszająco. Zerknął na Dawsona. – Czy istnieje jakiś sposób sprawdzenia, co działo się z Carnem w okresie, kiedy po Francesce ślad zaginął?

Dawson skrzywił się na to pytanie.

– Gdyby tak łatwo było przeświecić tego łajdaka, jak pan to sobie wyobraża, już dawno siedziałby za kratkami. Dopóki pana żona nie przypomni sobie jakichś konkretów, wyraźnie wskazujących na Carna, mamy związane ręce.

– A trzęsienie ziemi... tatuaż... to nie wystarczy? – zagadnęła Frankie.

Dawson rozłożył ręce w przeproszającym geście.

– Niestety, pani LeGrand. Pani myśli, że przeżyła trzęsienie ziemi, ale nie pamięta pani tego. Wydaje się pani, że człowiek, który ją porwał, miał charakterystyczny tatuaż na piersi, taki sam, jak ten na pani szyi. Może to wspomnienia z dzieciństwa nakładają się na niedawną przeszłość, może myli pani osoby? Nie dysponujemy żadnymi pewnikami, to wszystko tylko i wyłącznie domniemanie. Rozumie pani, o czym mówię?

Frankie miała ochotę krzyczeć, ale mruknęła tylko pod nosem:

– To nie w porządku.

– Zgadzam się – przytaknął Dawson. – Niech mi pani dostarczy jeden mocny dowód, a natychmiast dobioreę się do skóry temu łajdakowi. Proszę mi wierzyć, że nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Frankie gwałtownie podniosła się z krzesła.

– Myślę, Clay, że nie powinniśmy dłużej zajmować cennego czasu detektywowi Dawsonowi. Na pewno ma mnóstwo pracy.

Clay westchnął z rezygnacją. Frankie była wściekła i wcale się jej nie dziwił. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Dawson również się podniósł.

– Zdaję sobie sprawę, pani LeGrand, że chciała pani usłyszeć coś innego. Proszę mi wierzyć, uważam, że jesteście na właściwym tropie, ale dopóki nie znajdziemy i nie przesłuchamy Carna, nie mogę zrobić żadnego kroku. Zresztą samo przesłuchanie też niewiele nam da. Musicie się z tym liczyć. – Wzruszył ramionami.

– Wiem – przytaknęła Francesca pełnym zniechęcenia tonem. – Mam po prostu czekać, aż znowu mnie porwie.

– Gdybym był na miejscu pani męża, zaproponowałbym pani teraz udanie się w podróż. W bardzo długą, bardzo daleką podróż.

Francesca zrobiła się czerwona jak piwonie.

– Nigdzie nie zamierzam uciekać – oświadczyła kategorycznie. – Nie pozwolę, żeby jakiś chory na umyśle człowiek przesądzał o tym, co mam robić, jak żyć. Jeśli się znowu pojawi, a wierzę, że wkrótce się pojawi, będę na niego czekała.

– To już pani sprawa – powiedział Dawson.

Clay poblądł.

– Może gdybyśmy... – Spojrzał niepewnie na Dawsona, potem na Frankie. – Tu chodzi o twoje bezpieczeństwo...

– Nie zlekne się. Nigdzie nie będę się przed nim chować. Jeśli tak bardzo jestem mu potrzebna, niech mnie znajdzie.

– Frankie, chcesz służyć mu za przynętę?

– To moje życie. – Francesca była nieugięta. – Mam prawo chcieć, żeby wreszcie zaczęło wyglądać normalnie.

Clay był przerażony, ale wiedział, że zaczynanie kłótni z żoną nic nie da.

– Porozmawiamy później.

Zrobiła minę, która mówiła wyraźnie, że Clay może sobie gadać ile dusza zapagnie, ona nie zmieni zdania.

– Zlecę, żeby wóz patrolowy pojawiał się co jakiś czas pod waszym domem – obiecał Dawson.

Potraktowała detektywa nie lepiej niż Claya.

– Bardzo dziękujemy, że poświęcił nam pan tyle swojego drogiego czasu – oznajmiła zimno. – Więcej nie będziemy się panu naprzykrzać.

Po wyjściu LeGrandów długo jeszcze słowa Franceski brzmiały Dawsonowi w uszach. Pomyślał o pistolecie, którą kupił, i pokiwał głową. Czasami miał serdecznie dosyć swojej roboty.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Od powrotu Franceski i Claya z Albuquerque minął tydzień. Dni mijały spokojnie, ale oboje nie mogli oprzeć się wrażeniu, że ten spokój jest niczym cisza przed burzą. Zamiast się nim cieszyć, odczuwali coraz większy stres wynikający z niepewności oczekiwania.

Claya irytowało każde głupstwo na budowie, Frankie ciągle zbierało się na płacz. Tymczasem policja usiłowała sprawdzić, gdzie był Pharaoh Carn w czasie, kiedy porwano Francescę. Wynajęty przez Claya detektyw miał na oku wszystkich, z którymi się kontaktowała, chociaż ona sama nie miała pojęcia, że cały czas jest otoczona dyskretną opieką.

Kilka dni po Święcie Dziękczynienia nieoczekiwanie dla wszystkich spadł pierwszy śnieg.

– Popatrz, Clay, ktoś się wprowadza do mieszkania nad garażem w domu pani Rafferty.

Clay podniósł wzrok znad biurka, zerknął przez okno, przy którym siedziała Francesca. Wstał, rad z pretekstu pozwalającego mu na chwilę oderwać się od pracy.

– Okropny dzień na przeprowadzkę – powiedział, podchodząc do żony i stając za jej plecami. Rzeczywiście, zawieja śnieżna rozszalała się na dobre.

Frankie skinęła głową i przytuliła się do Claya.

– Pewnie przemawia przeze mnie egoizm, ale cieszę się, że pada.

– Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę z twoich słów podobną deklarację – zdziwił się Clay. – Przecież nienawidzisz mrozów.

– Nienawidzę, ale cieszę się, że mam cię w domu.

Frankie nigdy nie była kobietą-bluszczem, która szuka stałego oparcia w swoim mężczyźnie. To życie w ciągłym napięciu tak ją odmieniło, pomyślał Clay ze smutkiem.

– Kochanie, powiedz tylko, a wynajmę ochroniarza, który zajmie się twoim bezpieczeństwem, kiedy ja będę w pracy.

– Nie pleć głupstw. Przecież zainstalowałeś w domu nowy system alarmowy, to powinno wystarczyć. Poza tym nie stać nas na wynajmowanie ochrony i...

– Nie, nie stać nas na podejmowanie ryzyka. Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdyby stało ci się coś złego.

Francesce zaczęła drżeć broda, łzy napłynęły jej do oczu.

– Przepraszam – szepnęła. – Straszna beksa się ze mnie zrobiła. Ostatnio ciągle zbiera mi się na płacz.

– Jeśli przyniesie ci to ulgę, płacz. Wiem, że jest ci bardzo ciężko. – Clay zerknął przez okno i zmarszczył czoło. – Nowy lokator pani Rafferty nie ma, zdaje się, zbyt wielu rzeczy. Dwie walizki i karton z książkami to niezbyt imponujący majątek.

Frankie poszła za wzrokiem męża, usiłując dojrzeć coś poprzez gęstniejącą z każdą chwilą zawieję.

– Pamiętam czasy, kiedy sama miałam niewiele więcej.

Clay ujął ją pod brodę.

– Może napijemy się gorącej czekolady? – zaproponował z uśmiechem.

Frankie westchnęła, ale odpowiedziała uśmiechem.

– Z mnóstwem bitej śmietany.

Clay przewrócił oczami, udając oburzenie.

– No, nie wiem. Ja jestem wrogiem bitej śmietany, ale skoro żądasz, to...

Dała mu kuksańca w ramię.

– Dość tego, mój panie. Ja przynajmniej nie dodaję musztardy do jajecznicy.

Clay wyszczerzył zęby.

– Bo nie wiesz, co dobre.

– Niedobrze mi się robi – jęknęła Francesca.

– A mnie robi się niedobrze, jak patrzę na te twoje góry bitej śmietany – przekomarzał się Clay. – Dobrze – zgodził się wreszcie łaskawie, biorąc żonę w ramiona. – Zrobię ci czekoladę z bitą śmietaną, skoro się tak upierasz, ale będzie cię to drogo kosztować.

– Ile? – zapytała Frankie z uśmiechem.

– Nie chodzi o wysokość zapłaty, tylko o jej rodzaj – sprostował Clay.

Frankie przeczesła palcami czuprynę męża.

– No właśnie, mógłbyś wyjaśnić, o co ci właściwie chodzi?

W odpowiedzi Clay wyniósł żonę z bawialni.

– Ejże, kuchnia jest tam.

– Wybacz, ale znasz to stare powiedzenie: najpierw zapłata, potem towar?

– Zdaje się, że to będzie najdroższa gorąca czekolada w moim życiu – stwierdziła Frankie z udanym smutkiem.

– Przekonasz się – mruknął Clay, kładąc żonę na łóżku, i z kamienną twarzą zaczął rozpinąć koszulę.

Simon Law wniósł walizki do pokoju, schował klucze do kieszeni i rozejrzał się po niewielkim mieszkaniu. Zdarzało mu się mieszkać już lepiej, ale było tu przynajmniej czysto i ciepło. Zważywszy zawieruchę za oknem, był to prawdziwy luksus. Strząsnął resztki śniegu z włosów i z ramion i dopiero teraz wrócił myślą do tego, co go sprowadziło do Denver.

– Gdzie ja, do cholery, włożyłem ten telefon? – mruknął do siebie, nerwowo przeszukując kieszenie. Aparatu nie było.

Zerknął w okno i jęknął. Po raz ostatni miał go w rękę, kiedy rano, już z drogi, meldował się szefowi. No tak, zostawił go na siedzeniu w samochodzie.

Z obrzydzeniem spojrzął na coraz gęściej padający śnieg. Nie ma na co czekać, pogoda nie poprawi się tak szybko. Postawił kołnierz od płaszcza i klnąc w duchu, zbiegł do swojej furgonetki.

Telefon rzeczywiście leżał na siedzeniu, tam, gdzie go zostawił. Schował go do kieszeni i szybko wrócił do mieszkania.

Wychowany na farmie w Illinois, Law przed laty wyniósł się z rodzinnych

stron do słonecznej Kalifornii. Teraz, kuląc się przed wiatrem i śniegiem, szczerze żałował, że telefon zausznika Carna musiał go zastać w domu. Dlaczego trafiło akurat na niego? Ktoś inny mógł przecież jechać do tego cholernego Denver.

Ledwie zamknął za sobą drzwi mieszkania i ściągnął płaszcz, wystukał numer Pharaoha, sięgając jednocześnie do podręcznej torby po lornetkę.

– Dzień dobry, szefie, mówi Law. Tak, już w mieszkaniu. – Podszedł do okna i ustawił, ostrość w lornetce. – Owszem, są w domu. Widziałem ich wczoraj, kiedy wynajmowałem chatę, rano też ich przyuważyłem. Nie, nigdzie się nie wybierają. Pewnie, pamiętam, co pan mówił. Mam ich obserwować, to wszystko.

Pharaoh bawił się breloczkiem z króliczej łapki i uważnie słuchał relacji Lawa.

– Chcę wiedzieć, dokąd chodzą, co robią... wszystko! Rozumiesz?

– Pewnie, że rozumiem, szefie. Będę do pana dzwonił.

Pharaoh odłożył słuchawkę z uśmiechem pełnym satysfakcji. Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym schował breloczek do kieszeni i nacisnął przycisk interkomu.

– Duke. Przygotuj samochód. Jedziemy do Luksoru. Mam powody do zadowolenia.

– Dobrze, panie Carn, wóz za chwilę będzie czekał na podjeździe.

Pharaoh uśmiechnął się jeszcze szerzej. Po raz pierwszy od wyjścia ze szpitala zdecydował się spędzić wieczór poza domem i wybrał Luksor, swoje ulubione kasyno o staroegipskim wystroju. Miał ochotę wydać trochę pieniędzy, usiąść do stolika, obstawić kilka rundek. Może potem wpadnie na późny lunch do Izis, znanej z wyśmienitej kuchni restauracji przy kasynie... Miał ochotę na dobry, krwisty stek.

Zataił dłonie i podszedł do lustra, rozważając, czy nie pójść przy okazji do fryzjera.

Obiło mu się o uszy, że Jimmy Pantofel wrócił do miasta. Warto by się spotkać, odnowić starą znajomość.

Wrócił myślami do Franceski, ale tym razem nie musiał się już denerwować. Wiedział, gdzie jest, i we właściwym czasie zamierzał upomnieć się o nią.

Piętnaście po piątej Pharaoh dojrzał idącego w kierunku jego stolika

Pantofla. Duke też go dojrzał i pytająco zerknął na szefa. Carn skinął głową.

– Wszystko w porządku, Needham, możesz odejść.

– Słyszałem, że jesteś w mieście – zaczął Jimmy, siadając na miejscu zwolnionym przez Duke'a. – Dobrze cię widzieć. Już myśleliśmy, że się nie wylizasz.

Uśmiech na ustach Pharaoha zamienił się w martwy grymas.

– Nie należy dawać wiary plotkom, Jimmy. Czy wyglądam na trupa?

– Jasne, że nie. Nigdy nie widziałem cię w lepszej formie – zapewnił pospiesznie Pantofel, uśmiechając się nerwowo. – Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, przyjacielu, żebyś się przeniósł na tamten świat.

Pharaoh przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, wreszcie wzruszył ramionami.

– Nieważne, ile brakuje ci do śmierci ani ile razy się o nią ocierasz. Ważne, żeby potem szybko się podnieść – oznajmił sentencjonalnie.

Jimmy z powagą pokiwał głową.

– Dobrze powiedziane. Nic dodać, nic ująć.

– Napijesz się czegoś, może zamówić ci coś do jedzenia? – zagadnął Pharaoh.

– Nie, ale dzięki za zaproszenie. – Jimmy nachylił się do Carna. – Pomyślałem, że cię to zainteresuje: gliny rozpytują o ciebie w całym Los Angeles.

Dobry nastrój Pharaoha prysł w jednej chwili jak bańka mydlana.

– O co pytają?

– Tak jakoś dziwnie. W każdym razie nie chodzi im o interesy. Wypytują o jakąś porwaną kobietę.

Pharaoh upił starannie odmierzony łyk kawy, dobrze bacząc, by nie pokazać po sobie, jak bardzo wstrząsnęła nim ta rewelacja.

– Kidnapping to robota dla idiotów – wycedził powoli. – Ja nie lubię marnować czasu na głupstwa, ale powiedz mi, pytam z czystej ciekawości, kto mnie chce w to zrobić?

– Lokalne gliny. Węszył też jakiś prywatny. Przyjezdny. Detektyw turysta, skubanieńki.

Pharaoh prychnął.

– Co to za jedna, że się tak nią interesują?

Jimmy lekceważąco wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jakaś facetka i tyle.

– O co pytają?

– Latają po mieście z jej zdjęciem, podtykają pod nos, chcą wiedzieć, czy ktoś ją rozpoznaje, czy przypadkiem gdzieś jej nie widział... Takie pierdoły.

Pharaoh upił kolejny łyk kawy.

– Dzięki za ostrzeżenie, Jimmy.

– Drobiazg. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć. – Uśmiechnął się szeroko.
– Chłopcy niewiele się dowiedzieli. Właściwie nic nie mają. No to ja już chyba pójdę. Miło cię było widzieć, Carn. Trzymaj się ciepło.

Pharaoh patrzył za małym człowieczkiem, który pospiesznie opuszczał salę restauracyjną. Wiadomość, którą przyniósł Pantofel, wszystko zmieniała. W tej sytuacji odkładanie podróży do Denver mogło być niebezpieczne. Powinien wszystko jeszcze raz dobrze przemyśleć.

– Duke, przyprowadź samochód, wracamy do domu.

Po chwili Pharaoh wychodził z kasyna.

Śnieg przestał padać około północy. O świcie pługi oczyściły ulice, na niebie pojawiło się słońce. Clay wyszedł rano do pracy, uprzedzając Francescę, że wróci późnym popołudniem. Po jego wyjściu wsunęła się na powrót do ciepłego łóżka i wkrótce zasnęła. Nie wiedziała nawet, kiedy wraz ze snem wróciły koszmary.

– Nie próbuj ze mną walczyć, Francesco. – Chrapliwy głos wwierał jej się w uszy. – Zawsze byłaś moja, zawsze należałaś do mnie.

Frankie spojrzała na przyciskającego ją do łóżka mężczyznę. W oczach miał dziką żądzę, nozdrza rozszerzone.

– Puść mnie... puść mnie – błagała.

Twarz mężczyzny wykrzywił wściekły grymas.

– Należysz do mnie – powtórzył. – Do mnie, nie do niego.

– Mylisz się! – krzyczała. – Należę tylko do siebie i mogę wybierać. Wybrałam mojego męża. Nie masz do mnie żadnego prawa.

Chwycił ją mocno za nadgarstki i nachylił się nad nią. Frankie zapało dech w piersiach.

– Co to znaczy, nie mam prawa? Mam wszelkie prawa – szepnął Pharaoh. – Spójrz mi w oczy. Patrz mi w oczy, słyszysz? Przypominasz sobie minione lata? Pamiętasz, ile nas łączyło? Żebyś nie wiem jak się starała, nie zdołasz wyrzucić mnie z pamięci.

– To, że jesteś ode mnie silniejszy, nic nie zmieni. Brzydzę się tobą. Nie mogę na ciebie patrzeć. Wykradłeś mnie, pozbawiłeś domu. Możesz mnie teraz wziąć, tu na tym łóżku, ale nie oddam ci się dobrowolnie. Nigdy nie zdobędziesz mojego serca, bo ono należy do Claya. To jego mam w pamięci. Jego kocham.

Pharaoha ogarnęła biała furia. Frankie skuliła się, oczekując ciosu.

Obudziła się z krzykiem i usłyszała, że wzywa Claya. Jej zachrypnięty głos niósł się echem po pustym, pogrążonym w ciszy domu.

– O Boże – szepnęła i powoli podniosła się z łóżka.

Na chwiejnych nogach przeszła do łazienki, zrzucając po drodze koszulę. Weszła pod prysznic, w strumień zimnej jeszcze wody, ale nie zwróciła nawet na to uwagi, nie czekała, aż poleci cieplejsza. Namydliła dłonie i zawzięcie poczęła szorować całe ciało. Czowała się brudna, zbrukana, nic niewarta. Przez cały czas po powrocie do domu wypierała z pamięci to, co najgorsze. Okłamywała się, wmawiała sobie, że ten, który ją porwał, nie dotknął jej, nie spał z nią. Teraz miała pewność, że było inaczej. Łzy dławily w gardle, ale świadomość tego, co wróciło do niej we śnie, była zbyt bolesna. Frankie nie mogła nawet płakać.

Jak spojrzy w twarz Clayowi, wiedząc, że tamten człowiek nie tylko ją uprowadził, ale i zgwałcił?

Nagły przebłysk pamięci omal nie powalił jej swoją siłą na podłogę.

Przypomniała sobie coś bardzo ważnego. Błagała go o litość i patrzyła mu w twarz. Pamięta, jak wyglądał! To powinno stanowić trop dla policji. Spłukała resztki mydła, wytarła się i szybko ubrała. Chciała możliwie jak najszybciej opowiedzieć detektywowi Dawsonowi o swoim śnie.

Niestety, czekało ją rozczarowanie. Dawson nie zareagował tak, jak oczekiwała.

– Proszę posłuchać, pani LeGrand – wyjaśniał zmęczonym głosem – sama pani mówi, że to był tylko sen.

– Tak, ale...

– Skąd zatem pewność, że to nic więcej niż tylko projekcja pani lęków? Wcześniej twierdziła pani wielokrotnie, że nie jest w stanie przypomnieć sobie twarzy swojego prześladowcy.

Frankie poczuła, że robi się jej niedobrze. Rozmowa z każdą chwilą stawała się coraz bardziej beznadziejna. Nikt nie chciał jej wierzyć. Myślała, że chociaż Dawson... Najwyraźniej się myliła. Klasyczne myślenie życzeniowe. Detektyw tymczasem potraktował ją jak wariatkę.

– Tak, ale... – powtórzyła.

– Zobaczyła pani zdjęcie człowieka, z którym wychowywała się w Kitteridge, i uznała, że to on jest porywaczem.

Frankie miała ochotę krzyknąć z bezradnej wściekłości.

– Nic nie „uznałam”. Ja sobie przypominałam, rozumie pan? Przypominałam. Mam panu przeliterować?

– Nie, proszę pani. Pani sobie nie przypominała. Pani się to przyśniło. A to ogromna różnica.

Frankie usiadła na najbliższym krześle. Była zupełnie zagubiona, przybita, jak tylko może być człowiek, który znikąd nie widzi pomocy.

– Czy nie może do pana dotrzeć, detektywie, że ciągle grozi mi niebezpieczeństwo?

Zastanawiał się na tyle długo, by Francesca mogła uznać jego milczenie za odpowiedź.

– Oczywiście... Wreszcie poznaliśmy prawdę – powiedziała z wściekłością

w głosie. – Jest pan przekonany, że uciekłam... a potem, z sobie tylko znanych powodów, po dwóch latach nieoczekiwanie wróciłam do domu.

– Niczego takiego nie powiedziałem, pani LeGrand.

– Nie musiał pan. Zanim skończymy tę prowadzącą donikąd rozmowę, chciałam zadać panu czysto hipotetyczne pytanie.

– Tak, słucham?

– Co by się stało, gdyby odnaleziono moje zwłoki w jakimś innym stanie? Aresztowalibyście Claya czy też uznali, że umarłam, wybrawszy się w niebezpieczną podróż mającą mnie doprowadzić do samopoznania?

Cóż za gryząca ironia, pomyślał Dawson z grymasem zmęczenia na twarzy.

– Trudno mi odpowiedzieć na tak sformułowane pytanie – zastrzegł się.

– A to niby dlaczego? Zresztą nieważne. – Francesca też była już zmęczona tą jałową wymianą zdań. – Coś panu powiem na zakończenie. Jeśli kiedyś znudzi się panu praca w policji, powinien pan zająć się polityką. Byłby pan w tym naprawdę dobry.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki i Dawson został z poczuciem, że zawiódł na całej linii. Długo jeszcze siedział nieruchomo przy biurku, dręcząc się pytaniami, na które nie znajdował odpowiedzi.

Dlaczego nikt, jego nie wykluczając, nie wierzył Francesce? Dlaczego tak opornie szło poszukiwanie Pharaoha Carna? Gdzie i kto popełnił błąd w tej sprawie? Nie pierwszy i nie ostatni błąd.

Tymczasem Carn był niebezpiecznym człowiekiem. Tym bardziej niebezpiecznym, że nieuchwytnym.

Frankie długo w nocy nie mogła usnąć, dręczona wyrzutami sumienia. Nie opowiedziała Clayowi o swoim śnie. Przysporzyłaby mu tylko niepotrzebnego bólu, ani na krok nie zbliżając się do wyjaśnienia zagadki, gdzie była przetrzymywana. Z tego punktu widzenia sen niewart był wspomnienia, z innego był zbyt trudny do przyjęcia, by się nim dzielić.

Gdyby wyznała Clayowi, co się jej przyśniło, nie potrafiłaby już chyba nigdy spojrzeć mu w twarz. Czuła niemal wyrzuty sumienia, że nadal żyje. Wiele kobiet w podobnej sytuacji wolałoby raczej popełnić samobójstwo, niż pozwolić się dotknąć mężczyźnie.

Frankie zasepiła się. Nie. Takie myślenie to skończona głupota. Powinna żyć: dla siebie, dla Claya. Clay przygarnął ją do siebie przez sen i wreszcie zdołała się odprężyć. Tu jest jej miejsce, w jego ramionach – pomyślała sennie.

Simon Law po raz trzeci obszedł dom dookoła, oglądając uważnie skomplikowany system alarmowy. Szefowi nie będzie się to podobać – pomyślał ponuro, spoglądając na płataninę kabli, ale tu trzeba by znacznie wytrawniejszego specjalisty niż on, Simon Law.

Pograżoną w ciemnościach ulicę raptem omiotły reflektory jakiegoś zapóźnionego samochodu, który wychynął zza zakrętu. Simon w ostatniej chwili uskoczył w zarośla, klnąc na czym świat stoi śnieg, który dostał mu się za kołnierz.

Kiedy samochód przemknął obok niego, zdał sobie sprawę, że rzucając się do ucieczki, musiał upuścić na ziemię swoją latarkę. Chciał po nią wrócić, ale w tej samej chwili w oknie sypialni zapaliło się światło. Machnął ręką, wskoczył do samochodu i odjechał na pełnym gazie. O tej porze nie musiał pilnować Franceski; LeGrandowie spali najspokojniej w świecie, a on miał jeszcze do załatwienia pewien drobiazg – dostał polecenie usunięcia drobnej przeszkody z drogi Pharaoha Carna.

Harold Borden wyłączył silnik samochodu i przez chwilę siedział bez ruchu, napawając się ciszą, która działała kojąco po całym dniu wyteżonej pracy. Spojrzał w kierunku swojego domu, pomyślał, że musi wymienić kilka przepalonych żarówek w świątecznej iluminacji, i sięgnął po leżącą na siedzeniu torbę z krokietami z jajkiem. Ich zapach drażnił mu podniebienie przez całą drogę; zje podkurek i pójdzie spać.

Kiedy miał zlecenie do wykonania, rzadko spędzał noce w domu, ale tym razem było inaczej. Kiedy Clay wracał do domu, on też kończył pracę.

Przygarnął torbę z pasztecikami do piersi i wysiadł z samochodu w mroźną,

wietrzną noc.

Wciągnął głęboko w płuca rześkie powietrze i ruszył w stronę domu. Alice zapewne zdrzemnęła się na kanapie, ale swoim zwyczajem czeka na niego. Uśmiechnął się. Tak, ma wspaniałą żonę. Mógł się uważać za szczęśliwego człowieka.

Nagle zobaczył reflektory wyjeżdżającego zza zakrętu samochodu. Klnąc pod nosem, nachylił się, żeby podnieść kluczyki, które upadły na jezdnię, kiedy chciał je wsunąć do kieszeni.

W tej samej chwili rozległo się głucho uderzenie ciała o metal, pisk opon odbił się echem w ciszy pogrążonej we śnie ulicy i samochód zniknął w ciemnościach. Alice Borden ocknęła się z płytkiej drzemki. Wyjrzała przez okno i zobaczyła samochód męża zaparkowany przy krawężniku. Dopiero potem dostrzegła leżące obok ciało.

Z jej gardła dobył się rozdzierający krzyk.

Simon Law przełożył do drugiej ręki pudełko z pizzą i puszkę piwa, wyjął klucze, otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Pierwszy kawałek pizzy pochłonął w trzech wielkich kęsach. Z nocnej roboty zawsze wracał głodny jak wilk.

Z drugim kawałkiem w dłoni podszedł do okna, spojrzał w mrok przez lornetkę.

Dopiero teraz zauważył, że wokół domu zostawił wydeptaną w śniegu ścieżkę. Krew uderzyła mu do głowy.

– Cholera jasna – mruknął. Jak na złość śnieg przestał padać jakiś czas temu; nie mógł liczyć, że przysypie ślady jego głupoty.

Co robić? – zastanawiał się gorączkowo. Zwijać manatki i wiać, czy siedzieć tutaj i udawać, że nic się nie stało? Przed gniewem Pharaoha nie ucieknie, z tego aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę. Wszyscy w organizacji wiedzieli już, co przydarzyło się Stykowskiemu. Ten, kto przynosił Carnowi złe wieści, na ogół marnie kończył.

Odłożył lornetkę i patrzył w ciemność porażony strachem. Im dłużej

wpatrywał się w nieszczęsne ślady, tym wyraźniej do niego docierało, że nie ma się czym przejmować. Ślady urywały się na chodniku. Nikt nie będzie w stanie odgadnąć, kto je zostawił, nikt z nich nic nie wyczyta.

Odetchnął z ulgą, dokończył pizzę i padł na fotel. Odpocznie chwilę, dosłownie kilka minut, i potem znowu zajmie swoje stanowisko obserwacyjne przy oknie.

Obudził się rano.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Clay przeżył ostatni kęs grzanki, kiedy do kuchni weszła Francesca.

– O niczym nie zapomniałeś? – zapytała. – Śnieg przestał padać, ale jest bardzo mroźno.

Clay wyszczerzył zęby i w pośpiechu przełknął resztkę jedzenia.

– Nie, mamusiu. Rękawiczki w samochodzie, ciepłe kalessony na pupie.

– Dobrze. – Pokiwała głową z uśmiechem, po czym gwałtownym ruchem odstawiła kubek z kawą. – Przytul mnie – poprosiła.

W jej głosie było tyle bezradności, tyle smutku, że Clayowi ścisnęło się serce.

– Z największą przyjemnością – powiedział cicho. – Chodź tutaj, kochanie. Dasz sobie sama radę? Jeśli chcesz, podrzucę cię do rodziców albo poprosimy mamę, żeby przyjechała tutaj i spędziła z tobą cały dzień aż do mojego powrotu.

Frankie westchnęła. Najchętniej ukryłaby się gdzieś, gdzie nikt by jej nie znalazł, ale nie mogła dopuścić, żeby strach zdominował ich życie. Wizyty teściowej też wolała unikać. Czuła się źle i czyjaś obecność tylko by ją dodatkowo rozdrażniła.

– Nie martw się o mnie. Mam przecież pistolet, poza tym w pobliżu będzie kręcił się Harold, nasz dzielny detektyw.

Clay słuchał słów żony z zasepioną miną. Fakt, że musiała kupić broń, ciągle nie dawał mu spokoju. Byli przecież zwykłymi ludźmi i mieli prawo wieść zwykłe życie, wolne od tego rodzaju emocji i zagrożeń. Uwaga dotycząca Harolda zabrzmiała w ustach Frankie nieco ironicznie, ale po wszystkim, przez co przeszła, nie mógł mieć o to do niej najmniejszych pretensji. Zerknął na zegarek. Tak jak powiedziała, Borden powinien pojawić się lada chwila.

– W porządku. Skoro uważasz, że dasz sobie radę...

Przyciągnęła go do siebie.

– Pocałuj mnie, Clay, i przestań się wreszcie o mnie zamartwiać.

– Wszystko, co tylko zechcesz, kochanie – powiedział, siląc się na wesołość,

i nachylił ku żonie.

Już od progu posłał jej ostatnie spojrzenie.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską w głosie. – Jesteś bardzo blada.

– Położę się zaraz z powrotem do łóżka. Idź już.

Ale Clay zamiast wyjść, cofnął się i dotknął czoła Franceski.

– Nie masz gorączki.

– Clay...

– Posłuchaj, kochanie, może jednak zadzwonię do rodziców i...

– Jedź już – powtórzyła. – Spóźnisz się do pracy.

Wzruszył ramionami.

– Już znikam. Zadzwon, jeśli będziesz mnie potrzebowała, dobrze?

Skinęła głową i odprowadziła go do drzwi, po czym, nie mogąc dłużej powstrzymać mdłości, rzuciła się biegiem do łazienki.

Clay siedział w samochodzie, czekając, aż silnik się rozgrzeje. Spojrzał na ślady na śniegu koło domu i uśmiechnął się. W taką pogodę jak dzisiaj najchętniej zamieniłby się na powrót w małego chłopca i zamiast pójść do szkoły, lepił bałwany w ogrodzie.

Nigdzie nie mógł dostrzec samochodu Harolda, ale było jeszcze wcześniej, a Borden mógł mieć kłopoty z dojazdem. Nie wszystkie ulice były oczyszczone, widocznie musiał nadłożyć drogi, żeby dotrzeć na miejsce.

Clay wzruszył ramionami, wrzucił bieg i nacisnął na gaz. Zerknął jeszcze w lusterko wsteczne, by po raz ostatni spojrzeć na dom, i coś dziwnego go uderzyło. Zwolnił, zatrzymał samochód na środku ulicy, usiłując dociec, co właściwie go zaniepokoiło.

Nagle zrozumiał i ciarki przebiegły mu po plecach. Nie namyślając się, zawrócił z piskiem opon i po chwili był z powrotem pod domem. Wsiadł z wozu na miękkich nogach. Im dłużej wpatrywał się w ślady na śniegu, tym większe ogarniało go przerażenie.

Ktoś kilka razy musiał obejść ich dom. Ktoś kręcił się pod oknami. Obserwował każdy ich ruch. Śledził ich.

Clay rozejrzał się wokół, ale nie zauważył nic podejrzanego. Otulona gęstą warstwą białego puchu, oświetlona porannym słońcem uliczka przypominała sielski widoczek ze świątecznych pocztówek.

Rzucił się biegiem do drzwi, zziębnięty wpadł do holu. Bawialnią, kuchnią, nigdzie śladu Franceski, żadnej reakcji na jego obecność. Nie mogła przecież usnąć tak szybko.

– Francesco, gdzie jesteś?

Dopiero teraz usłyszał szum wody dochodzący z łazienki.

– Jesteś tam, kochanie?

Pojawiła się nagle w progu z mokrą twarzą i ręcznikiem w dłoni, jeszcze bledsza niż przed chwilą, kiedy się z nią żegnał.

– Przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam. Wiesz, że nie chciałem.

– Zapomniałeś czegoś?

– Nie. – Wahał się przez moment, ale decyzje należało podejmować błyskawicznie. – Musimy porozmawiać, Frankie, ale najpierw wykonam kilka telefonów.

Zanim zdążył cokolwiek dodać, Francesca odwróciła się gwałtownie i na powrót zniknęła w łazience.

Zdumiało go to, ale po chwili dochodzące odgłosy wszystko wyjaśniły. Pobiegnął za żoną.

– Jesteś chora.

Francesca oparła się o ścianę, przymknęła oczy.

– Nie wiem, co się stało. Chyba położę się na chwilę.

Clay ujął żonę pod ramię i zaprowadził ją do łóżka.

– Już mi lepiej – powiedziała, kiedy okrywał ją kołdrą. – Co się stało? Samochód nie chciał zapalić? – zapytała.

– Nie, to nie samochód. Pozwól, najpierw załatwię kilka telefonów, potem porozmawiamy.

Coś zaniepokoiło ją w głosie Claya. Mówił dziwnie, nie patrzył jej w oczy. Usiadła na łóżku.

– Możesz przecież dzwonić z sypialni.

Clay zatrzymał się w progu, spojrzał na nią z takim wyrazem twarzy, że się przeraziła.

– Powiedz mi, o co chodzi.

– Wokół domu są ślady stóp.

„Należysz do mnie, tylko do mnie”.

Obezwładniające wspomnienie tamtych słów odebrało jej mowę. Jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy Clay usiadł obok niej, zarzuciła mu rękę na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

– To on, prawda, Clay? Wrócił. Jednak wrócił.

– Nie wiemy tego. Zadzwoń do Bordena, a potem na policję.

Mówiąc to, Clay sięgnął po słuchawkę i wystukał numer prywatnego detektywa. Kiedy usłyszał po drugiej stronie kobiecy głos, w pierwszej chwili pomyślał, że musiał się pomylić.

– Przepraszam, musiałem wybrać zły numer. Chciałem rozmawiać z Agencją Borden.

– Rozmawia pan – przytaknęła kobieta. – To ja przepraszam, ale ten ranek był dla mnie straszny, sama nie wiem, co mówię.

– Widzę, że Harold w końcu zatrudnił kogoś do pomocy.

– Nie... niezupełnie – odparła nieznajoma.

– Muszę z nim rozmawiać. Jest tam może?

Kobieta zawahała się.

– Pan jest przyjacielem czy klientem?

– Klientem, chociaż znamy się już od ponad dwóch lat.

Clay usłyszał ciężkie westchnienie po drugiej stronie.

– Bardzo mi przykro. Mam dla pana smutną wiadomość. Pan Borden nie żyje. Wczoraj wieczorem potrącił go samochód, kiedy wysiadał ze swojego wozu pod domem. Kierowca zbiegł.

Clay wpatrywał się w ścianę pozbawionym wyrazu, niewidzącym wzrokiem. Cholera.

– Czy ktoś widział, jak to się stało?

– Nie sędzę. Żona znalazła go na ulicy. – W głosie kobiety pojawił się nowy, bardziej rzeczowy ton. – Jeśli jest pan klientem, pani Borden poleciła mi kierować wszystkie aktualnie prowadzone przez męża sprawy do agencji Rocky Mountain. To dobra firma, Harold bardzo wysoko ich cenił.

– Dziękuję – powiedział Clay. – Proszę przekazać pani Borden moje szczere wyrazy współczucia.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział bez ruchu.

Frankie domyśliła się wszystkiego z ostatnich słów męża: były aż nadto czytelne i jednoznaczne.

– Clay?

– Harold Borden nie żyje. – Clay potwierdził jej najgorsze przypuszczenia. – Wczoraj wieczorem potrącił go samochód, kiedy wysiadał przed domem ze swojego wozu. Kierowca zbiegł – powtórzył jak automat to, co przed chwilą usłyszał.

– Straszne! Wiadomo już, kto to zrobił?

– Chyba nie.

Frankie zadrżała, przysunęła się bliżej do Claya.

– Biedna pani Borden. Wyobrażam sobie, jak się musi teraz czuć.

– Taaak... – przytaknął Clay martwym głosem i wystukał kolejny numer, powtarzając sobie w myślach, że śmierć Bordena to jakiś tragiczny przypadek, nie mający nic wspólnego z ich kłopotami.

– Tu Dawson – usłyszał po chwili w słuchawce głos detektywa.

– Mówi Clay LeGrand.

– Witaj, chłopcze. Wcześniej zaczynasz dzionek. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Ktoś kręcił się pod naszym domem ostatniej nocy.

Dawson odłożył nie dojedzoną kanapkę wprost na leżące na biurku papiery i wyprostował się w krześle.

– Jasio Podglądacz?

Podglądacz? – zastanawiał się Clay. Tylko koło ich domu były ślady, śnieg w pozostałych ogrodach wzdłuż całej ulicy pozostał nietknięty.

– Skąd mogę wiedzieć – burknął do słuchawki. – Wygląda na to, że interesował go tylko nasz dom, bo tylko u nas są ślady.

– Może dzieciaki. Zawsze szaleją, kiedy pojawi się pierwszy śnieg, muszą wejść w każdą pryzmę, zrobić orła...

– Nie ma żadnych orłów, tylko ślady stóp: okrążają dom i urywają się na ulicy.

– Tak? O ile się nie mylę, wynajął pan prywatnego detektywa. Może to on sprawdzał, czy u was wszystko w porządku?

– Chyba jego duch. Tak się składa, że nasz detektyw zginął wczoraj wieczorem w wypadku samochodowym – poinformował Dawsona Clay z ironiczną uprzejmością.

Tej informacji Dawson nie mógł już zbagatelizować.

– A niech to diabli – mruknął, przerzucając papiery na biurku. – Cóż za zbieg okoliczności – dodał, wpadając w ton Claya.

– Też pomyślałem, że to dość zastanawiające – przytaknął Clay.

– Czekać na mnie. Wezmę Ramseya i za kwadrans będziemy u was.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedział Clay i odłożył słuchawkę.

Francesca siedziała na łóżku zmartwiała ze zgrozy i wpatrywała się w męża szeroko otwartymi oczami.

– Frankie?

Nie odpowiedziała. Potrząsnął nią delikatnie.

– Francesco?

Głowa opadła jej bezwładnie na bok, jak u szmacianej lalki. Drgnęła i

dopiero teraz się ocknęła.

– Wszedł przez drzwi frontowe. Myślałam, że to ty. Uśmiechnęłam się, a potem rzuciłam się do ucieczki.

Claya ogarnął bezsilny gniew.

– Sukinsyn.

Francesca zamrugła oczami.

– Poznałam go, Clay. To był Pharaoh. Pharaoh Carn.

Pharaoh stał przed posągiem Ozyrysa. Przebywał w spowitej dymem z kadzideł krypcie od tak wielu godzin, że stracił poczucie czasu, ale lżej mu było na sercu, myślał jaśniej. Najwidoczniej choroba nie pozwalała mu wcześniej się skoncentrować, ale te dni miał już za sobą.

Wizyta w krypcie na nowo uświadomiła mu fakt oczywisty, który ostatnio uchodził jego uwagi: królowie są wszechmocni. To oni dyktują prawa i żądają dla nich posłuchu. Podobnie jak starożytni faraonowie, winien zniszczyć wroga i odzyskać to, co do niego należy. Raz już to uczynił, uczyni ponownie. Wyznaczył sobie cel i musiał zrealizować go możliwie szybko, pozostało niewiele czasu.

Kiedy w jakiś czas potem wyszedł z sauny, Duke już na niego czekał ze szlafrokiem przerzuconym przez ramię.

– Dzwonił Simon.

Pharaoh spojrzał pytająco na swojego totumfackiego.

– Powiedział, że zajął się tym prywatnym detektywem. Sprawa załatwiona – pospieszył Duke z wyjaśnieniem.

– Jak?

– Nieszczęśliwy wypadek. Biedaka potracił samochód.

Na ustach Pharaoha pojawił się pełen satysfakcji uśmiech.

– Ludzie są tacy nieuważni. Zawsze powtarzam, przechodząc przez ulicę,

rozejrzyj się dobrze na wszystkie strony.

Duke odpowiedział uśmiechem.

– Święta racja, szefie.

– Umieram z głodu – oznajmił Pharaoh niespodziewanie. – Powiedz kucharzowi, żeby przygotował mi omlet z pieczarkami. Będę w bibliotece, muszę wykonać kilka telefonów, każ tam przysłać jedzenie.

– Tak jest, proszę pana – przytaknął skwapliwie Duke. – Coś jeszcze?

Pharaoh zastanawiał się przez chwilę nad swoim rozkładem dnia i powziętym właśnie planem działania.

– Owszem. Wezwij fryzjera... I manikiurzystkę. Muszę doprowadzić paznokcie do porządku. Ostatnimi czasy okropnie się zaniedbałem.

Kiedy Duke pospiesznie odszedł, Pharaoh stanął pod prysznicem. Po raz pierwszy od dnia trzęsienia ziemi czuł się naprawdę dobrze. Bardzo dobrze. Znowu panował nad sytuacją.

Ramsey obchodził dom z fotografem z dochodzeniówki, który robił zdjęcia śladów na śniegu, tymczasem Avery Dawson w bawialni LeGrandów słuchał relacji Claya i Franceski, od czasu do czasu zapisując coś w swoim notesie, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Mówi więc pani, że zaczyna sobie przypominać, co się z nią działo? – zapytał w pewnym momencie.

Frankie skinęła głową, spojrzała na siedzącego obok niej Claya, po czym zwróciła się do detektywa:

– Tak, z każdym dniem przypominam sobie coraz więcej.

– Twierdzi pani, że to właśnie Pharaoh Carn porwał ją dwa lata temu? – upewniał się Dawson.

– Tego dnia drzwi były zamknięte na klucz – zaczęła, zaciskając dłonie i poprawiając się na krześle. – Clay zawsze zamyka drzwi na klucz, wychodząc do

pracy. Musieli mieć wytrych. Byłam w kuchni. Usłyszałam, że drzwi się otwierają. Pomyślałam, że to Clay wrócił, bo czegoś zapomniał.

– Co było dalej? – pytał Dawson.

– Kiedy weszli do kuchni, uśmiechałam się...

– Weszli? – przerwał jej Dawson. – Było ich kilku?

Frankie drgnęła i zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie tamtą scenę sprzed dwóch lat.

– Tak – powiedziała wreszcie. – On... i dwóch innych. Niewysocy, barczyści. Wyglądali bardzo podobnie.

– Chodzi pani o to, że byli podobnie ubrani? – próbował uściślić Dawson.

– Nie. Podobni z rysów twarzy, z sylwetki. Jak bracia.

Dawson kiwnął głową i zapisał coś w notesie.

– Co się zdarzyło potem?

– Zaśmiał się głośno... Pharaoh zaczął się śmiać. Powiedział, że od dawna mnie szukał. – Francescą wstrząsnął dreszcz. – Krzyknęłam i rzuciłam się do ucieczki.

– Tak?

Spojrzała na Dawsona pustym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Złapał mnie.

– Jak udało mu się wyprowadzić panią z domu tak, że nikt z sąsiadów nic nie zauważył?

– Nie wiem. Pamiętam tylko, że mnie mocno trzymali. A potem ukłucie w ramię. Przypuszczam, że dali mi jakiś środek odurzający.

– Co jeszcze pani pamięta?

– Nie jestem pewna. Mam zatarte wspomnienia. Samolot... Pamiętam, że obudziłam się w samolocie. – Westchnęła. – Przepraszam. Czasami gubię się w natłoku nieskładnych, oderwanych obrazów. Nie potrafię ułożyć ich w logiczną całość. – Wyprostowała się, jakby wstąpiła w nią nowa energia. – Tych kilka rzeczy, które pamiętam wyraźnie, są prawdziwe. Tutaj nie mogę się mylić. Pharaoh

Carn wykradł mnie z mojego własnego domu. Wydaje mi się, że przetrzymywał mnie w jakiejś dużej posiadłości. Teren był ogromny, grunta dobrze utrzymane. Pamiętam kraty w oknach pokoju, w którym mieszkałam. Gdyby nie trzęsienie ziemi, nadal bym tam tkwiła, zamiast rozmawiać teraz z panem.

– Jeśli prokurator sformułuje przeciwko Carnowi zarzuty, czy zgodzi się pani zeznawać?

Na samą myśl, że znowu go zobaczy, robiło się jej niedobrze. Zacisnęła dłoń i spojrzała na męża, szukając u niego odpowiedzi.

Clay skinął głową na znak, że jakkolwiek Frankie podejmie decyzję, on będzie ją wspierał, będzie przy niej. Pozbywszy się wątpliwości, mogła odpowiedzieć:

– Tak, będę zeznawała. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby został osądzony i skazany – oznajmiła stanowczo.

– W takim razie mamy piłkę w grze – stwierdził Dawson. Tu zerknął na Claya: – Pańskie domysły na temat śmierci Bordena przekażę chłopcom z wydziału zabójstw. Rozumiem, że to tylko hipoteza, ale nie zaszkodzi ją rozpatrzeć. Musimy brać wszystkie ewentualności pod uwagę, również tę, że to nie był wypadek.

– Dziękuję – powiedział Clay.

Na ganku rozległy się kroki i do domu wszedł Paul Ramsey.

– Masz zdjęcia? – zapytał Dawson.

– Owszem – przytaknął Ramsey. – Mam też kieszonkową latarkę z przyklepionym do obudowy kawałkiem odmrożonego naskórka. – Ramsey pokazał plastikową torebkę ze znaleziskiem. – Czy to państwa?

– Nie – odpowiedzieli Clay i Frankie równocześnie.

– Tak też myślałem – mruknął, chowając torebkę do kieszeni.

Frankie podniosła się z kanapy.

– Napije się pan kawy?

Ramsey uśmiechnął się.

– Chętnie. Jeśli będę ją mógł zabrać ze sobą. Straszny ziąb na dworze.

– Proszę ze mną do kuchni. Powinnam mieć jeszcze kubki jednorazowe.

– Weź i dla mnie – rzucił Dawson. – Wypiję po drodze.

– Jakie mamy szanse przyskrzynieć tego faceta? – zapytał Clay, kiedy Frankie i Ramsey wyszli z bawialni.

– Marne, nie będę pana okłamywał. Człowiek pokroju Carna ma alibi na każdą okazję i każdą okoliczność, może też mieć na wszystko świadka. Jego ludzie go poprą, cokolwiek powie. Musimy zdobyć jakiś mocny dowód, inaczej niewiele zdziałamy. Przede wszystkim musimy jednak go znaleźć, jeśli chcemy postawić mu zarzuty.

Clay podszedł do okna, wyjrzał na ulicę. Pani Rafferty wyszła przed dom po poranną gazetę, sąsiad obok wieszał na drzewach w ogrodzie świąteczne lampki. Życie toczyło się normalnie, aż trudno było uwierzyć, że gdzieś czai się szaleniec, gotów w każdej chwili znowu zaatakować.

– W ładnej okolicy mieszkacie – zauważył Dawson, który z racji swojego wieku nie mógł się zdecydować, czy mówić znacznie młodszym od niego LeGrandom po imieniu, czy też pozostać przy bardziej oficjalnej formie. – Człowiek ani by przypuszczał, że mogą się tutaj kręcić jakieś podejrzone indywidua – powiedział, jakby czytał w myślach Claya.

Clay włożył ręce do kieszeni, powoli odwrócił się od okna.

– Wiem. Wychowałem się w tym domu. Kiedy ożeniłem się z Frankie, rodzice kupili sobie nowy, a nam zostawili ten. Znam tutaj niemal wszystkich. Nic się nie zmienia od lat, wszystko trwa na swoim miejscu.

Dawson pokiwał głową.

– Tak, wiem, o czym pan mówi. Taka swojskość to miłe uczucie. Nawet jeśli może się wydawać, że życie płynie nieco monotennie, zasiedzenie w jednym miejscu daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa.

– Co daje poczucie bezpieczeństwa? – zainteresowała się Frankie, wchodząc do bawialni w towarzystwie Ramseyego niosącego dwa kubki kawy.

– Ta ulica... okolica – powiedział Clay. – Mówimy właśnie o tym, że na naszej ulicy od lat nic się nie zmienia.

Frankie wzruszyła ramionami.

– Z wyjątkiem lokatorów pani Rafferty, ma się rozumieć.

Clay zamarł na sekundę, po czym gwałtownie odwrócił się do okna i zaczął

uważnie przyglądać się szaremu samochodowi zaparkowanemu po drugiej stronie ulicy.

– O co chodzi? – zapytał Dawson.

– Kilka dni temu pani Rafferty znowu wynajęła mieszkanie nad garażem.

– I co z tego? – dopytywał się Dawson.

– Jej nowy lokator miał tylko dwie walizki i pudło z książkami.

Dawson zmarszczył brwi.

– Żadnych mebli?

– Mieszkanie jest umeblowane – wyjaśniła Frankie.

– Sprawdzimy go – powiedział Dawson. – Brak bagaży to jeszcze nie przestępstwo. Są ludzie, którzy mają niewiele rzeczy.

– Ma pan rację – przytaknął Clay. – Chyba ponosi mnie wyobraźnia. Wyciągam pochopne wnioski.

– Nie, synu. Powiedziałbym raczej, że jesteś po prostu ostrożny – uspokoił go Dawson. – W zaistniałych okolicznościach trudno mieć o to do ciebie pretensje.

W kilka minut później policjanci pożegnali się i odjechali.

Clay spojrzał z troską na zmęczoną, wymizerowaną twarz żony.

– Kładź się do łóżka, kochanie.

– Nie będę się z tobą kłócić, ale czuję się dobrze. Tylko jakoś dziwnie – dodała Frankie po chwili.

– Spróbuj usnąć – polecił Clay, łagodnie popychając żonę w stronę sypialni – a ja zadzwonię do rodziców. Muszę powiedzieć ojcu, że zostaję dzisiaj w domu.

Simon Law chodził niespokojnie po pokoju. Od samego rana był zdenerwowany, poirytowany. Zbliżył się do okna i zerknął ostrożnie zza firanki. Gliny ciągle były w domu naprzeciwko.

– Cholera, cholera, cholera!

Pharaohowi nie będzie się to podobało. Mówił mu, żeby był dyskretny. Nie zwracał na siebie uwagi. Nie posłuchał szefa. Zachciało mu się sprawdzać system alarmowy! Myślał, że w nocy załatwi to bez problemu. Skąd mógł wiedzieć, że ten cholerny śnieg ni stąd, ni zowąd przestanie padać?

Trudno. Jedyna pociecha w tym, że ślady urywały się przy chodniku. Gliny mogą węszyć, nic nie wywęszą. Samochód też był czysty. Na wczorajszą robotę „pożyczył” sobie jakiś wóz, potem porzucił go w śródmieściu. Cała akcja trwała kwadrans. Właściciel pewnie nie zdążył jeszcze zgłosić kradzieży, kiedy Simon bezpiecznie siedział już w domu.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Tylko ten cholerny śnieg... Popsuł mu szyki.

Policjanci wyszli od LeGrandów. Simon odetchnął z ulgą. Chwała Bogu, skończyli!

Nie. Zatrzymali się na ulicy i nad czymś naradzali, wskazując na okna wynajmowanego mieszkania.

Spokojnie – powiedział do siebie. To jeszcze nic nie znaczy. Kiedy ruszyli w stronę domu pani Rafferty, ogarnęła go panika. Nie zastanawiając się, co robi, chwycił płaszcz, telefon komórkowy i uciekł wyjściem przeciwpożarowym na tyły posesji, a stamtąd przez płot i zaułek przedostał się na sąsiednią ulicę.

Dawson i Ramsey na próżno pukali do drzwi.

– Nie ma go – stwierdził w końcu Ramsey.

Dawson spojrzał na ulicę.

– Dziwne. Jego samochód stoi. Na spacerzy trochę za zimno. Zamień kilka słów z gospodynią, a ja się rozejrzę wokół domu – powiedział i ruszył na tyły posesji.

W chwilę później znalazł w śniegu świeże ślady, które urywały się pod płotem. Zbyt wiele lat był policjantem, by nie obudziły się w nim podejrzenia.

Wrócił na ulicę, zapisał numer rejestracyjny samochodu tajemniczego lokatora pani Rafferty i wsiadł do swojego wozu. Próbował właśnie połączyć się z centralą, gdy wrócił Ramsey.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał partnera.

Ramsey wzruszył ramionami.

– Niczego szczególnego. Dała ogłoszenie do gazety. Facet zgłosił się, powiedział, że chce wynająć mieszkanie na dłużej. Przedstawił się jako Peter Ross.

– Mówiła ci, z czego ten jej lokator żyje?

– Nie pytała go, on sam nic nie powiedział. Starsza pani twierdzi, że musi wynajmować mieszkanie, żeby wyżyć, i że dopóki lokatorzy są spokojni, nie wnika, kim są i co robią.

Dawson pokiwał głową.

– Podalem przed chwilą dziewczynom od nas numer rejestracyjny samochodu tego faceta. Po powrocie na posterunek powinna już na nas czekać informacja.

– Co o tym wszystkim myślisz? – zapytał Ramsey.

Dawson oparł łokcie na kierownicy, zerknął na dom LeGrandów, potem na dom pani Rafferty.

– To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Aż nie chce się wierzyć, że nowy lokator pani Rafferty szpieguje Francescę LeGrand.

– Mnie też się tak wydaje – przytaknął Ramsey.

– Kłopot w tym, że wcześniej też nie chciało mi się wierzyć i popatrz, co mamy. A gotów byłem założyć się o swoją emeryturę, że Clay LeGrand zabił żonę. – Posłał partnerowi szybkie spojrzenie i uruchomił silnik. – Na szczęście się nie założyłem, bo na starość nie miałbym z czego żyć.

Kilka przecznic dalej Simon Law zatrzymał się wreszcie, odetchnął po wyczerpującym biegu, wyjął telefon komórkowy, wystukał numer i czekał, aż usłyszy głos swojego pana.

Manikiurzystka była młoda, drobna, o kruchej orientalnej urodzie, ale Pharaoha nie interesowała jej uroda, tylko własne paznokcie. Allejandro zwykł powtarzać, że poziom inteligencji człowieka mierzy się ilością brudu za jego paznokciami. Pharaoh nie chciał, by szef zważył w jego inteligencję.

– Odbierz, Duke – zawołał wściekły, kiedy dzwonek telefonu przerwał mu seans kosmetyczny.

Duke bezzwłocznie wykonał polecenie.

– Needham, słucham.

– Duke? Tu Simon. Mam kłopoty. Muszę gadać z Pharaohem.

Duke zawahał się.

– Szeffie...

Pharaoh machnął niecierpliwie ręką.

– Powiedziałem ci przecież, załatw sam tę sprawę.

– Dzwoni Law. Mówi, że ma jakieś kłopoty.

– Wynoś się – polecił Pharaoh manikiurzystce i na wszelki wypadek zawołał do Duke'a: – Zabierz ją stąd. Natychmiast.

Po chwili mógł już swobodnie rozmawiać.

– Carn, słucham.

Simon trząśł się z zimna. Nogi miał lodowate, zaczynał siąkać nosem. Z rozczuleniem pomyślał o farmie ojca daleko w Illinois i o tym, jakie spokojne wiódł tam życie.

– Sytuacja trochę się skomplikowała – zameldował. – Musiałem uciekać z mieszkania, które wynająłem.

– Co się stało? – zapytał spokojnie Pharaoh.

Simon trząśł się nie tylko z zimna, ale i ze strachu. Stokroć bardziej wolałby usłyszeć ciskane przez Carna przekleństwa niż ten lodowaty uprzejmy ton.

– LeGrand wezwał gliny. Posiedzieli w jego domu, a potem przyszli do mnie.

– Dlaczego? Skoro przyszli, musieli mieć jakiś powód.

Simon wahał się przez moment, a potem wyrzucił z siebie całą prawdę.

– Ostatniej nocy sprawdzałem alarm w ich chacie, wie pan. Mają zainstalowany jakiś najnowszy system. Będzie trudno dostać się do środka.

Poszedłem tam po ciemku. Rozejrzałem się. Mówił pan, żebym miał ich cały czas na oku, pamięta pan?

Pharaoh zamknął oczy, wziął głęboki oddech. Z trudem hamował wściekłość.

– Mówilem też, że masz się nie rzucać w oczy.

– No tak, ale myślałem, że...

– Nie płacę ci za myślenie, tylko za wykonywanie rozkazów.

– Toteż wykonuję pana rozkazy, szefie. Tego prywatnego załatwiłem, jak pan kazał.

– A teraz sam dasz się załatwić – warknął Pharaoh.

– Wykluczone, szefie.

– Czego w takim razie chcieli ci gliniarze? – zapytał Pharaoh.

Simon wziął głęboki oddech.

– Ślady. Zostawiłem ślady. Było widać, że kręciłem się koło domu. Skąd, do cholery, mogłem wiedzieć, że śnieg przestanie padać? Od mojego przyjazdu tutaj nic tylko sypie. Nie wiedzą, że to ja – dodał na swoje usprawiedliwienie. – Ślady urywają się przy chodniku.

Pharaoh przestał panować nad sobą.

– Nie przyszło ci do głowy, idioto, że dopiero co pojawiłeś się w okolicy i że najpierw przyjdą właśnie do ciebie?! – huknął drżącym z wściekłości głosem.

– Co mam robić? Pharaoh zerknął na zegarek.

– Wiesz, gdzie jest dworzec autobusowy?

– Nie, ale znajdę.

– Za dwie godziny ktoś będzie tam na ciebie czekał.

Simon odetchnął z ulgą.

– Dzięki, szefie. I przepraszam. To się już więcej nie powtórzy – powiedział cicho i wyłączył się.

Tak jak obiecał, Simon pojawił się na dworcu autobusowym pięć minut

przed umówionym czasem. Rozejrzał się po pustej hali i ruszył w stronę toalet.

Zaczął właśnie rozpinąć spodnie, kiedy drzwi się otworzyły. Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął.

– Cześć, Pauli. Chwila, zaraz będę do twojej dyspozycji.

– Nie spiesz się – powiedział Pauli, po czym stanął za plecami Simona i przejechał mu nożem po gardle.

Simon nie żył, zanim zdążył krzyknąć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Betty LeGrand na palcach podeszła do drzwi sypialni, sprawdziła, co z synową, i równie cicho wróciła do bawialni.

– Jak tam mała? – zapytał Winston, stawiając na stoliku dwa kubki ze świeżo zaparzoną kawą.

– Zdrzemnęła się, dzięki Bogu. Niech trochę odpocznie, biedactwo.

– Niezłe zamieszanie, co? – zagadnął, kiedy żona usiadła w fotelu i wzięła do ręki jakiś ilustrowany magazyn.

Betty podniosła głowę.

– „Zamieszanie” to chyba nie najlepsze określenie. Naprawdę się martwię o te nasze dzieciaki. Ze zgryzoty spać nie mogę po nocach.

Winston uśmiechnął się i czułym gestem odgarnął niesforny kosmyk z policzka Betty.

– To już nie dzieci, kochanie.

– Wiem – przytaknęła z westchnieniem. – Ale ty też wiesz, co mam na myśli. Nasze dzieci zawsze pozostaną dla nas dziećmi, żeby nie wiem ile miały lat.

– Clay mówił, o której ma wrócić?

– Wczesnym popołudniem. Jak tylko wyda zlecenia kierownikowi budowy. Chce zacząć kłaść izolację w zachodnim skrzydle.

Winston pokiwał głową i upił łyk kawy.

– Ten kontrakt na budowę szpitala powinien postawić chłopaka na nogi.

– Dobrze sobie radzi nasz syn, prawda? – powiedziała Betty z uśmiechem i położyła dłoń na kolanie męża. – Ale bo też od początku miał dobrego nauczyciela.

– Tu zadumała się na moment, po czym zapytała z troską w głosie: – Wybrniemy jakoś z kłopotów, jak myślisz, Winstonie?

Winston odstawił kawę i objął żonę serdecznie.

– Na pewno, moja droga. Frankie powoli odzyskuje pamięć i coraz więcej

sobie przypomina, a im więcej sobie przypomina, tym lepiej dla nas wszystkich. Wreszcie wiemy, kim jest porywacz, znamy przeciwnika.

Betty otrząsnęła się, położyła głowę na ramieniu Winstona.

– Nie będę spokojna, dopóki ten człowiek nie trafi za kratki.

– Policja go szuka. To tylko kwestia czasu – pocieszał ją Winston.

Obydwoje zamilkli. Betty wróciła do swojego magazynu ilustrowanego, Winston popijał kawę. Pod domem przejechał policyjny wóz patrolowy.

Frankie obudziła się po półgodzinnej drzemce.

– Zjrzę do niej – powiedziała Betty. – Może będzie miała ochotę na talerz gorącej zupy albo szklankę soku.

Wstała i szybko przeszła do sypialni.

– Jak się czujesz, kochanie? – zagadnęła od progu.

Frankie właśnie wyszła z łazienki.

– Chyba trochę lepiej.

– Zjesz coś? Może podgrzeję ci trochę zupy albo...

Na wspomnienie jedzenia Frankie pobladła, jęknęła i zniknęła w łazience.

– Przepraszam, nie powinnam wypowiadać słowa j-e-ś-ć – zaczęła usprawiedliwiać się Betty, kiedy synowa wróciła do sypialni.

Frankie uśmiechnęła się słabo.

– Ale literować możesz. To jakoś znoszę.

Betty parsknęła cichym śmiechem.

– Nudności to okropna rzecz. Kiedy byłam w ciąży z Clayem, wymiotowałam co rano przez kilka pierwszych tygodni.

Już chciała wejść do łazienki, kiedy ponownie usłyszała jęk Frankie. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła jej zaszokowaną minę.

– Znowu, kochanie? – zapytała z troską.

Frankie chwyciła ją za rękę, nie mogąc dobyć głosu z gardła.

– Co się dzieje, Francesco? Jak ci pomóc?

Frankie zaczęła drżeć gwałtownie.

– Okres... – wyjąkała. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam okres.

Na twarzy Betty pojawił się pełen zrozumienia uśmiech.

– Ależ to cudownie, kochanie.

Frankie nie podzielała jej zdania. Przed oczami znowu pojawił się koszmar ze snów. Pharaoh...

– Nie rozumiesz, Betty. Kiedy mnie nie było... Jeśli... Skąd będę wiedziała?

Dopiero teraz Betty pojęła przerażenie synowej. Usiadła ciężko na łóżku obok Franceski i wzięła ją w ramiona.

– O Boże... O Boże... Jeśli jestem w ciąży... To może być dziecko tamtego, nie Claya. – Francesca nie mogła się uspokoić.

– Nie myśl o tym, kochanie. Cicho, już cicho – szeptała Betty. – To twoje dziecko. Jeśli mój syn choć trochę jest mężczyzną, a myślę, że jest, powinno mu to wystarczyć. On cię kocha, Frankie, kocha tak, że świata poza tobą nie widzi. Kiedy zniknąłś, bałam się, że zwariuje. Najgorsza była niewiedza, nie rozumiesz tego? Zgadywanie, żyjesz czy nie żyjesz.

Betty westchnęła, po czym podjęła na nowo:

– Jeżeli jesteś w ciąży... nawet gdyby to nie było dziecko Claya... jest częścią ciebie. – Wyciągnęła z pudełka kilka chusteczek i podała je Francesce. – Masz, wysiąkaj nos i otrzyj łzy. Nie ma się co mazać. Na razie nie wiesz, czy jesteś w ciąży. Jak już się upewnisz, wtedy możesz się zastanawiać nad tym, w jaki sposób masz dokonać na sobie autodestrukcji – dodała żartem.

Frankie uśmiechnęła się przez łzy na te słowa.

– Nie zamierzam dokonywać żadnych aktów autodestrukcji – oznajmiła kategorycznie. – Zbyt długo walczyłam o to, by wrócić do domu, do dawnego życia, żeby teraz kończyć ze sobą.

– I bardzo dobrze. Taką właśnie chcę cię słyszeć. Ubierz się teraz, a ja przygotuję ci grzanki i herbatę, to powinno uspokoić twój biedny żołądek. Zaraz wyślę Winstona do apteki po test ciążowy i za godzinę będziemy wiedziały, na czym stoimy. Dla Winstona to będzie ciężka próba. – Betty uśmiechnęła się do

własnych myśli. – Ten człowiek skręca się ze wstydu, kiedy ma mi kupić pastę do zębów. Wiele bym dała, żeby widzieć jego minę, kiedy podchodzi do kasy z testem ciężo wym.

– Nie pomyślałam o tym – Frankie wyraźnie się speszyła. – Może nie powinniśmy...

– Ubieraj się. Winston jakoś to przeżyje. Perspektywa zostania dziadkiem tak go pewnie ucieszy, że zapomni o zażenowaniu.

Betty cmoknęła synową w policzek i wyszła z pokoju. Frankie ciężko osunęła się na łóżko. Wydarzenia toczyły się z zawrotną szybkością, niosąc ją ku nieznannej przyszłości. Nie pozostawało jej nic innego, jak zdać się na ich bieg.

– Dawson, masz jakąś wiadomość na biurku.

Avery podziękował koledze i szybko podszedł do swojego biurka, rad, że znowu znalazł się w ciepłym biurze. Mina mu zrzedła, kiedy przeczytał czekający na niego faks.

– Nie wyglądasz na zbyt uszczęśliwionego – zauważył Ramsey.

– Samochód, który widzieliśmy przed domem pani Rafferty, zarejestrowany jest na niejaką Carlę Brewer z Escondido w Kalifornii. Tydzień temu zgłosiła jego kradzież.

– Niech to cholera – mruknął Ramsey. – Co to oznacza?

– To oznacza, że facet, który wynajął mieszkanie naprzeciwko domu LeGrandów, jest złodziejem i kłamcą, ale nie musi być Jasiem Podglądaczem ani mieć nic wspólnego ze zniknięciem Franceski LeGrand.

– A nazwisko, które podała nam pani Rafferty. Masz coś na ten temat?

Dawson ponownie zerknął na faks, po czym przesunął kartkę w stronę Ramseya.

– Nic. W naszych bazach danych są setki facetów o takich personaliach. Peter Ross. Równie dobrze mógłby powiedzieć John Smith. Zważywszy, że używa kradzionego samochodu, nie przypuszczam, by podał swoje prawdziwe nazwisko.

– Może zaprosimy panią Rafferty do siebie i pokażemy jej nasze albumy ze zdjęciami, co o tym myślisz? – zapytał Ramsey.

Dawson wzruszył ramionami.

– Czemu nie. Nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia.

Kiedy Ramsey odwrócił się do swojego biurka, dodał jeszcze:

– Zawiadom policję w Escondido, że znaleźliśmy skradziony samochód. Idę teraz pogadać z kapitanem.

Frankie chodziła niespokojnie po bawialni, czekając na powrót Winstona.

– Usiądź, moja droga. Odpręż się. Zamartwiasz się na wyrost – próbowała uspokoić ją Betty.

– Znowu wóz patrolowy – powiedziała Frankie, nie słysząc słów teściowej, i nagle odwróciła się od okna. – Powinnaś mnie znienawidzić – oświadczyła nieoczekiwanie.

Zdumiona Betty upuściła na kolana robótkę, którą właśnie dziergała.

– Co ty wygadujesz, kochanie? Dlaczego, na litość boską, miałabym cię nienawidzić?

– Popatrz, co zrobiłam z życiem twojego syna. Czuję się brudna, zbrukana. I przerażona jak dziecko, które wie, że zrobiło coś złego, ale nie rozumie, dlaczego.

– Ależ to zupełny absurd – obruszyła się Betty, wskazując miejsce obok siebie na kanapie.

Frankie tylko pokręciła głową.

– Nie, nie usiedziałyby w jednym miejscu ani chwili. – Jakby na potwierdzenie prawdziwości swoich słów, znów podeszła do okna. – O Boże, Clay już wrócił – jęknęła głucho.

Betty odłożyła robótkę, podniosła się z kanapy, ale nie zdążyła zatrzymać Frankie; ta wypadła już z pokoju i zniknęła w sypialni. Betty z ciężkim sercem

podeszła do drzwi, by wpuścić syna.

– Cześć, mamó. Gdzie się podział twój samochód? – zagadnął Clay od progu.

– Wysłałam tatę po zakupy. Zaraz powinien być z powrotem.

Clay skinął głową, odwiesił płaszcz i pocałował matkę w policzek.

– Jak Frankie?

Betty uśmiechnęła się, choć przyszło jej to z niejakim trudem.

– Sam ją o to zapytaj.

W głosie Betty zabrzmiała jakaś nuta, która go zaniepokoiła.

– Stało się coś?

Betty uśmiechnęła się.

– Z mojego punktu widzenia absolutnie nic, ale idź, porozmawiaj ze swoją żoną.

Clayowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. W kilku krokach przemierzył hol, otworzył drzwi do sypialni.

– Frankie? Coś się stało? Gorzej się czujesz? Chcesz, żebym wezwał lekarza?

Odwróciła się powoli od okna.

– Och, Clay. Ja... – nie mogła mówić dalej.

Na widok jej twarzy serce mu się ścisnęło. Podeszedł, pociągnął ją w stronę łóżka.

– Usiądź, chcę cię mieć blisko siebie, kiedy będziemy rozmawiać.

– Muszę cię o coś zapytać – szepnęła.

Miał ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić, ale czuł, że Francesca akurat w tej chwili nie przyjęłaby żadnego serdecznego gestu. Potrzebowała wokół siebie własnej przestrzeni, której nie powinien naruszać.

– Być może niepotrzebnie wpadam w panikę – zaczęła.

– No to jest nas już dwoje – pocieszył ją i odgarnął jej kosmyk włosów za ucho.

Próbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech zamienił się w grymas; jeszcze chwila, a gotowa wybuchnąć płaczem.

– Twoja mama powiedziała dziś rano coś, co dało mi do myślenia.

Clay zeszywniał. Nie wyobrażał sobie, żeby jego matka czymkolwiek, kiedykolwiek mogła urazić Francescę.

– Co powiedziała?

Dopiero z tonu głosu męża Frankie zorientowała się, że użyła niefortunnego określenia. Nie tak zaczęła rozmowę, jak powinna.

– Nic złego. Źle się wyraziłam. Po prostu współczuła mi, że ciągle wymiotuję i że ona czuła się podobnie, kiedy była z tobą w ciąży.

– I? – zapytał Clay z napięciem w głosie.

Frankie wzięła głęboki oddech i spojrzała mu prosto w oczy.

– I... uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, kiedy miałam ostatni okres. Ale pamiętam za to twarz Pharaoha... blisko... tuż nad moją. I świadomość, że za chwilę mnie zgwałci.

Clay poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pięścią między oczy. Przez twarz Franceski przemknęła niepewność, lęk. Nachylił się ku niej, dotknął wargami jej ust. Po chwili odsunął się.

– Francesco.

– Tak?

– Spójrz na mnie.

Podniosła na niego pytające spojrzenie.

– Pamiętasz naszą umowę?

Zamrugła gwałtownie powiekami. Spodziewała się zupełnie innej reakcji.

– Jaką umowę? – wykrztusiła.

– Że ja znajdę imię dla naszego pierwszego dziecka.

Naszego. Powiedział naszego.

Nie mogła wydobyć głosu z gardła.

– Pamiętasz? – powtórzył.

Łzy napłynęły jej do oczu,

– Tak.

– Zatem jeśli rzeczywiście jesteś w ciąży, muszę zabrać się do sporządzania listy, bo nasze dziecko musi mieć nie byle jakie imię.

Zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała się.

Avery Dawson położył przed Anną Rafferty kolejny zbiór policyjnych zdjęć przestępców i powoli otworzył go.

– Proszę mi wierzyć, że doceniam pani chęć pomocy i dziękuję za cierpliwość.

Anna Rafferty westchnęła.

– To już chyba siódmy albo ósmy album.

Dawson skrzywił się niezauważalnie. Starsza pani już miała dość, a obejrzała zaledwie ułamek tego, co było do przejrzenia.

– Tak, proszę pani.

Pani Rafferty westchnęła ponownie.

– No, może jeszcze ten jeden – zgodziła się z wahaniem i zaczęła przewracać wypełnione fotografiami strony. Nagle zatrzymała się, wskazując palcem na jedną z nich;

– Proszę spojrzeć!

Dawson zerwał się z krzesła.

– To on? To ten człowiek, który wynajął u pani mieszkanie?

– Nie – odparła. – Ale wygląda zupełnie jak papa za młodych lat. Niesamowite. Powiadają, że każdy z nas ma swojego sobowtóra. Mój Boże, papa dostałby chyba apopleksji, gdyby wiedział, że jego sobowtorem jest pospolity bandyta.

Dawson opadł z powrotem na krzesło, połykając przekleństwa, które cisnęły mu się na usta.

– Zapewne, łaskawa pani, zapewne, ale będę wdzięczny, jeśli zechce pani oglądać dalej. To dla nas niezwykle ważne, czy rozpozna pani wśród tych zdjęć swojego lokatora.

Skinęła głową i znowu zaczęła przerzucać strony albumu. Ramsey zachichotał w mankiet, Dawson wznosił oczy do nieba, prosząc Boga o cierpliwość.

– On! – zawołała z triumfem, kiedy w chwilę później za namową Dawsona otworzyła kolejny album.

– Co on? – zapytał ostrożnie Dawson, oczekując już, że za chwilę usłyszy, jak bardzo mężczyzna na zdjęciu przypomina Annie nieboszczyka męża, drogiego Edwarda, o którym zdążył już dowiedzieć się całkiem sporo.

– To ten człowiek. Ten, który wynajął u mnie mieszkanie – oznajmiła starsza pani.

Dawson podniósł się zza biurka, spojrzał pani Rafferty przez ramię.

– Na pewno?

– Bez wątplenia. Mam niezłą pamięć do twarzy. O, widzi pan, jedna brew uniesiona wyżej? Nie powiedziałam mu tego, oczywiście, ale z tą brwią wygląda, jakby ciągle był zdziwiony z jakiegoś powodu.

– Simon Law – Dawson odczytał informację pod zdjęciem i rzucił pod adresem Ramsey: – Sprawdź szybko, co mamy na jego temat. – Tu zwrócił się ponownie do pani Rafferty: – Ogromnie nam pani pomogła, serdecznie dziękuję. Detektyw Adler odprowadzi panią do wyjścia.

– Czy ktoś mógłby zamówić mi taksówkę? – zapytała.

– Nie ma potrzeby. Nasz wóz patrolowy odwiezie panią do domu.

Pani Rafferty ożywiła się na tę wiadomość.

– Coś takiego! Prawdziwy wóz policyjny! Gdyby mój drogi Edward mógł to zobaczyć. – Zachichotała. – Papa zawsze powtarzał, że prędzej czy później prawo się mną zajmie.

Dawson odchylił głowę i wybuchnął serdecznym śmiechem. Po całym dniu ciężkiej pracy zabawny komentarz starszej pani był miłą odmianą. Pomógł podnieść się staruszce, uścisnął jej dłoń.

– Proszę tylko nie uwodzić naszych chłopców, pani Rafferty, bo będę musiał panią aresztować. I niech się pani nie przejmuję Rossem. W mieszkaniu czeka już na niego dwóch ludzi, zatrzymają go, jak tylko wróci do domu.

Kiedy starsza pani wyszła, Dawson sięgnął po kubek. Z braku czasu na zjedzenie lunchu musiał się obyć kawą.

Betty i Winston wrócili do domu, zostawiając dzieci same w tej ważnej dla nich chwili. Clay leżał na łóżku, oparty plecami o zagłówek.

Między jego nogami umościła się Frankie, głowę położyła na piersi męża, czuła jego ciepły, miarowy oddech na karku, bicie jego serca. W dłoni trzymała test ciążowy, niby bombę zegarową, która lada chwila wybuchnie.

– Już czas? – zapytała.

– Jeszcze minuta.

Westchnęła ciężko.

– Spokojnie, Frankie. Każdy wynik będzie dobrym wynikiem.

– Wiem – przytaknęła cicho.

Czekali.

Chociaż nie odrywała wzroku od wskazówki minutowej zegara, drgnęła zaskoczona, kiedy usłyszała tuż przy uchu głos Claya:

– Już czas.

Zacisnęła palce na teście, bojąc się spojrzeć. Clay przesunął dłonią po jej

brzuchu.

– Kocham cię, Francesco.

Podniosła powoli test, ale przez łzy nic nie widziała, usłyszała tylko, że Clay powoli wypuścił z płuc powietrze, jakby długo wstrzymywał oddech. Już wiedziała, że test wypadł pozytywnie.

To był najcudowniejszy i najbardziej przerażający moment w całym jej życiu. Będzie miała dziecko, ale czyje?

I znowu Clay, niezawodny jak zawsze, przyszedł jej z pomocą.

– Musimy zadzwonić do rodziców – zdecydował szybko. – Od lat czekają, kiedy wreszcie zostaną dziadkami. Oszaleją ze szczęścia.

Frankie uwolniła się z objęć Claya, spojrzała mu w twarz.

– A ty, Clay? Ty też oszalejesz ze szczęścia?

Clay z uśmiechem pokręcił głową, jakby nie wierzył, że Francesca może o to pytać.

– Już oszalałem. Nie ma mnie. Rozpłynąłem się w powietrzu. Jesteś tylko ty i dziecko – oznajmił z powagą, po czym wyszczerzył zęby. – Będę ojcem. Powiemy rodzicom, a potem musimy to uczcić.

Frankie poczuła się odrobinę raźniej. Tylko odrobinę, ale dość, by uwierzyć, że i przez tę próbę przejdą pomyślnie.

– Nie mam ochoty wychodzić z domu w taką pogodę.

– W takim razie coś sobie zamówimy. Ty wybieraj, ja zadzwonię.

Co wybrać? Nagle poczuła, że wspólny obiad to najlepszy pomysł, na jaki można było wpaść.

– Co powiesz na chińszczyznę? A może chcesz pizzę?

– Przede wszystkim chcę ciebie – powiedział cicho, przyciągając żonę do siebie. Położył dłoń na jej brzuchu. – Ej, maleństwo, słyszysz mnie? Rośnij duże i zdrowe. Czekamy na ciebie.

Frankie łzy nabiegły do oczu. Słowa Claya zupełnie ją rozbroiły.

– Kocham cię, Clayu LeGrand.

Clay uśmiechnął się szeroko.

– Wiem.

Uszczypnęła go lekko w ramię, że taki okropnie pewny siebie.

– Miałeś powiedzieć: „Ja ciebie też kocham”.

Clay nie przestawał szczerzyć się w uśmiechu.

– To byłoby takie oczywiste, kochanie.

Francesca parsknęła wesoło na te słowa.

– A na to nie możemy sobie pozwolić, prawda?

– Nie możemy – przytaknął Clay. – Tata zawsze powtarza, że kiedy kobieta wie, gdzie jest jej mężczyzna o każdej porze dnia, już po nim.

Frankie przesunęła palcem po policzku męża.

– A więc przygotuj się, że już po tobie, bo na najbliższe osiem, dziewięć miesięcy zamierzam wziąć cię pod pantofel.

Clay zachichotał i zaczął ściągać sweter z Franceski.

– Co tam, osiem miesięcy. Spróbuj wziąć mnie pod pantofel na resztę życia.

Frankie westchnęła, kiedy wziął ją w ramiona.

– Na resztę życia? Z przyjemnością.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wstał szary, zimny ranek. Wiatr przewiał śnieg, ślady wokół domu zniknęły, ale i bez nich Clay aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę z wiszącego nad Frankie niebezpieczeństwa, czuł jej narastający z każdym dniem strach.

Nie spała już. Leżała w łóżku, pogryzając, za radą Betty, słone paluszki. Clay odwrócił się do niej z uśmiechem: nie chciał pokazywać, jak bardzo się martwi.

– Słyszę, że mysz mi się zagnieżdziła w łóżku.

– Bo też czuję się jak mysz – powiedziała Frankie, strząsając z pościeli okruszki. – A niech to, ale naśmieciałam.

– Mogło być gorzej – pocieszył ją Clay.

Frankie wzniosła oczy do nieba: rzeczywiście, wczoraj rano było znacznie gorzej, dzisiaj, na szczęście, nie męczyły jej mdłości. Clay zachichotał.

– Zrobić ci herbatę?

Po chwili zastanowienia pokiwała głową. Tak, herbata nie powinna jej zaszkodzić.

– Świetnie, ja też się napiję.

Frankie chciała wstać z łóżka, ale Clay ją powstrzymał.

– Leż, kochanie, ja się wszystkim zajmę.

Opadła z powrotem na poduszki.

– Mam nadzieję, że te poranne nudności wkrótce miną.

– Musisz koniecznie pójść do naszego lekarza, może zapisze ci coś, co pomoże. Idę do kuchni i zaraz wracam.

Ledwie Clay wyszedł z sypialni, rozdzwonił się telefon. Frankie chciała podnieść słuchawkę, ale zanim się obróciła w łóżku, dzwonek zamilkł. Po chwili w progu pojawił się Clay z telefonem bezprzewodowym w dłoni.

– Odbierz, kochanie. Dzwoni Addie Bell z Kitteridge House. Ma ci coś ważnego do powiedzenia.

Frankie natychmiast podniosła słuchawkę.

– Addie?

– Frankie! Słyszę, że są powody do gratulacji.

Frankie spojrzała na głupekowato uśmiechniętego Claya i westchnęła z rezygnacją. Co za papla z tego jej męża. Ale właściwie powinna się cieszyć. Skoro Clay tak chętnie dzieli się ze wszystkimi wiadomością o dziecku, to znaczy, że naprawdę je zaakceptował.

– Trochę nas zaskoczyła ta wiadomość – powiedziała.

– Domyślam się. Ale wracajmy do sprawy. Dzwonię z powodu tego chłopca. Może to nic ważnego, w każdym razie po waszej wizycie usiłowałam przypomnieć sobie wszystko, co pamiętam na jego temat. Wczoraj wieczorem oglądałam jakiś film i nagle coś przyszło mi do głowy.

– Co takiego? – zapytała Frankie.

– Pharaoh Carn ma tatuaż. Pewnego wieczoru uciekł z Kitteridge i kazał go sobie zrobić. Miał wtedy jakieś piętnaście, szesnaście lat. Byłam wściekła i o to, że uciekł, i że inni chłopcy pójdą za jego przykładem i też będą chcieli mieć tatuaże.

Frankie odruchowo dotknęła karku, a Addie mówiła dalej:

– To był egipski znak, krzyż z taką dziwną pętlą na górze. Chyba złoty... jeśli dobrze pamiętam.

– Zamilkła na moment. – Wiem, że to niewiele, ale pomyślałam, że powinnam zadzwonić.

Frankie przesunęła się na skraj łóżka, serce biło jej gwałtownie.

– Och, Addie, nie wiesz nawet, ile to dla nas znaczy. Czy zgodzisz się, żebym dała twój numer telefonu policjantom, którzy zajmują się moją sprawą? Może będą chcieli, żebyś potwierdziła im osobiście tę informację.

– Oczywiście. Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli tylko mogę w czymś pomóc.

– Bardzo dziękuję za telefon.

– Odzywaj się. Chciałabym wiedzieć, czy będziecie mieli córkę, czy syna.

– Będziemy dzwonić – przyrzekła Frankie, odłożyła słuchawkę i spojrzała na

Claya.

– Może to jest wreszcie dowód, na którym tak zależało Dawsonowi?

Clay wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wkrótce się przekonamy. Jak się czujesz?

Frankie strzepnęła okruchy z pościeli.

– Jak ktoś, kto je krakersy w łóżku. Clay się uśmiechnął.

– Herbata już gotowa. Zaraz ją przyniosę.

– Lepiej nie, bo zaraz wyleję wszystko na pościel. Wypiję w kuchni.

– Na pewno?

Dała mężowi znak ręką, żeby się wynosił.

– Ubiorę się, a ty zadzwoń do Dawsona.

Avery z trudem manewrował po zatłoczonych ulicach, Ramsey zaś najspokojniej w świecie zajadał kanapkę.

– Zwolnij, Avery, do diabła – mruknął, usiłując łyknąć kawy i nie wypuścić kanapki z ręki.

Dawson zerknął na kolegę. – Nie wiem, czy nie będziesz żałował, że się tak opychasz. Facetowi, którego jedziemy obejrzeć, ktoś poderżnął gardło.

– Gorsze rzeczy widziałem. – Ramsey wzruszył ramionami i pochłonął ostatni kęs kanapki i z mielonym kotлетem.

– Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Kiedy detektywi zjawili się w dworcowej toalecie, Frednie, lekarz policyjny, kończył właśnie oględziny ciała.

Na widok zwłok Dawson zrezygnował z zadawania jakichkolwiek pytań.

– Cholera jasna – zaklął pod nosem.

True podniósł wzrok.

– Znajomy?

– Mieliśmy na niego oko.

– Widać nie wy jedni. – True wyprostował się, ściągnął rękawiczki chirurgiczne i wyrzucił je do kosza.

– Długo jeszcze będziesz się z nim bawił? – zapytał Dawson.

– Już skończyłem. – True odwrócił się do swojego asystenta. – Zapakujcie go do worka, Sonny. Dzięki Dawsonowi wiemy przynajmniej, z kim mamy do czynienia.

Dawson po raz ostatni spojrzął na ciało.

– Law. Nazywał się Simon Law.

– Masz coś na temat naszego denata? – zapytał Ramsey wkrótce po powrocie do biura.

– Nie, chyba nie – mruknął Dawson, przerzucając papiery na biurku. – Poczekaj... Coś jest. Aresztowany w Los Angeles pod zarzutem rozprowadzania fałszywych pieniędzy.

– Ile dostał? – zainteresował się Ramsey.

– Nic nie dostał.

– Jak to?

– Tak to. Jego adwokatem był Frederick Mancusco.

Ramsey zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem.

– Mancusco to człowiek mafii. Ściśle mówiąc, doradca prawny Allejandra. Pharaoh Carn pracuje dla Allejandra, a Simon Law wynajmuje sobie ni stąd, ni zowąd mieszkanie akurat naprzeciwko LeGrandów. Jeśli to rzeczywiście Carn uprowadził Francescę...

– Dobrze, dobrze, już chwytam – przerwał przyjacielowi Ramsey. – Co w związku z tym robimy?

Zanim Dawson zdążył odpowiedzieć, na jego biurku odezwał się telefon.

– Mówi Clay – rozległo się w słuchawce. – Mam dla pana informację, detektywie.

Dawson zapisał pospiesznie imię Claya na kartce i pchnął ją w stronę Ramseya, razem z raportem dotyczącym Simona Lawa.

– Tak, słucham.

– Przed chwilą dzwoniła do nas Adeline Bell, dyrektorka sierocińca, w którym wychowała się Francesca. Przypomniała sobie, że Carn, kiedy jeszcze był w Kitteridge, uciekł pewnego wieczoru i kazał zrobić sobie tatuaż.

Dawson poczuł, że serce zabiło mu mocniej.

– Nie powiesz chyba, synu, że przypomniała sobie również, jak ten tatuaż wyglądał?

– Owszem, przypomniała sobie. Mówiła o egipskim krzyżu. Nie pamięta dokładnie, ale ma wrażenie, że był żółty. Czy to wystarczy, żebyście zajęli się Carnem?

– Owszem, wystarczy. O ile nie usunął tego tatuażu. I o ile uda się nam faceta znaleźć. Pamiętaj, chłopcze, że ten człowiek ma ogromne powiązania.

– Nie obchodzą mnie jego powiązania. Chcę tylko, żeby moja żona była wreszcie bezpieczna – warknął Clay i odłożył słuchawkę.

Minęły jeszcze dwa dni, zanim ruszyła machina sprawiedliwości, ale kiedy już ruszyła, wypadki zaczęły toczyć się błyskawicznie.

Do gabinetu Pharaoha jak pocisk wpadł Duke Needham.

– Szefie, dzwonił właśnie mój kumpel z Los Angeles. Mówi, że gliny mają nakaz aresztowania pana i że przeczesują całe miasto.

Pharaoh wypuścił pióro z ręki, poderwał się zza biurka. Francesca! Zbyt długo zwlekał.

– Niech to szlag!

– Co robić, szefie?

Pharaoh podszedł do okna. Chwilę stał bez ruchu z rękami w kieszeniach, wreszcie odwrócił się gwałtownie.

– Każ spakować walizki. Tylko letnie ubrania, dwie, trzy zmiany, nie więcej. Tam, gdzie się wybieramy, zawsze będę mógł coś dokupić.

– A gdzie się wybieramy?

– Allejandro od kilku miesięcy próbuje namówić mnie na wyjazd do Ameryki Południowej. Skorzystamy z jego oferty.

– Tak, proszę pana – przytaknął Duke. – Każę przygotować awionetkę.

– Powiedz pilotowi, że najpierw zawadzimy o Denver.

Duke skrzywił się. Czuł, że obsesja szefa na punkcie tej kobiety skończy się katastrofą.

– Nie wiem, czy w obecnej sytuacji to bezpieczna wyprawa.

– Nie dyskutuj! Zejdź mi z oczu i przygotuj wszystko do wyjazdu.

Kiedy Duke wyszedł, Pharaoh chwycił za słuchawkę telefonu. Zamierzał rozpocząć zupełnie nowe życie, ale najpierw musiał skończyć z przeszłością. Przeszłością Franceski. Wystukawszy numer, przysiadł na blacie biurka. W chwilę później po drugiej stronie rozległ się miękki głos Pepe Allejandra. Pharaoh wziął głęboki oddech.

– Patron! Tu Pharaoh.

– Witaj, mój przyjacielu. Spodziewałem się telefonu od ciebie. Masz poważne kłopoty.

Przez twarz Pharaoha przemknął nerwowy grymas.

– Panuję nad sytuacją, Pepe.

– Co zamierzasz?

– Poczyniłem odpowiednie plany. Przyjmuję twoją propozycję wyjazdu do Kolumbii, ale najpierw chciałem prosić cię o drobną przysługę.

– Słucham cię, przyjacielu.

– Zanim wyjadę, muszę...

– Wiem, o co ci chodzi – przerwał mu Allejandro. – Znowu ta kobieta. To przez nią nawarzyłeś sobie piwa. Nie lubię, jak moi ludzie mieszają interesy z życiem prywatnym, rozumiesz? Słuchaj mnie uważnie. Jeszcze dzisiaj pojedziesz do Nevady. W Tijuanie będzie czekał na ciebie samolot, który zabierze cię do Ameryki Południowej. Kiedy tam już dotrzesz, skontaktujesz się ze mną.

– Nie rozumiesz, Pepe. Ta kobieta przynosi mi szczęście. Bez niej...

– Nie, Pharaohu. To ty nie rozumiesz. – W głosie Allejandra zabrzmiała pogroźka. – To rozkaz. Czy to jasne?

Pharaoh wahał się. Chociaż aż nazbyt dobrze wiedział, jakie mogą być skutki zlekceważenia rozkazu bossa, nie dał mu jasnej odpowiedzi.

– Kiedy dotrę do Tijuany, zamelduję się u Miquela – odparł wymijająco.

– To właśnie chciałem usłyszeć – powiedział Allejandro i odłożył słuchawkę.

Wbrew wyraźnemu poleceniu szefa, Pharaoh nie zamierzał rezygnować z podróży do Denver. Skoro wydano nakaz aresztowania, skoro szukała go policja w całym Los Angeles, Francesca nie mogła się spodziewać jego przyjazdu. To był atut, który postanowił wykorzystać.

Na kuchence pyrkotał garnek z zupą, w całym domu unosił się zapach chleba kukurydzianego. Frankie zerknęła przez okno. Clay nadał odśnieżał ścieżkę prowadzącą do pojemników na śmieci ustawionych w głębi ogrodu. Zamierzała właśnie uruchomić pralkę, kiedy rozdzwonił się telefon. Szybko zatrasnęła szufladkę na proszek, ustawiła programator i podniosła słuchawkę.

– Słucham? Cisza.

– Halo? Słucham?

Cisza, a zaraz potem ktoś się rozłączył.

Odłożyła słuchawkę, wzruszając ramionami. Ktoś, kto wystukał zły numer, mógłby przynajmniej powiedzieć przepraszam.

Wróciła do kuchni, zamieszała zupę, zajrzała do piekarnika, w którym piekł

się chleb. Za kilka minut powinien być gotowy.

Ponownie spojrzęła w okno. Clay gdzieś zniknął. Prawdopodobnie zaczął odśnieżać od frontu.

Wiedziona ciekawością, przeszła do bawialni. Zobaczyła Claya: strącał sople lodu z krawędzi dachu. Uśmiechnęła się, chciała mu pomachać, gdy nagle zgasły wszystkie światła, stanęła pralka. Frankie jęknęła i po omacku przeszła do kuchni, żeby sprawdzić bezpieczniki. W tej samej chwili z za rogu ulicy wyjechał szary sedan, ale Francesca nie widziała, jak podjeżdża pod ich dom i zatrzymuje się przy krawężniku.

Odśnieżanie nie należało do ulubionych zajęć Claya, ale wychował się w Denver i nawykł do tego zajęcia. Skończywszy w ogrodzie, przeszedł na front, odłamując po drodze sople zwisające z krawędzi dachu. Miał już podnieść szufłę po raz drugi, by strącić kolejne sople, kiedy zobaczył w szybie odbicie samochodu zatrzymującego się przed domem. Odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy wysiedli z szarego sedana. Jeden z nich, wyższy, barczysty, miał włosy związane w kucyk. Drugi... Clay zmarszczył czoło. Gdzieś już widział tę twarz. Chryste!

Clay bez namysłu rzucił się w stronę drzwi frontowych, krzycząc imię Frankie.

Strzał był prawie niesłyszalny. Trafił go w plecy, poniżej ramienia, i powalił na ziemię. Clay upadł w pryzmę śniegu.

Duke stanął nad jego znieruchomiałym ciałem.

– Chcesz, żebym...

– Zostaw go – warknął Pharaoh. – W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Szkoda czasu. Zaraz się stąd zwijamy.

Duke niespokojnie obejrzał się za siebie. Ulica sprawiała wrażenie wyludnionej, ale to nie oznaczało jeszcze, że nikt ich nie obserwował. Klął w duchu Pharaoha i jego pomysły. Postawiwszy kołnierz płaszcza, ruszył w stronę drzwi. Kiedy podniósł dłoń, żeby zapukać, Pharaoh chwycił go za nadgarstek.

– Nie.

– Oni mają system alarmowy, szefie – powiedział Duke, wskazując naklejkę na szybie.

– Na pewno wyłączony, a drzwi otwarte, skoro pan Porządnicki kręcił się przed domem.

Duke zerknął ponownie na leżące w śniegu ciało Claya i nacisnął klamkę. Tak jak przewidział Pharaoh, drzwi ustąpiły bez oporu.

Pharaoh wziął głęboki oddech; za chwilę będą znowu razem, już na zawsze.

– Masz, co trzeba? – zapytał.

Duke wydobył z kieszeni pełną strzykawkę,

– Mam, szefie.

– Zatem do roboty. W Tijuanie czeka już na mnie samolot, nie chciałbym się spóźnić na randkę z pilotem.

Frankie wchodziła właśnie do kuchni, gdy usłyszała wołanie Claya. Zatrzymała się, odwróciła. Nagle coś przemknęło jej przez głowę niczym duch przeszłości niosący ze sobą tkwiące głęboko w pamięci obrazy i dźwięki: skrzypnięcie furtki, odgłos otwieranych drzwi frontowych, kroki w holu... i myśl, że to Clay wraca.

Zwodnicza myśl.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

– Clay?

Żadnej odpowiedzi.

– Clay?

Śmiertelna, przeraźliwa cisza.

Bez chwili zastanowienia rzuciła się w stronę sypialni, szarpnęła szufladę komody i wyciągnęła pistolet. Zerknęła: naładowany. Podeszła do okna, skąd widać było maskę stojącego przed domem szarego sedana. Nieopodal samochodu dostrzegła w śniegu kolorową plamę. Zmrużyła oczy, usiłując zobaczyć coś przez oszronioną szybę, i z gardła wyrwał się jej cichy jęk. Clay. Jego kurtka.

Chwyciła słuchawkę telefonu, drżącymi palcami wystukała 911. W chwili kiedy zgłosiła się policyjna operatorka, Frankie usłyszała skrzypnięcie drzwi frontowych.

– Pomocy – szepnęła. – Zawiadomcie detektywa Dawsona. Dzwoni

Francesca LeGrand. Przyszli po mnie.

– Proszę pani... słucham... proszę powiedzieć, o co chodzi – niecierpliwiła się operatorka.

– Mój mąż został zastrzelony. Ci ludzie weszli już do domu – szeptała Frankie.

– Proszę się nie rozłączać. Zaraz wezwę pomoc.

– Pani mnie nie rozumie. Proszę zawiadomić Dawsona. On będzie wiedział.

Odłożyła słuchawkę i bezgłośnie podeszła do drzwi, nasłuchując kroków w holu. Mrugnęły żarówki, ponownie włączono prąd. W martwej ciszy rozległ się szum pobieranej przez pralkę wody. Frankie usłyszała cichy łoskot upadającego na podłogę przedmiotu i czyjeś stłumione przekleństwo.

Spojrzała jeszcze za siebie i wymknęła się do holu. Za nic nie chciała dać się schwytać w pułapkę. Ściskając pistolet w obydwu dłoniach, zaczęła się posuwać krok za krokiem wzdłuż ściany.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Clay otworzył oczy i zobaczył niebo nad głową. Czuł palący ból w plecach. Przez długą chwilę nie mógł przypomnieć sobie, skąd ten ból, co się stało.

Nagle pamięć wróciła, nadal nie wiedział jednak, jak długo leżał w śniegu. Pamiętał. Pamiętał twarz Pharaoha, pamiętał, że głośnym krzykiem próbował ostrzec Frankie. Czy usłyszała? Czy zdążyła uciec? A może, Boże uchronij, tamten znowu ją porwał?

Clay z wysiłkiem, zaciskając zęby, przewrócił się na brzuch, stanął na czworakach. Dopiero teraz zobaczył krew na śniegu.

Mysząc o Frankie, o ich nie narodzonego dziecko, chwycił się najbliższego krzewu i spróbował się podnieść.

Lekcje strzelania nie poszły na marne. Wdech. Wydech. Nie ulegać panice. Palec na spuście. Frankie wiedziała, że jeśli będzie musiała, strzeli bez wahania. Z małego pokoju gospodarczego doszły ją stłumione szepty. Prześladowcy zwabieni szumem pralki tam szukali Franceski.

Serce waliło jej jak oszalałe, ale była zdecydowana się bronić. Nie dopuści, by sytuacja się powtórzyła. – Wiem, że tu jesteś, Francesco. Drgnęła. Mimo wszystkich postanowień, mimo determinacji, ogarnęła ją panika. Za daleko do drzwi frontowych. Mogła tylko modlić się, żeby operatorka z 911, która przyjęła jej zgłoszenie, przekazała wiadomość Dawsonowi i pomoc nadeszła, zanim będzie za późno. Zebrawszy całą odwagę, uniosła pistolet.

Avery Dawson zatrzymał się właśnie na światłach, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Trochę się zdziwił, słysząc w aparacie głos dyspozytorki ze śródmieścia.

– Detektywie, mam dla pana wiadomość, której nie chciałam przekazywać przez radio. Przed chwilą dzwoniła na centralę kobieta, która przedstawiła się jako Francesca LeGrand. Mówiła, że mąż został zastrzelony i że ktoś jest w jej domu.

Cholera.

– Wysłaliście tam nasz wóz i karetkę? – zapytał.

– Tak, już jadą.

– Dziękuję. Ja też tam zaraz będę. – Dawson rozłączył się i odłożył telefon. – Ktoś jest w domu LeGrandów – rzucił w stronę siedzącego obok Ramseya i zawrócił z piskiem opon.

W drzwiach obok kuchni pojawiły się sylwetki dwóch intruzów. Francesca przesunęła się o krok w stronę drzwi wyjściowych. Rozpoznała mężczyznę z kucykiem.

Duke Needham. Zaufany Pharaoha.

Wycelowała w niego, a kiedy Pharaoh usiłował się do niej zbliżyć, skierowała lufę na niego.

Pharaoh oniemiał na widok Frankie z pistoletem w dłoni. Tego nie przewidział. I ten pełen determinacji, zacięty wyraz twarzy...

– Co robisz... Francesco. Rzuć broń.

Nawet nie drgnęła na te słowa, nie zareagowała żadnym gestem.

– Daj spokój, przecież mnie nie zastrzelisz. To przecież ja się tobą opiekowałem, kiedy byłaś mała. Nie pamiętasz? To ja uczyłem cię sznurować buty. Zaplatałem ci warkocze i czytałem ci bajki, kiedy byłaś chora. Kocham cię, Francesco. Należysz do mnie.

W oczach Frankie pojawiły się łzy.

– Ufałam ci... A ty, co zrobiłeś? Porwałeś mnie... pozbawiłeś mnie domu, męża. Ukradłeś mi dwa lata życia. To nie jest miłość. To obsesja.

Potrząsnęła głową.

W tym samym momencie Duke skoczył do przodu. Zanim Pharaoh zdążył go powstrzymać, rozległ się strzał: najpierw jeden, zaraz potem drugi i Needham ze strzaskanymi kolanami osunął się na podłogę. Pistolet wypadł mu z ręki. Frankie kopnęła broń. Miała wrażenie, że gdzieś z oddali dochodzą słabe odgłosy syren policyjnych, ale nie była pewna, czy słuch jej nie myli.

Spojrzała na oniemiałego Pharaoha, na leżącego bez ruchu, jęczącego Needhama.

Krew... Wszędzie pełno krwi.

Kiedy kupowała pistolet, nikt jej nie uprzedził, że będzie krew...

– Posłuchaj... Francesco – wykrztusił Carn, robiąc krok w jej stronę.

Cofnęła się w kierunku drzwi, nie opuszczając broni.

– Zgwałciłeś mnie, ty draniu!

Pharaoh znieruchomiał, przerażony tym, co usłyszał.

– Nigdy!

– Tak! Pamiętam, wszystko pamiętam...! – Francesca prawie krzyczała.

– Nie, Francesco. Nigdy cię nie dotknąłem. Chciałem... próbowałem... raz, ale rzuciłaś się na mnie. Zostawiłem cię.

– Nie wierzę. Dwa lata trzymałeś mnie pod kluczem. Więziłeś.

Teraz i Pharaoh usłyszał syreny. Pomyślał o miłości, która okazuje się słabością. O Allejandrze, o Kolumbii, o czekających tam pieniądzach. Nagłym ruchem wy dobył pistolet z kieszeni i wycelował w pierś Frankie.

– Strzel! – zawołała. – Ja też strzelę. Umrzemy obydwój. Albo obydwój zostaniemy ranni. Tak czy inaczej, nie uciekniesz stąd. Jesteś skończony.

Nagle drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął, ciężko dysząc, Clay. Pociągnął ku sobie Francescę, tak że w jednej sekundzie znalazła się za jego plecami.

– Nie strzelaj! – wycharczał. – Na Boga, nie strzelaj. Ona będzie miała dziecko!

Frankie krzyknęła na widok zakrwawionej kurtki Claya.

Dłoń Pharaoha zadrżała.

– Dziecko? – szepnął.

Clay osunął się na podłogę.

– Nie rób jej krzywdy. Nie strzelaj – powtórzył i zemdłał.

Słyszając narastający odgłos syren, świadom, że policja lada chwila wtargnie do domu, Pharaoh zacisnął palec na spuście.

Osiągnął w życiu wszystko, czego pragnął.

Władzę.

Pieniądze.

Szacunek.

Miał wszystko. Z wyjątkiem jej.

– Urodzisz mu dziecko – powiedział z wyrzutem.

W jego głosie było tyle żalu, taki zawód, że Frankie zrozumiała, iż musiał mówić prawdę; nie tknęła jej. Poczowała bezmierną ulgę. I współczucie dla tego człowieka. Co się z nim stało? Dlaczego jego życie potoczyło się tak bezsensownie? Ze łzami w oczach spojrzała na krwawiącego Claya.

– Puść mnie. Pozwól mi pomóc mężowi. On jest dla mnie wszystkim.

Na ustach Pharaoha pojawił się gorzki uśmiech.

– Tak... rozumiem.

Avery Dawson z piskiem opon zahamował przed domem LeGrandów na moment przed pojawieniem się wozów policyjnych i karetki. Wyciągając pistolet, wyskoczył z samochodu.

– Biegnij na tył domu, ja wejdę od frontu – zawołał do Ramseya.

– Może powinniśmy poczekać na posiłki? – zapytał Ramsey niepewnie.

– Nie ma czasu.

Zgięty wpół, ruszył ku drzwiom, gdy na progu pojawił się mężczyzna.

– Policja! Rzuć broń! – krzyknął.

Pharaoh odwrócił się gwałtownie, złożył do strzału. Nie zdążył.

Pierwsza kula trafiła go w rękę, wybijając mu pistolet z dłoni. Spojrzał z niedowierzaniem na śnieg i czując ciepłą wilgoć rozlewającą się na piersi, sięgnął odruchowo pod płaszcz. Dawson jednoznacznie odczytał jego gest, wypalił po raz drugi.

Pharaoh usłyszał jeszcze krzyk Franceski, wyciągnął rękę. Wszystko nagle zaczęło toczyć się w zwolnionym tempie.

Biegł ku niemu policjant, wołał coś, czego Pharaoh nie był w stanie zrozumieć.

Słońce pociemniało.

Spadał. Spadał w jakąś mroczną otchłań.

Serce biło coraz wolniej.

Przed oczami przesuwały się różne obrazy.

Mała Francesca z kciukiem w buzi.

Ośmioletnia Francesca, śmiejąca się w głos, kiedy on podrzuca ją w górę.

Francesca podaje mu wstążkę, żeby związał jej włosy.

Francesca...

Francesca.

Śnieg otulił go niby biały całun. Pharaoh nie żył.

Kiedy pielęgniarze położyli Claya na noszach, Frankie podniosła się z podłogi, dotknęła policzka męża, pogładziła go po włosach.

– Nie umieraj, Clayu LeGrand. Nie waż się umrzeć.

Pielęgniarze wyszli, a do Frankie zbliżył się Dawson.

– Przebierz się, dziecko, to zawiozę cię do szpitala.

Frankie spojrzała na swoje zakrwawione ubranie.

– Już... po wszystkim, detektywie?

Skinął głową i wziął Frankie w ramiona.

Dopiero teraz poczuła, że ogarnia ją słabość.

– Proszę mi pomóc – szepnęła, kładąc głowę na piersi Dawsona.

– Nie zostawię cię. Obiecuję. Na pewno nie zostawię cię samej.

Do przedpokoju wbiegł Ramsey.

– Druga karetka już jedzie! – zawołał i pociągnął nosem. – Ej, coś się pali.

Frankie wzruszyła ramionami.

– To nasz obiad. Przypaliłam obiad.

EPILOG

Wiosna spóźniała się tego roku. Zima była dla Frankie wyjątkowo ciężka. Najpierw przez tydzień czuwała przy łóżku walczącego ze śmiercią Claya, potem przez miesiąc doglądała go w okresie rekonwalescencji. Tylko świadomość, że nosi w łonie nowe życie, pozwoliła jej przetrwać ten trudny czas.

Święta Bożego Narodzenia przyszły i przeszły, Clay wrócił do domu, a Frankie nadal nie mogła otrząsnąć się z depresji. Poruszała się jak robot, podskakiwała nerwowo na każdy nieoczekiwany odgłos, w środku nocy budziła się z krzykiem na ustach. Clay uspokajał ją, jak potrafił, wszystko na nic. Ciągle nie mogła się otrząsnąć z ponurych wspomnień. Nadal ciążył jej ciężar niedawnej tragedii.

Pewnego ranka Clay obudził się z gotowym planem w głowie. Frankie krzątała się w kuchni, przygotowując śniadanie.

– Dzień dobry, kochanie. – Pocałował ją w kark, tam gdzie nosiła tatuaż.

– Dzień dobry – odpowiedziała, oddając pocałunek i po chwili wahania zapytała: – Przeszkadza ci to?

– Co mi przeszkadza? – zagadnął zdziwiony Clay.

– Tatuaż.

Clay zasepił się. Jak ma pomóc Francesce, skoro wraca ona ciągle do złych wspomnień?

– Oczywiście, że nie – mruknął. – Dlaczego miałby mi przeszkadzać?

Frankie wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Nie wiem... Pomyślałam... Może ci się wydawać, że...

– Zdażyłem się do niego przyzwyczać i muszę ci powiedzieć, że zaczął mi się nawet podobać.

Tego nie oczekiwała.

– Ale...

– Posłuchaj mnie. – Clay odgarnął jej włosy tak, że ukazał się mały egipski

krzyż. – Kiedy jestem w pracy, myślę często, że czeka na mnie pod twoimi włosami, że znaczy miejsce, które szczególnie lubię całować.

Frankie aż otworzyła usta.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki poeta, mój Clavu.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz, moja droga. A już szczególnie o moich ukrytych talentach.

Prychnęła cicho na tę deklarację.

– Jakich ukrytych talentach?

– Ja ci dam, pokpiwać sobie ze mnie. Poczekaj do wieczora, a sama się przekonasz.

Frankie trochę się rozpogodziła.

Jeszcze w drodze do pracy Clay myślał o ich porannym przekomarzeniu się. Mówił prawdę: tatuaż, podobnie jak dziecko, które Frankie nosiła w łonie, zrósł się z nią, stał się częścią ukochanej kobiety.

W czasie przerwy śniadaniowej przystąpił do realizacji swojego planu. Zerknął na zegarek, obliczając, ile czasu mu zostało, polecił kierownikowi budowy, by go zastąpił na resztę dnia i pojechał w upatrzony zakątek miasta.

Kilka minut po szóstej wrócił do domu. Na siedzeniu samochodu leżał mały pakunek, bukiet róż i karton z sześcioma puszkami coli. Od początku ciąży Frankie nie brała alkoholu do ust, a przecież musieli czymś spełnić toast.

– Stęskniłam się za tobą. – W progu przywitała go uśmiechnięta Francesca. – To dla mnie? Z jakiej to okazji? – zdziwiła się, kiedy wręczył jej kwiaty.

– Zobaczysz.

– A to co? – zapytała, spoglądając na paczuszkę.

– Niespodzianka. – Podał jej paczuszkę i karton z colą. – Umyję się przebiorę i zaraz wracam.

Kończyła nakładać jedzenie, kiedy Clay pojawił się przy stole. Położył paczuszkę na jej talerzu, usiadł i czekał w napięciu, jak żona zareaguje na prezent.

Rozwinęła paczuszkę i podniosła na Claya oczy pełne łez.

– Och, kochanie... Czy to znaczy to, co myślę, że ma znaczyć?

– Zjrzyj na stronę 154, chociaż są też inne, równie dobre propozycje. Ostateczna decyzja należy oczywiście do ciebie. W końcu będziemy mieszkali w tym domu do końca naszych dni.

Frankie odłożyła katalog z planami domów i usiadła Clayowi na kolanach.

– Nie spojrzysz nawet? Może jakiś inny rozkład będzie ci się bardziej podobał.

– Potem obejrzymy je wspólnie. Teraz mam coś ważniejszego do zrobienia – szepnęła, nachylając się i całując Claya w usta. – Jesteś mężem, o jakim mogłaby marzyć każda kobieta – oznajmiła z powagą.

– A ty jesteś najwspanialszą żoną na świecie. Uratowałaś mi życie, uratowałaś życie swoje i naszego dziecka. Nadeszła pora, żebyśmy zaczęli wszystko jeszcze raz od początku. Jeśli teraz zacznę budowę, powinniśmy móc się przeprowadzić wczesnym latem. Nowy dom na nowe życie. Co na to powiesz?

– Że cię kocham.

Przyciągnął ją bliżej do siebie i zanurzył twarz w jej włosach.

– Na początek wystarczy.

Frankie leżała w łóżku i czytała książkę, kiedy usłyszała, że Clay wychodzi spod prysznic. Chcąc dobrać do końca, zanim zgaszą światło, nie odrywała oczu od tekstu, ale kątem oka widziała męża, jak nagusieńki przeszedł przez cały pokój, przygotował sobie ubranie na następny dzień i spokojnym krokiem znów podszedł do drzwi łazienki. Mimo woli podniosła wzrok... I odrzuciła nie doczytaną książkę.

– Clayu LeGrand, coś ty zrobił?

– O czym mówisz? – zapytał Clay najbardziej niewinnym w świecie tonem.

– Nie udawaj, że nie wiesz! – wykrzyknęła, zrywając się z łóżka. Podbiegła do męża i obróciła go tak, że jasne światło padło na złoty tatuaż na szyi, identyczny jak ten, który sama nosiła.

– Coś ty zrobił? – powtórzyła, przesuając palcem po błyszczącym znaku.

Clay skrzywił się nieznacznie.

– Ostrożnie. To cholerstwo jeszcze boli. – Podeszedł do lustra i spojrzął na swoje odbicie. – Nie sądzisz, że seksownie wygląda?

Frankie przysiadła na krawędzi wanny i wpatrywała się w męża z niedowierzaniem.

– Dlaczego?

Clay owinał ręcznik wokół bioder i oparł się o komodę.

– Ponieważ za każdym razem, kiedy dotykasz swojego tatuażu, widzę cierpienie na twojej twarzy. Pomyślałem, że muszę zrobić coś, żeby zaczął ci się kojarzyć z czymś innym niż ponure wspomnienia tamtych lat. – Odwrócił się, ponownie eksponując kark.

– I jak?

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pokręciła głową.

– Wariat jesteś – mruknęła.

Clay wyszczerzył zęby.

– Wiedziałaś o tym doskonale, kiedy wychodziłaś za mnie za męża. Powiedz, co myślisz o moim tatuażu?

Uniosła lekko brwi.

– Wydaje ci się, że teraz jesteś superfacetem, prawda?

Clay uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ty odpowiedz na to pytanie! – zawołał, chwytając żonę w ramiona.

– Odpowiem ci rano – obiecała, kiedy położył ją na łóżku.

Zapomniana książka spadła na podłogę. Musiała poczekać z ujawnieniem zakończenia zamkniętej w niej historii. Francesca też musiała poczekać, by dowiedzieć się, jak zakończy się jej własna historia. Wiedziała jednak, że przy Clayu może zakończyć się tylko w jeden sposób: żyli długo i szczęśliwie.